

magazyn GAZETA LUBUSKA

CZAS WIELKIEJ PROBY

Najlepiej działająca służba zdrowia
nic nie da, jeśli nie wykażemy się
zdrowym rozsądkiem i solidarnością

REKLAMA

009602874



KUMULACJA
8 000 000 zł

**Akcja „Gazety
Lubuskiej”: Dwa
telefony, do babci
i dziadka/Str. 23**

**Jeśli nie musisz,
nie idź do lekarza,
kościół.
Telefonuj/Str. 23**
**68 osób
zarażonych
w kraju. Kontrole
na granicy/ Str.17**

**Jak się nie zarazić
i nie zagrażać
innym? Wytyczne
GIS/Str.19**

**Co robić,
aby zmniejszyć
ryzyko zarażenia?
/Str.19**

3,70 zł W TYM 8% VAT
Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



9 770137 951063

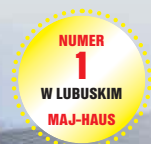


REKLAMA

009563304

JUŻ OD 2000 zł/m²

PROJEKTY INDYWIDUALNE DOMÓW ZA 50% CENY



SPEŁNIAJ MARZENIA O WŁASNYM DOMU

Marzysz o własnym, przytulnym domu?

Szukasz idealnego projektu dla swojej rodziny?

Nie mogłeś lepiej trafić - tylko z firmą Maj-Haus Centrum Budownictwa Pasywnego wybudujesz dom, który spełni Twoje oczekiwania

- **wykonamy dla Ciebie indywidualny projekt domu wraz z wizualizacjami w 3D i pozwoleniem na budowę**
- **wybudujemy dla Ciebie dom energooszczędny, w którym opłaty za ogrzewanie domu o powierzchni od 90 m² do 120 m² wynoszą zaledwie od 120 do 180 zł miesięcznie**
- **budujemy na terenie woj. lubuskiego, jak i w całej Polsce**

MAJ-HAUS - CENTRUM BUDOWNICTWA PASYWNEGO

ul. Bolesława Prusa 20, 69-110 Rzepin

tel. 506 119 419, 733 588 888 • www.domy-majhaus.pl

www.centrumbudownictwapasywnego.eu



Grunt to zachować spokój i zdrowy rozsądek

Szymon Kozica
68 324 88 63
skozica@gazetalubuska.pl



Z górki

Dzień dobry, poproszę jedną kiełbasę polską i jedną myśliwską - w środę, będąc przejazdem w jednym z lubuskich miast powiatowych, zatrzymałem się przed sklepem i zrobiłem szybkie zakupy, bo od rana nic nie jadłem.

- Mówiąc „jedną kiełbasę”, ma pan na myśli jedną sztukę, czy jedną paczkę?
- Upewniała się ekspedientka.
- Jedną sztukę.
- Bo, wie pan, tutaj wszyscy kupują kiełbasę paczkami.
- Taka dobra?

- Nie, taki strach, taka panika przed wirusem...

Nie za bardzo rozumiałem, jaki sens ma robienie zapasów kiełbasy w obliczu zagrożenia koronawirusem, ale przecież od kilku dni jesteśmy świadkami rzeczy/zachowań dziwnych i ciekawych, choć zewsząd słysząc, żeby zachować spokój i zdrowy rozsądek.

Jedną z najbardziej absurdalnych decyzji, o jakich słyszałem i czytałem, podjął Lubuski Związek Piłki Nożnej. W środę opublikował taki komunikat: „W związku z zaistniałym zagrożeniem epidemiologicznym spowodowanym rozprzestrzenianiem się koronawirusem (...) Lubuski Związek Piłki Nożnej zaleca, aby kierownik drużyny zmierzył temperaturę każdej osobie

wchodzącej do szatni gospodarzy i drużyny przyjezdnej. Żadna osoba z podwyższoną temperaturą nie ma prawa wejść na teren szatni piłkarskich. Kluby - gospodarze - są zobowiązane do zabezpieczenia środków dezynfekujących ręce zawodnikom oraz sztabów obu drużyn. Klubom pozostawia się decyzję o rozgrywaniu meczów z udziałem kibiców”.

Cóż, gdy rozum śpi, budzą się upiory... Próbowałem wyobrazić sobie kierownika wiejskiego klubu, który paradytuje z termometrem i mierzy temperaturę każdemu, kto chce wejść do szatni. Paranoja. Na szczęście, zalecenie to przestało obowiązywać, zanim jeszcze tak naprawdę weszło w życie. Uf. Grunt to zachować spokój i zdrowy rozsądek. ©©

KALENDARIUM

14 MARCA 1397

Region

Zmarł książę zielonogórski i kożuchowski Henryk VIII Młodszy Wróbel. Był najmłodszym synem księcia glogowskiego Henryka V Żelaznego, po śmierci ojca rządzącym środkową dzielnicą księstwa. Jak twierdzi Joanna Karczewska, „używał tytułatury księcia Śląska, pana Zielonej Góry i Kożuchowa”. Nazwano go Wróblem, miał też nazwę książę Katarzyniec (co sugerowało uległość wobec żony).

14 MARCA 2005

Gorzów Wlkp.

W szpitalu przy ul. Dekerta trwa głódówka. Osiem osób przez kilka dni protestowało wówczas przeciwko planom zwolnienia 264 pracowników. By uratować miejsca pracy, strajkujący żądali obniżenia pensji wszystkim pracownikom. Dzięki temu udałooby się zaoszczędzić pieniądze na płace, poza tym nie powiększałby się dług szpitala. W 2005 roku wynosił on 187 mln zł.

15 MARCA 1651

Zielona Góra

Protestanci kilkakrotnie przejmowali największą zielonogórską świątynię. W 1632 r. pod przewodnictwem proboszcza Baltazara Antoniusza Schecjusa odrodziła się wspólnota parafialna, ale w 1641 r. ponownie wypędzono księży. Dopiero w 1651 roku starosta glogowski przekazał świątynię parafialną katolikom i ks. proboszcz Melchior Pistrium rozpoczął odbudowę parafii.

W OBIEKTYWIE



Mały, legendarny „maluch” wciąż na służbie. Beata Szostak z Łagowa od 10 lat pracuje jako listonosz. Dziennie, rozwijając listy i paczki, pokonuje około 40 km. Tu przystanek w Sieniawie. Ludzie często pytają, który to rocznik i czy się psuje. Jak widać, wszystko „chodź”, a nawet jeździ, jak należy.

FOT. MARIUSZ KAPALA

Pogoda w regionie

Czy pogoda pomoże nam w walce z wirusem?

Grypa wybucha i rozprzestrzenia się nagle i ekspercie nie wiedzą, na czym to polega. Według niektórych przypuszczeń, wirusy rozprzestrzeniają się w trakcie zimowych spotkań towarzyskich w zamkniętych pomieszczeniach. Inni uważają, że winien jest nagły spadek temperatury poniżej zera... Połączenie chłodu i suchego powietrza. Ajak to będzie z koronawirusem, czy też odpuści, gdy zrobi się ciepło? Niestety, naukowcy stwierdzili, że koronawirus doskonale sobie radzi w rozmaitych warunkach i w odmiennych strefach klimatycznych. Chociaż w Indonezji urzędnicy uznali ciepły klimat za sprzymierzeńca, ponieważ nie zdiagnozowano tam żadnych przypadków. Ekspert ostrzega, że nawet jeśli COVID-19 stanie się mniej aktywny latem, może powrócić, jeśli lekarze nie opanują tej epidemii w pierwszej kolejności. **OPRAC. DE-CHA**

Sobota

9°C
1°C



Barometr
741 mm Hg
Wiatr
5 m/s
Uwaga
wilgotność 54 proc.

Niedziela

6°C
1°C



Barometr
762 mm Hg
Wiatr
5 m/s
Uwaga
wilgotność 78 proc.

Poniedziałek

9°C
2°C



Barometr
769 mm Hg
Wiatr
2 m/s
Uwaga
wilgotność 74 proc.

W TYGODNIU

ZŁODZIEJE KRADNĄ NA POTĘGĘ

Gorzów Wlkp.

Złodzieje kradną w mieście, co się da: kwiaty z rabatek, kawałki pomników czy włazy do studzienek. Gorzów apeluje właśnie, by kradzieże tych ostatnich zgłaszać jak najszybciej.
- Jeśli ktoś zauważy, że gdzieś brakuje włazu do studzienki czy kratki ściekowej, prosimy, by zgłaszał to natychmiast. Najlepiej robić to pod policyjnymi numerami: 112 albo 997 lub też w godzinach pracy - strażnikom miejskim (tel. 95 735 57 28) - mówi GL Wiesław Ciepiela, rzecznik urzędu miasta w Gorzowie. Miejscy urzędnicy zwracają się z apelem nie bez powodu. W Gorzowie złodzieje kradną włazy i kraty na potęgę.



FOT. POLSKAPRESSGRUPA

FURGONETKA ZOSTAŁA SKAZANA

Gorzów Wielkopolski

Sąd uznał, że „furgonetka antyaborcyjna” przed szpitalem wywołuje zgorszenia. Kaziemierzowi Sokołowskiemu, który ją postawił, wymierzyl 1 tys. zł grzywny - Pojazdu nie usunę. Jestem niewinny - mówi właściciel auta. Prokuratura Rejonowa w Gorzowie zajęła się „furgonetką antyaborcyjną”, która od 12 lutego stoi

przed szpitalem przy ul. Dekerta po tekście w GL. Doniesienie złożył także Jerzy Wierchowicz ze stowarzyszenia Obywatele GW 66-400. „Niniejszym składam zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez nieznaną osobę, która postawiła na parkingu przy szpitalu wojewódzkim przy ul. Dekerta samochód ciężarowy, na którego burtach umieszczono napisy o treści szkalującej służbę zdrowia, miejscowy szpital, a także wywołujące zgorszenie”.



FOT. JAROSŁAW MIEKOWSKI

WÓDKO DAJ ŻYĆ

Nowa Sól

- Ciężko jest nieraz znaleźć granicę. Nagle człowiek ją przeskakuje i staje się uzależniony. Mówi: „zawsze piłem tak samo”. Ale to się tylko tak wydaje - mówi Gabriela Junciewicz, pełnomocnik prezydenta miasta ds. rozwiązywania problemów alkoholowych. Zakłada się, że uzależnionych od alkoholu w Nowej Soli jest 2-3 proc. mieszkańców. Połowa z nich korzysta z leczenia odwykowego, które nie jest obowiązkowe. Uzależniony tymczasem odrzuca od siebie fakt, że ma jakikolwiek problem alkoholowy.



FOT. POLSKAPRESSGRUPA

13 marca 1998. Tak powstało województwo



FOT. MARIUSZ KAPALA

W tzw. umowie paradyskiej nie było ani słowa o podziale urzędów i instytucji na „gorzowskie” i „zielonogórskie”

Historie z kartonu

Dariusz Chajewski
dchajewski@gazetalubuska.pl

Późno szukać umowy paradyskiej jako wykazu instytucji, które mają się znaleźć w każdej z lubuskich stolic. Trochę jest z nią tak, jak z yeti, wszyscy o niej mówią, ale nikt jej nie widział.

Zanim politycy z północnej i południowej części środkowego Nadodrza podpisali tzw. porozumienie paradyskie, 10 lutego 1998 r. w międzyrzedemskim ratuszu doszło do spotkania przedstawicieli województw gorzowskiego i zielonogórskiego. To początek dyskusji o kształcie województwa lubuskiego.

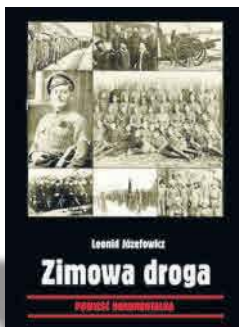
13 marca 1998 roku parlamentarzyści z ówczesnych województw gorzowskiego i zielonogórskiego wspólnie podpisali list do ówczesnego Prezesa Rady Ministrów prof. Jerzego Buzka w sprawie utworzenia województwa lubuskiego. Oto słynna umowa paradyska: „Na spotkaniu 13 marca 1998 r. w Gościńcu-Paradyżu (województwo zielonogórskie) parlamentarzyści województwa gorzowskiego i zielonogórskiego uzgodnili następujące stanowisko: 1. Dla polskiej racji stanu uważamy za konieczne

utworzenie wspólnego województwa lubuskiego, w skład którego wejdą w całości obecne województwa: gorzowskie i zielonogórskie oraz proponowane tereny powiatów gorzowskiego i wschowskiego. 2. Uzgodniliśmy, iż dwa miasta - Gorzów i Zielona Góra powinny być stolicami województwa lubuskiego. Proponujemy, by siedzibą wojewody był Gorzów, a siedzibą sejmiku - Zielona Góra.

Uzasadnienie dla utworzenia województwa lubuskiego przedstawiamy w załączniku, a szczegóły koncepcji chcielibyśmy przedstawić na wspólnym spotkaniu parlamentarzyistów z Panem Premierem, we wskazanym przez Pana Premiera terminie”. Umowę podpisali senatorowie: Jolanta Danielak, Elżbieta Płonka, Zdzisław Jarmużek, Zbyszko Piwoński oraz posłowie Ewa Freyberg, Andrzej Brachmański, Andrzej Chrzanowski, Edward Daszkiewicz, Czesław Fiedorowicz, Maciej Jankowski, Tadeusz Jędrzejczak, Jan Kochanowski, Kazimierz Marcinkiewicz, Alfred Owoc, Maciej Rudnicki, Roman Rutkowski, Jerzy Wierchowicz, Józef Zych...



Opinie



LEONID JÓZEFOWICZ
„ZIMOWA DROGA”
NOIR SUR BLANC, 2020

Koniec sierpnia 1922 roku. Z Wławy do Wławy wyrusza kilkusetosobowy oddział pod dowództwem generała Anatolija Piepielajewa, żeby przyjąć z pomocą powstaniu, które wybuchło w Jakucji przeciwko bolszewickiej władzy. Zaczyna się pasmo dramatycznych zmagani z syberyjską przyrodą, głodem, chłodem, wreszcie z oddziałami czerwonych. Ów zapomniany epizod wojny domowej w Rosji sprzed prawie stu lat, miał dwóch bohaterów: idealistę i poetę Piepielajewa i po drugiej stronie barykady jego głównego przeciwnika - anarchistę Iwana Stroda.

Narracja powieści Leonida Józefowicza oparta jest na bogatym materiale archiwalnym i skupia się na tych silnych i wyrazistych postaciach, przedstawiając ich męstwo, fatalistyczne poczucie misji i dziwnie dopełniające się losy.

(GZL)

Andrzej Flügel
68 324 88 06
aflugel@gazetalubuska.pl



KABARET W KABARECIE. HITY OSTATNIH DNI

Zakola i meandry

Pan Bogdana oglądał się ostatnio konferencji, briefingów, konferencji i przemówień. Oprócz stałych wypasów polityków doszedł koronawirus. Jazda trwa nieustannie. Wiadomości o nowych zachorowaniach, tłumy reporterów koczujących pod szpitalami przeplatają się z przedwyborczą przepychanką sztabów kandydatów na prezydenta, wypowiedziami samych kandydatów.

W tej coraz powiększającej się rzece informacji długo zastanawiał się nad hitem ostatnich dni. Ułożył sobie nawet taką małą prywatną listę. Bezapelacyjnie wygrało wystąpienie pani dyrektor ślubickiego Sanepidu, które stało się hitem Internetu. Pan Bogdan uważa, że sankcja, jaka ją spotkała, czyli zapowiedź dymisji, za wiele niesprawiedliwych. W zalewie sztywności pani inspektor

wyróżniała się luzem, humorem i więcej wytłumaczyła ludności niż różni smutni objaśniacze, którzy nie schodzą z ekranów wszystkich stacji telewizyjnych, a już piosenka zaśpiewana wirusowi to był wręcz majstersztyk. Tak więc pan Bogdan z wielką ochotą

Bezapelacyjnie wygrało wystąpienie pani dyrektor ślubickiego Sanepidu, które stało się hitem Internetu

Trzecie miejsce zajął cyrk z podpisywaniem ustawy o zasileniu około trzema milionami telewizji rządowej

przylączyła się do tych, którzy już protestują przeciwko zwolnieniu pani dyrektor i apeluje: odczepcie się! Drogim hitem jest podpisanie przez prezydenta ustawy na dworcu kolejowym w Końskich. Akcja wyglądała jak fragment filmu nieodżałowanego Stanisława Berei, albo kawałek opowiadania mistrza Sławomira Mrożka. Prezydent siedzi przy jakiejś szkolnej ławce na peronie

i podpisuje, obok stoi świta złożona z urzędników. Wszyscy mają głupie miny, pewnie z tego powodu, że muszą w takim cyrku uczestniczyć. Oczywiście zaraz pojawiły się komentarze. Najciekawszy był z uprzejmym zapytaniem, czy jeśli prezydent będzie podpisywał ustawę o zdrowiu psychicznym albo więziennictwie, to zrobi to na dziedzińcu albo oddziale odpowiednich zakładów? Hitem był też internetowy, zmontowany obrazek. Pan prezydent siedzi przy tej ławce usytuowanej na środku torów i podpisuje, a za nim na stację wjeżdża pociąg z napisem „konstytucja”. Trzecie miejsce na liście pana Bogdana zajął cyrk z podpisywaniem ustawy o zasileniu około trzema milionami telewizji rządowej. Ta gadka o jej misji, pokazywaniu meczów, kultury i wielkiej robocie ośrodków regionalnych, kiedy tylko wystarczy włączyć odpowiedni kanał, żeby posłuchać, co tam się wygaduje, była jak czytanie na głos instrukcji obsługi łopaty. A podziękowania dla prezesa, którego - jak się za chwilę okazało - wywała się na zbity pysk? To już był kabaret w kabarecie. Jak ostatnio wiele spraw wokół. Niestety... ©©

Zdzisław Haczek
68 324 88 05
zhaczek@gazetalubuska.pl



UTALENTOWANY PAN TROL WSIADA DO TAKSÓWKI...

Kultura na haku

Do jakiej taksówki niby wsiada bohater filmu „Sala samobójców. Hejter”? Jana Komasy? Ano tej, którą prowadzi niejaki Travis Bickle, czyli Robert De Niro w słynnym „Taksówkarzu” Martina Scorsese. Co łączy tamten amerykański obraz z 1976 r. z najnowszą, rodzimą produkcją autora „Bożego Ciała” czy „Miasta 44”? Ano właśnie bohater. Skrzywdzony, odrzucony, wyśmiany, który przecież kocha, ma aspiracje, stara się... I co robi? Wchodzi na ścieżkę zemsty. Travis był weteranem wojny w Wietnamie. Chwył za broń, która dzięki specjalnemu mechanizmowi wyskakiwała mu z rękawa. Tomek - swojsko nazywany Tomalą - z filmu Komasy osobiście nie musi pociągać za cyngiel. Od tego są inni frustraci. Poza tym Tomek jest bardziej inteligentny od nowojorskiego taksówkarza.

Tu nasz Tomalę bardzo przypomina mi tytułowego



FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI

Maciej Musiałowski w filmie „Sala samobójców. Hejter”

„Utalentowanego pana Ripleya” z filmu Anthony’ego Minghelli z 1999 r. Tom Ripley (Matt Damon) też dostał szansę wskoczenia na piętro tzw. elity. Co potrafił wykorzystać dzięki przebiegłości i determinacji. Oczywiście gubiąc po drodze wszystko, co kojarzymy z moralnością.

Kiedy Tomek siada do stołu z wysoko sytuowaną rodziną Krasuckich w ich stołecznym mieszkaniu - jest pariasem. Lubianym, bo Krasuccy przed laty wczasowali w jego domu na prowincji, a teraz wspierają jego prawnicze studia. Tyle że

Tomek akurat wyleciał z uczelni. Za plagiat. Mimo to chce o siebie walczyć. Po trupach?

Jan Komasa w „Sali samobójców” z 2011 r. używał przestrzeni gry komputerowej do pokazania młodych ludzi balansujących nad przepaścią autodestrukcji. W „Hejterze” gra służy manipulacji, rekrutacji i robieniu komuś wody z mózgu. Podobnie zresztą jak internetowa sieć w ogóle. Tomek wszak błyszczy jako pracownik farmy troli, na zlecenie niszczących celebrytów czy polityków. A błyskotliwy scenarzysta Mateusza Pacewicz (dwa Orły za „Boże Ciało”) pokazuje dojrzewanie młodego człowieka do stanu „bezmoralności”, gdzie kameleon zła bezwzględnie dąży do upragnionego celu... A my mu kibicujemy?

„Sala samobójców. Hejter” to mocne kino? Nie, to kino porażające, gdzie Jan Komasa każe nam porzucić nadzieję, z którym mogliśmy wychodzić po seansie jego „Bożego Ciała”. To film o nas, Polakach tu i teraz. Ostrzeżenie przed czymś? Niestety, to „coś” już się spełnia... Zdjęcia do filmu, w którym kandydat na prezydenta ma na imię Paweł, a pewien uzbrojony mężczyzna - Stefan, ukończono 22 grudnia 2018. Trzy tygodnie później doszło do tragedii w Gdańsku... ©©

RZECZ O JĘZYKU

Mieszkańcy Murmańska
i Jagodna to...?Prof. Jan Miodek
redakcja@gazeta.wroc.pl

Oto fragment pewnego felietonu prasowego: „Pierwszego grudnia w Murmańsku zaczyna się noc polarna. Przez 40 dni murmańczenie nie zobacz słońca”. Czy poprawna jest forma murmańczenie?

Ponieważ przyrostek „-anin”, którym tworzy się w polszczyźnie nazwy mieszkańców, miał pierwotne brzmienie „-janin”, obowiązuje do dziś zmiękczenie spółgłosek występujących przed tym sufiksem: Chorzów - chorzowianin, Rybnik - rybniczanie, Wałbrzych - wałbrzyszanin, Elbląg - elblążanin, Szczecin - szczecinianin, Sanok - sanoczanin, Puck - pucczanin, Namysłów - namysłowianin, Lubin - lubinianin, Chojnów - chojnowianin, Olsztyn - olsztynianin, Jawor - jaworzanie itp. Miękkosć spółgłosek w „czy” jest tutaj oczywista, natomiast cz, sz, ż, rz to wprawdzie spółgłoski twarde, ale kiedyś i w naszym języku - tak jak do dziś w innych językach słowiańskich - były one miękkie (por. np. polskie rzeczowniki czas albo szczupak z rosyjskimi czasy „zegarek”

i szczuka, w których cz, szcz to dźwięki miękkie; słychać je także w mowie Polaków zamieszkujących Rosję czy Białoruś).

Miękkim odpowiednikiem grupy spółgłoskowej -sk- jest -szcz-, mamy dlatego pary wyrazowe wrzask - wrzeszczeć, trzask - trzeszczeć, błysk - błyszczeć, plusk - pluszczeć się, Zamojskie - Zamojszczyzna, od Gdańska zaś czy Zagnańska urabiamy nazwy mieszkańców gdańszczanin (gdańszczanka, gdańszczanie) i zagnańszczanin (zagnańszczanka, zagnańszczanie).

Taką samą postać powinna przybrać nazwa mieszkańców Murmańska (miasta w Federacji Rosyjskiej): murmańszczanin, murmańszczanka, murmańszczanie (a nie „murmańczenie”, jak napisano w przywołanym felietonie).

W dolnośląskim Bolesławcu, który znam doskonale, bo 52 lata temu brałem tam ślub, wszyscy jego mieszkańcy nazywają siebie bolesławianami, a nie bolesławczanami, jak zalecają słowniki...

I podobnie: Smoleńsk, Magnitogorsk, Zagorsk.

A mieszkańcy Jagodna to...? - zapytali mnie przed paroma tygodniami samorządowcy tego osiedla położonego w południowej części Wrocławia. Jagodnianie - odpowiedziałem spontanicznie, ale po sekundzie dodałem, że możliwi są też jagodzianie, bo długowieczną tradycję ma tworzenie nazw mieszkańców nie od całej podstawy słowotwórczej, jaką jest nazwa danej miejscowości, ale od jej części rdzennej. „No właśnie, słyszy się u nas oba brzmienia” - wyznały sympatyczne jagodnianki - jagodzianki. Za pierwszym wariantem przemawia współczesna motywacja słowotwórcza, drugi może się bronić tradycją morfologiczną.

Ujawnia się ona np. w nazwie miejscowej Nisko, od której tworzy się derywaty niżański, niżanin, niżanka, niżanie, bo było to pierwotne Niżsko z rdzeniem Niż-, na którym zbudowano przymiotnik i nazwę mieszkańców. A przecież i w dolnośląskim Bolesławcu, który znam doskonale, bo 52 lata temu brałem tam ślub, wszyscy jego mieszkańcy nazywają siebie bolesławianami, a nie bolesławczanami, jak zalecają słowniki. I w tym wypadku derywat bolesławianin urobiony jest od podstawy Bolesław-, a nie od całej nazwy! ©©

HUMOR

- Nie dzisiaj, kochanie. Tak mnie boli głowa, że chyba zaraz pęknie.
- Wczoraj też cię bolała. To kiedy?
- Wybacz, naprawdę, to migrenowe. Mam to po swojej mamie, a ona po swojej...
- Dziwna rodzina. Jak wy się rozmnożyliście?

●●●

Telefon do przychodni. W słuchawce przerażony głos:
- Panie doktorze!!! Niech Pan ratuje moją żonę. Strasznie ją głowa boli i do tego ta temperatura!!!
- A wysoka?
- Metr sześćdziesiąt pięć!

●●●

Żona do męża:
- Co robisz?
- Nic.
- Przecież wczoraj nic nie robiłeś!
- Ale nie skończyłem.

●●●

Dziewczyna dzwoni do chłopaka:
- Przyjeżdżaj do mnie.
- Poco?
- Tyco, głupi jesteś?
- Czemu jestem głupi?
- Rodzice na działkę pojechali.
Mija dłuższa chwila.
- Jeśli twoi rodzice pojechali na działkę, to czemu ja jestem głupi?

●●●

Idzie małżeństwo ulicą. W pewnym momencie mąż mówi do żony:
- Kochanie, postaraj się, proszę, wygłądać teraz na szczęśliwą.
- A o co chodzi?
- Widzę, że z naprzeciwnika idzie moja była żona.

●●●

Rozmowa dwojga emerytów z młodą parą. Młody mężczyzna pyta starego: - Czy to prawda, że jak się jest starym, nie uprawia się już seksu?
- To nieprawda. My z żoną uprawiamy seks prawie codziennie. Prawie w poniedziałek, prawie we wtorek, prawie w środę...

DOMOWYCH
CZARÓW
DYSKRETNY CZAR

Stan podgorączkowy

Mamo, słyszałaś? Podobno jutro szkoła będzie zamknięta przez koronę? - zadzwoniła w środę Ola, wracając z placówki. - Skąd wiesz? - zdziwiłam się. - Normalnie, dobre wieści szybko się roznoszą - odparła zadowolona i snuła plany na najbliższe dni. - Chyba w tej sytuacji pójde z Maryską do przedszkola - stwierdziła. - Chyba nie. Przedszkola też zamknięte. Sprzątać będziesz - ciągnęłam ją na ziemię. - No właśnie, a propos sprzątania, to powiedz mi, skąd się bierze kurz. Sprząta człowiek, odkurza co dwa dni, a i tak kurz jest, no... - rozpędziła się, jakby to ona faktycznie sprzątała w naszym mieszkaniu. - Nie wiem. Taka zagadka bytu. Będziesz miała dwa tygodnie, by ją rozwiązać - podsunęłam ośmiolatce zadanie na najbliższy czas. A już zupełnie serio: wolę, by w przypadku koronawirusa Polak był mądry przed szkołą! I siedział w domu. - Pani zadała nam czytankę na za dwa tygodnie - oznajmiła Ola wieczorem. - Przeczytam wam ją już teraz, okej? Będę miała z głowy. Czytanka była o magicznej kredce. To, co nią narysowane, ożywało i stawało się prawdziwe. Przeczytała, a później zada-

wała nam pytania do tekstu. Na przykład o to, co byśmy narysowały taką kredką. Zgłosiłam się, rączkę podniosła też Marysia, ale byłam pewna, że Ola zapyta mnie. Dlatego postanowiłam się nie wychylać i dać szansę Marysi. - Yyyy, proszę pani, ja jednak nie wiem - odparłam. Ola spojrzęła tak, że aż poczułam uderzenie pioruna lecącego w moją stronę. Przyłożyła dłoń do części twarzy, lekko zasłaniając usta i szepnęła z politowaniem: Mama, bądź normalna... Po tej dygresji wróciła do władczego-nauczycielskiego tonu. - Marysia proszę. - Bo ja marzę o zabaw-

Ola spojrzęła tak, że aż poczułam uderzenie pioruna lecącego w moją stronę...

kach, które same się bawią. Ja mówię, że lalka wchodzi na piętro domku i kładzie się do łóżka i ona sama to robi - rzekło Maleństwo. Potem Ola wypowiedziała się, że chciałaby krzesło, na którym usiadłszy, spełniałyby się wszystkie jej marzenia. Potem była moja kolej. Uznałam, że mnie zadowoliliby samosprzątający się dywan albo samomyjące naczynia. Czar czarów prysł, gdy do pokoju wkroczył Małżonek. - Zrobi mi ktoś kolację? - zapytał ni stąd ni zowąd. - O właśnie. A w takich sytuacjach to na pewno byś chciała, żeby kolacja sama się szykowała - popatrzyła na mnie ze współczuciem Ola...

©P

WE WTOREK

ALBUM
HISTORYCZNY

19 marca 1238 roku zmarł Henryk Brodaty. W naszym regionie najwięcej do zawdzięczenia władcy ma zapewne Krosno Odrzańskie, gdzie często rezydował. Otrzymało prawa miejskie, wznosił most na Odrze, a z zamku uczynił swoją rezydencję. I tutaj zmarł...

ŻYCIE JEST JAK
KROMKA CHLEBA?
COŚ W TYM JEST

Kuchnia

Czy wiecie, że w starożytnej Grecji znano około 50 przepisów na różnego rodzaju chleby, a w średniowieczu piekarze wypiekali 9 głównych rodzajów chleba? W Polsce chleb zaczęto wypiekać prawdopodobnie już w pierwszych wiekach naszej ery. W XIII wieku znano już ponad 10 gatunków chleba! Co ciekawe, jeszcze nie tak dawno (nasze prababie zapewne o tym pamiętają) formą pieczywa odświętnego był kołacz! Na co dzień, zamiast chleba, jeszcze w latach 50. w niektórych rejonach Polski (zwłaszcza na wschodzie) piekło się proziaki, czyli placki na sodzie, które zastępowały okrągłe bochenki. Dziś podstawowymi składnikami chleba są: mąka pszenna lub

mąka żytnia, woda, sól oraz dodatki, na przykład drożdże lub zakwas. Ponoć nigdzie na świecie chleb nie smakuje tak dobrze jak w Polsce. I coś w tym jest! Kochamy chleb i umiemy go robić! Przepisy przekazywane z pokolenia na pokolenie mają swoją wartość.

Domowy chleb
pszenno-żytni

Składniki:
1/2 kg mąki pszennej
1/2 kg mąki żytniej
4 dag drożdży
1 szklanka mleka
1/2 litra wody (może być również serwatka)
łyżka soli
szczypta cukru
do wyboru - kminek, nasiona słonecznika, dyni, czamuszka, anyżek

Mleko letnie rozrobić z drożdżami i cukrem, odstawić do wyrośnięcia. Mąki wymieszać, dodać sól, kminek (lub inne - wedle gustu), wyrosnięte drożdże i ciepłą wodę. Ciasto wyrobić, aż zacznie odchodzić

od rąk. Odstawić do wyrośnięcia w ciepłym miejscu. Gdy podwoi objętość, przynieść, nałożyć do formy. Znowu odstawić do wyrośnięcia. Upiec na rumiano w temperaturze 180 stopni.

PRZEPIS KOŁA GOSPODYN Z BIAŁKI

Prosty domowy chleb

Składniki:
1 kg mąki
2 łyżeczki soli
po 5 łyżek sezamu, pestek słonecznika, płatków owsianych i otrąb
3/4 kostki drożdży
2 łyżeczki cukru
1 litr wody

Wymieszać drożdże, cukier i wodę. Następnie dodać pozostałe składniki. Ciasto wyrabiać 15 minut, przykryć ściereczką, odstawić do wyrośnięcia. Po podwojeniu objętości przełożyć ciasto do dwóch foremek. Piec godzinę w temperaturze 180 stopni.
PRZEPIS KOŁA GOSPODYN WIEJSKICH Z KĘT (MAD)



Sprawdzaj
wiarygodne
źródła:

www.gov.pl/koronawirus
Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590



Koronawirus: Jak się ochronić przed zakażeniem?



Często i dokładnie
myj ręce



Zakrywaj chusteczką usta
i nos podczas kichania
oraz kaszlu



Zrezygnuj
z podawania dłoni



Czyść swój telefon
wilgotnymi chusteczkami



Zadbaj o dietę
i nawodnienie
organizmu



Zachowaj bezpieczną
odległość (1-1,5 metra)
od rozmówców

#WspierajSeniора

Nie wszystko jeszcze wiemy o koronawirusie. Ale jedno wiemy na pewno – koronawirus stanowi największe zagrożenie dla seniorów. Mówią o tym eksperci od chorób zakaźnych, podkreśla to Światowa Organizacja Zdrowia, potwierdzają to niestety światowe statystyki zarażeń koronawirusem.

W tym szczególnym czasie, musimy otoczyć jeszcze większą opieką nasze babcie, naszych dziadków i naszych starszych sąsiadów. Seniorzy powinni być izolowani od wirusa. Ale nie mogą czuć się izolowani społecznie.

Koronawirus to przede wszystkim egzamin dla naszego państwa, sprawności jego instytucji i służb. To jednak również test dla całej naszej Wspólnoty. Test z naszej solidarności i wrażliwości.

Dziś, niezbędna jest aktywność i niezbędny jest wysiłek organizacji społecznych, wolontariuszy, setek i tysięcy osób, trafiających bezpośrednio z pomocą do tych Rodaków, którzy mogą być najmniej odporni na skutki zarażenia koronawirusem. Do polskich seniorów.

Walka z koronawirusem nie musi polegać na heroicznych czynach. Czasem wystarczy pomoc w załatwieniu codziennych spraw: zrobić zakupy w sklepie, wynieść śmieci, wyprowadzić psa, czy odebrać pocztę. Pamiętajmy jednak – z obu stron – o zachowaniu podstawowych zasad bezpieczeństwa w czasie choroby zakaźnej.

Niech to będzie swoisty apel do samorządów, organizacji pożytku publicznego, wszystkich ludzi dobrej woli. Apel o to, byśmy wszyscy razem zdali egzamin z jedności, solidarności i empatii.

Rządowy Zespół Zarządzania Kryzysowego, wszystkie instytucje wchodzące w jego skład oraz wszyscy jego przedstawiciele, będą w najbliższym czasie inicjować i wspierać konkretne działania pomocowe skierowane do seniorów.

Ta epidemia przeminie, tę epidemię pokonamy. Ale dobro, którym się dzielimy z najbardziej potrzebującymi, z najstarszymi – zostanie na zawsze.



Więcej informacji uzyskasz na stronie: gov.pl/koronawirus



KANCELARIA PREZESA
RADY MINISTRÓW



Ministerstwo Zdrowia



Państwowa
Inspekcja Sanitarna

Wola zieleni od nowej drogi

Natalia Dyjas
68 324 88 44
ndyjas@gazetalubuska.pl



Zielona Góra

Na terenie po byłej fabryce mebli „Zefam” przy ul. Sienkiewicza ma być zrealizowana inwestycja. Tuż obok znajduje się dawne torowisko. Dziś porośnięte zielenią, mocno zadrzewione, ale i miejscami nieco zaniedbane, dla wielu okolicznych mieszkańców jest ważnym terenem. Buforem od ruchliwych ulic. Ci zielonogórzanie obawiają się, że powstanie tu droga, która pozbawi ich terenu rekreacyjnego.

Dużo pytań i wątpliwości mają zielonogórzanie, którzy mieszkają przy terenie zielonym graniczącym z ulicą Nową, Strzelecką i al. Słowackiego. [b]Pojawiła się obawa, że na całej długości powstanie droga. Mieszkańcy mówią, że taka decyzja to pozbawienie ich zieleni. Gdyby tak się stało, to pod ich oknami znacząco wzrosnie ruch. Skończy się świeże powietrze, a zacznie smog. Są gotowi ukochanej zieleni bronić. Już raz występowali w tej sprawie na sesji rady miasta. Piszą listy, mówią, jak ważne jest to dla nich miejsce. Tu żyją jeże, wiewiórki, śpiewają ptaki... Teraz o terenie dyskutowali też w urzędzie, przy okazji wyłożenia do wglądu projektu planu miejscowego.

"Zamiast zieleni będzie smog"

- Wypowiedzieliśmy się na ten temat podczas spotkania - mówi jedna z mieszkanki,



Mieszkańcy chcą walczyć o teren zielony. Inwestor uspokaja, nie planuje drogi na całej długości

pani Sławomira. - Usłyszeliśmy od inwestora, że drzewa się przesadzi. I... w gruncie rzeczy niczego więcej się nie dowiedzieliśmy. A przecież nas tyle było na spotkaniu! Można nam było wszystko wytłumaczyć. Z nami na miejscu tutaj też praktycznie nikt nie rozmawiał. Ale tak nie może być! Nie życzyłabym sobie, żeby pod moimi oknami, gdzie jest zieleni, na którą patrzę, gdy piję kawę, jeździły i smrodziły samochody. Gdyby droga tu powstała, to nie będzie jeden czy dwa auta. Ale cała masa! To już nie będzie spokojna okolica. I to jest żadne odciążenie ul. Strzeleckiej. Przecież tu już teraz jest olbrzymi ruch. Chcemy, żeby tutaj zostało jak jest. Niech nam zrobią ścieżkę rowerową, nie drogę.

Chcemy ścieżki, nie ruchliwej drogi

- Tego, co nam tutaj potrzeba to ławeczki, ścieżka rowerowa, spacerowa, oświetlenie - apeluje pani Barbara, która mieszka nieopodal. I podkreśla, że mieszkańcy od wielu lat sami sprzątają ten teren zielony.

Zwołują się na wspólne akcje. Interwenują, gdy ktoś tu śmieci, wyrzuca opony, wielkie gabaryty. Bo i tak niestety tutaj bywa. Mieszkańcy mówią, żeby nie wycinać w tym miejscu drzew. Obawa jest, bo pojawiły się na nich oznaczenia. I według relacji mieszkańców, pierwszą roślinność już wycięto. A mieszkańcy dowiadawali się o tym, w trakcie działań.

Zielonogórzanie podkreślają, że teren owszem, potrzebuje zmian, ale bardziej

Chcielibyśmy mieć to na piśmie, że drogi od strony ul. Strzeleckiej i Nowej nie będzie.

Pani Sławomira

wizualnych, porządkowych. By było tu przyjemniej.

Ludzie by tu spacerowali

- Gdyby tu była ścieżka rowerowa, to od razu cały ten teren by inaczej wyglądał. Ludzie by sobie spacerowali - zauważa pani Sławomira. - Niech pan prezydent myśli nie tylko o inwestorze, ale i o nas, mieszkańcach. My przecież też płacimy podatki. I mamy prawa.

Wcześniej wiceprezydent Krzysztof Kaliszuk mówił GL, że w planach jest budowa drogi, ale tylko od strony Sienkiewicza. Skąd więc obawa, że trasa powstanie od ul. Strzeleckiej?

- W planach jest od 2009 roku, gdy zostały one uchwalone, droga łącząca się ze skrzyżowaniem trzech tras - wyjaśnia radny Paweł Zalewski, który zaangażował się w sprawę. I dodaje, że w tym nowym planie też jest to pozostawione. - Jednak rozmawiałem z panem prezydentem Kaliszukiem i również na spotkaniu w urzędzie była mowa, że powstanie tylko droga zaopatrzeniowa, dojazdowa, na niewielkim odcinku, od strony Sienkiewicza, przy murze Regionalnego Centrum Animacji Kultury - mówi. - W jedną stronę do Zefamu, w drugą - dojazd do RČAK-u.

Zdenerwowani mieszkańcy mówią, że brakuje im jasnej informacji. Pojawiają się więc głosy, że zjazd powstanie też od strony ul. Tuwima, będą jeździć tiry. A przecież tu jest skarpa. Że pojawi się wielki parking, będą imprezy masowe. Wątpliwości jest mnóstwo.

- Chcielibyśmy mieć to na piśmie, że drogi od strony ul. Strzeleckiej i Nowej nie będzie - denerwuje się pani Sławomira. [

I dodaje, że 137 osób podpisało się przeciwko budowie tak długiej trasy. Uwagi zostały przekazane miastu. Teraz mieszkańcy są znów gotowi przyjść na sesję.

Uwagi są zbierane

Co na ten temat mówi miasto?

- W lutym w urzędzie miasta był wyłożony do publicznego wglądu projekt planu miejscowego, obejmującego ten teren - wyjaśnia nam Monika Zapotoczna, dyrektor departamentu komunikacji spo-

łecznej w zielonogórskim magistracie. - Można się jeszcze z nim zapoznać na stronie internetowej w dziale planowanie przestrzenne. W tym projekcie planu wysowna jest droga od skrzyżowania Nowej ze Strzelecką i Słowackiego do ul. Sienkiewicza - jako propozycja przeznaczenia terenu. Na spotkaniu - dyskusji publicznej, inwestor z obszaru byłej fabryki Zefam tłumaczył, że dla planowanej inwestycji potrzebne jest wykonanie tylko kawałka drogi z włączeniem do ul. Sienkiewicza. Uwagi do wyłożonego do publicznego wglądu projektu planu miejscowego dla terenu po byłej fabryce mebli „Zefam” zbierane są do 9 marca.

Po tym terminie prezydent miasta będzie rozpatrywał wszystkie złożone do projektu planu uwagi. - I w wyniku tego rozstrzygnięcia będzie można mówić o przyjętym rozwiązaniu, które będzie miało potwierdzenie w dokumencie planistycznym - doprecyzowuje Monika Zapotoczna.

Przedstawiciel inwestora uspokaja

- Droga dojazdowa powstanie na odcinku kilkudziesięciu pierwszych metrów - wyjaśnia przedstawiciel inwestora. - Tylko dla zaopatrzenia. I to jest kilkadziesiąt metrów, które ma swój początek od ul. Sienkiewicza. Tam będzie wjazd do RČAK-u i wjazd techniczny, króciutki odcinek do Zefamu. Dalej będzie już tylko ciąg pieszo-rowerowy.

Inwestor dodaje też, że na spotkaniu w urzędzie miasta, w którym wzięli udział mieszkańcy, wyjaśniał wszelkie ich wątpliwości. I odpowiadał na pytania przez nich zadawane, w ramach swoich kompetencji... ©©

W SKRÓCIE

Zielona Góra Szukasz miejsca w żłobku?

Wnioski o przyjęcie malucha do miejskiej placówki przyjmowane będą do 27 marca. Komisja rozpatrzy je od 6 do 8 kwietnia. Wyniki poznamy 15 kwietnia.

OGLASZENIE 00960366

Informacje płatne

Kontakt do korporacji taksówkarskich

Zielona Góra, osobowe:
Bis Taxi 19191, 68-3262919;
City-Bachus-Taxi 19622, 19626;
Halo Taxi 19625, 68-3253000;
Taxi Czerwone Koguty 19629, 800208300, 607208300.

Szkoła w Radnicy zostaje. Kuratorium wyklucza przeprowadzkę

Krosno Odrzańskie

Łukasz Kolesnik
lkolesnik@gazetalubuska.pl

Podczas grudniowej sesji zastępcy burmistrza Roman Siemiński przedstawiał argumenty za tym, aby zamknąć placówkę w Radnicy, a uczniów przenieść do miejskiej szkoły.

Przemawiała za tym m.in. mała liczba uczniów. Gmina organizowała spotkania z rodzicami, aby przekonać ich do słuszności tej decyzji. Wszystko było na dobrej drodze. Aż pojawiła się decyzja kuratorium oświaty.

- Nie mamy zgody kuratora. To jest oficjalna informacja. Działamy dalej zgodnie z zaleceniami kuratorium - mówi krótko burmistrz Marek Cebula.

- Przygotowujemy się do zorganizowania następnego roku szkolnego w „starym porządku” - przyznaje zastępca burmistrza, R. Siemiński. Jednocześnie planujemy kolejne spotkania z rodzicami i radą pedagogiczną, w trakcie których nadal będziemy na bieżąco informować o możliwości podejmowania działań, które będą miały na celu zrealizowanie podstaw programowych i przy-

gotowania tych dzieci, w jak najlepszy sposób, do zdania egzaminów końcowych. - Podjęliśmy z rodzicami merytoryczną dyskusję, za którą dziękuję. Jako organ prowadzący mamy obowiązek myśleć o przyszłości systemu oświaty w gminie.

Kuratorium uznało, że warunki w budynku w Radnicy nie są gorsze niż w SP 3.

- Trudno się z tym nie zgodzić, ale my patrzeliśmy szerzej mówi wiceburmistrz. - Szkoła w Radnicy była już objęta programem naprawczym. Dzieci uczą się w klasach kilkuosobowych, przez co zaburzony jest

proces socjalizacji. Na dzień dzisiejszy w klasie trzeciej mamy czworo uczniów. Czy jesteśmy w stanie przygotować te osoby do egzaminu końcowego, realizując przedmioty, które wymagają pracowni, nauczycieli-specjalistów?

W szkole w Radnicy brakuje bowiem nowoczesnych pracowni dydaktycznych, czy oferty zajęć pozalekcyjnych. Nie ma też sali sportowej. Zresztą nawet gdyby była, jak uczyć np. czteroosobową klasę gier zespołowych?

- Polityka rządu nie zmieniała się. Nie likwidujemy małych

szkół - mówi lubuska kurator oświaty, Ewa Rawa. - Jeżeli placówka jest dobrze prowadzona, a uczniowie dobrze się w niej czują oraz warunki są odpowiednie, to dla czego ją zamykać?

Co z problemami z kadrami nauczycielską i dyrektorską?

- To ma głębsze podłoże i nie pierwszy przypadek - tłumaczy E. Rawa. - Taką sytuację powodują działania organu prowadzącego. Jeżeli nad jakąś placówką wisi widmo likwidacji, to siłą rzeczy trudniej będzie znaleźć nauczycieli, którzy zechcą tam pracować. ©©

„Nigdy więcej mokrych plam na bieliźnie!”

DARMOWY ŚRODEK WSPIERA WALKĘ Z NIETRZYMANIEM MOCZU – JUŻ OD 1. DAWKI!

ODBIERZ BEZPŁATNY PREPARAT I ZAPOMNIJ O MIMOWOLNYM POPUSZCZANIU MOCZU

Krępujące dolegliwości związane z nietrzymaniem moczu nie muszą dłużej uprzykrzać Ci życia. Nowa formuła pomaga szybko i dyskretnie złagodzić nadwrażliwość pęcherza oraz może zmniejszyć uporczywe parcie na cewkę moczową, przywracając komfort życia nawet po 3 tygodniach stosowania. „Częste wizyty w toalecie i niekontrolowane popuszczanie moczu to już przeszłość” – potwierdza ponad 164 tysięcy osób w całej Polsce. Kiedy do nich dołączysz?

Jeśli:

- Odczuwasz ciągle parcie na pęcherz
- Zdarza Ci się popuszczać mocz podczas śmiechu, czy kaszlu
- Często musisz korzystać z WC

TA FORMUŁA JEST WŁAŚNIE DLA CIEBIE!

Mimowolne wycieki moczu podczas intensywnego wysiłku fizycznego, śmiechu, czy kaszlu, popuszczanie o charakterze neurologicznym albo takie, które pojawiło się po ciąży – każdy rodzaj nietrzymania moczu da się pokonać. Nowatorska metoda właśnie dotarła do Polski i może wspomóc proces uszczelniania pęcherza, hamowania niekontrolowanego popuszczania moczu oraz osłabić nieprzyjemne uczucie parcia na cewkę moczową, wydłużając czas pomiędzy kolejnymi wizytami w toalecie. Jak to możliwe?

**ZAPANUJ NAD PĘCHERZEM –
to łatwiejsze, niż myślisz**

By pozbyć się krępujących dolegliwości związanych z nietrzymaniem moczu, potrzebna silnego aktywatora – środka, który pomoże zwiększyć sprężystość oraz szczelność tkanek budujących układ moczowy już na poziomie komórkowym. Innowacyjna formuła może wpływać na regenerację błony śluzowej cewki moczowej i wzmacniać mięśnie dna miednicy, w szybkim czasie zwiększając kontrolę nad pęcherzem.

Paweł Jastrzębski, spec. ds. schorzeń urologicznych

Siła 100% naturalnych składników

Warto mieć świadomość, że nowatorska formuła może być najsilniejszą metodą wspierającą walkę z nietrzymaniem moczu,

kiedykolwiek powstała. Wykorzystuje bowiem naturalne właściwości regeneracyjne organizmu, pobudzając komórki do wzmożonej produkcji estrogenów i testosteronu – związków odpowiedzialnych za przywracanie prawidłowego odruchu opróżniania pęcherza. Właśnie dlatego efekty takie jak: zwiększenie kontroli nad pęcherzem, zmniejszenie dyskomfortu, czy złagodzenie uczucia parcia na cewkę moczową mogą być zauważalne w bardzo krótkim czasie – bez względu na Twój wiek i płeć oraz przyczynę dolegliwości.



1 DAWKA

Już 1 dawka preparatu dziennie pomaga uszczelnić pęcherz, zahamować niekontrolowane popuszczanie moczu, a także wzmocnić mięśnie dna miednicy **nawet o 81%**.

Koniec wstydlivych incydentów

Eksperti są zgodni, że nowy preparat może złagodzić problem nietrzymania moczu na niespotykanym dotychczas poziomie. To zaskuga silnie stężonych składników, które wykazują zdolność do hamowania nadreaktywności pęcherza moczowego, a do tego mogą niwelować uczucie parcia na cewkę, regenerować i uelastycznić ściany pęcherza oraz budować odpowiednie napięcie i jędrność tkanek układu moczowego. Szacuje się, że aż 9/10 osób odzyskuje

Już nie boję się, że nie dobiegnę do toalety

Ciągłe parcie na pęcherz i brak kontroli nad trzymaniem moczu całkiem wyłączyły mnie z życia towarzyskiego. Strach było wyjść do restauracji, pojechać pod namiot, pójść na basen... Nie ma słów, by opisać, jak bardzo preparat poprawił komfort mojego życia. Dzięki nowej formule odzyskałam panowanie nad pęcherzem już po 3 tygodniach – nie popuszczam, nie muszę biegać co chwilę do WC, nie obawiam się mokrych plam na spodniach. Żyję normalnie, bez strachu i skrupowania wychodzę do ludzi. Jestem zachwycona!

Agnieszka, 47 lat, Poznań

Żadnych przykrych niespodzianek

Jeżdżę tirami, wiele godzin spędzam w podróży, a nerwowe poszukiwania toalety w trasie były nie do zniesienia. Wiele razy nie zdążyłem dojechać do WC na czas. Wstyd, upokorzenie – problemy z pęcherzem totalnie odbierały mi poczucie męskości. O nowym preparacie dowiedziałem się od kolegi. Wystarczył miesiąc stosowania tego środka, bym zapomniał o problemach z popuszczaniem moczu. Nie odczuwam ciągłego parcia, bólu i dyskomfortu, a przede wszystkim w 100% kontroluję swój pęcherz. Polecam.

Mirosław, 55 lat, Katowice

większą kontrolę nad trzymaniem moczu już po 5-6 zastosowaniach, a każda z nich jest w stanie wytrzymać z pełnym pęcherzem nawet 4x dłużej.

**DARMOWA FORMUŁA
MOŻE POMÓC:**

- ✓ ZNIWELOWAĆ PROBLEM NIETRZYMANIA MOCZU
- ✓ ODZYSKAĆ KONTROLĘ NAD PĘCHERZEM
- ✓ ZMNIJSZYĆ PARCIE NA CEWKĘ MOCZOWĄ
- ✓ WYDŁUŻYĆ CZAS WYTRZYMANIA Z PEŁNYM PĘCHERZEM
- ✓ ZAHAMOWAĆ MIMOWOLNE POPUSZCZANIE MOCZU

**Spiesz się by zdobyć
bezpłatny preparat!**

Z programu skorzystało już ponad 164 tysięcy osób, które z pomocą nowej formuły odzyskały kontrolę nad trzymaniem moczu i pozbyły się krępującego popuszczania już po kilkunastu dniach. Ty też możesz odzyskać komfort korzystania z toalety i pozbyć się uciążliwego parcia na pęcherz – a to wszystko szybko, naturalnie i dyskretnie. Sprawdź jak odebrać preparat za darmo i zapomnij o nietrzymaniu moczu, jak 164 000 Polaków.

**LICZBA DARMOWYCH
OPAKOWAŃ JEST OGRANICZONA!**

WZMOCNIJ SVOJE ZDROWIE NA WIOSNĘ

Pierwsze 100 osób, które zadzwonią do 21.03.2020 r.
OTRZYMA 100% REFUNDACJI PRODUCENTA

ZADZWOŃ: 14 687 19 62

SUPLEMENT DIETY
REKLAMOWANY W
TV

pon. - pt. 08:00 - 20:00, sob. - nd. 09:00 - 20:00.
Zwykłe połączenie lokalne bez dodatkowych opłat.

Pieluchomajtki mogę rzucić w kąt!

Stosuję nowy środek od miesiąca – od tego czasu znacznie rzadziej dochodzi do przykrych incydentów, nie moczę się nocami, ustąpił też ból i nieprzyjemne parcie nawet tuż po skorzystaniu z toalety. Kilka dni temu zrezygnowałam nawet z noszenia pieluchomajtek. Czuję się o wiele bardziej niezależna, znów bez obaw śmieję się, kaszlę i wychodzę na długie spacerzy. Z całego serca polecam.

Stanisława, 72 lata, Olsztyn

Co by było, gdyby... Tutaj skończyło się na pomysłach

Leszek Kalinowski
68 324 88 74
lkalinowski@gazetalubuska.pl



Zielona Góra

Wiele się o tych inwestycjach mówiło. Wywoływały one wiele emocji. Jedni bardzo chcieli, by te marzenia się spełniły, inni pukali się w czoło. Jaka byłaby dziś Zielona Góra, gdyby te planowane zadania stały się rzeczywistością?

Już w 2007 roku radna Bożena Ronowicz proponowała, by kolejka napowietrzna połączyła Palmiarnię z dawną Polską Wełną (obecnie galerią handlową). Swoją myśl przedstawiła na sesji. Zapytała prezydenta Janusza Kubickiego, czy kolejka napowietrzna nie mogłaby połączyć Focus Mall z nową Palmiarnią? Większość samorządowców zmarszczyła czoła ze zdziwienia, ale R. Ronowicz dodała: - Taka kolejka ma powstać w Opolu, widziałam w telewizji. Z czasem swoją propozycję powtarzała, pokazując m.in. taką kolejkę we Wrocławiu, która została poprowadzona przez Odrę i jest dziś dużą atrakcją miasta. Niestety, choć niektórzy uważają, że to fajny pomysł, wciąż pozostaje w sferze zielonogórskich marzeń.

Wierzył w wieżę

Prezydentowi Januszowi Kubickiemu zamarzyła się wieża widokowa. W 2016 roku pytał zielonogórzan na swoim Facebooku, co sądzą o jej wybudowaniu. Gdzie miałyby stanąć wieże? Na Wzgórzach Piastow-



Mniej więcej takie gondole miały połączyć Palmiarnię z kompleksem dawnej Polskiej Wełny

skich. Miała tu - w koronie drzew - powstać ścieżka edukacyjna. By przekonać to swego pomysłu innych, zorganizowana została wycieczka na podobną wieżę, która jest za Odrą. W tej sprawie mieszkańcy byli podzieleni. Jedni uważali, że to ciekawa propozycja i warta rozpatrzenia. Inni krytykowali, uważając, że to fanaberie i miasto ma ważniejsze sprawy do załatwienia. Miliony na wieżę, można by wydać na remonty dróg i chodników czy inne inwestycje. Poza tym podnoszono też kwestię utrzymania owej wieży. Stąd dziś mówi się o niej jako o marzeniu...

Prawie Ciechocinek

Ciechocinkiem nie będziemy, ale małe tętnie to fajna rzecz. Tętnia działa w Żarach. Wiele miast je stawia, a u nas tylko się o niej mówi. I marzy. Miasto chciałoby ją (a może nawet niejedną) tętnie wybudować, ale brakuje na to funduszy. Dlatego i ta inwestycja pozostaje w sferze marzeń. Głośno o tętni zrobiło się już w 2014 roku. Potem przez kolejne lata, także na łamach „Gazety Lubuskiej” przetoczyła się szeroka dyskusja na temat tego, czy stawiać tętnie, czy też nie. Następnie Czytelnicy wskazywali najlepsze lokalizacje dla tej inwestycji.

O tym, jakie mamy w mieście powietrze i klimat, często wspominają pionierzy. Kiedy przyjechali do Zielonej Góry w 1945 roku, w każdym domu stały butelki z jodem. Na przedwojennych pocztówkach zauważymy też, że w centrum miasta wieszano specjalne kosze, w których umieszczano solne bryły. Wszystko po to, by zadbać o zdrowie zielonogórzan.

Gruszki na ratuszu

Zielonogórski ratusz jest słynny ze swojej krzywej wieży. Może nie takiej jak w Pizie we Włoszech, ale zawsze to też pewne odchylenie od pionu. Na pewno atrakcją byłoby to, gdyby wieża

była otwarta dla turystów, którzy mogliby podziwiać krajozraz starówki. Popularnością cieszą się tarasy widokowe w Palmiarni, to pewnie i wejście na szczyt wieży spodobałoby się nie tylko mieszkańcom, ale i ich gościom. Marzenia te pojawiają się co kilka lat i są też głośno wyrażane przez radnych na sesjach. Problemem tu nie są pieniądze, ale zapewnienie turystom bezpieczeństwa. Przejścia są zbyt wąskie. Prezydent Janusz Kubicki kilka razy już tłumaczył, że miasto myśli o ratuszowej wieży. Na razie jednak nie można na nią wpuścić turystów, bo jest to zbyt niebezpieczne. Trzeba by dokonać znaczących zmian i wpuszczać na górę turystów małymi grupkami.

Światelka w tunelach

Marzeniem miasta były też podziemne przejścia pod główną ulicą miasta - Bohaterów Westerplatte. Jedno miało się znajdować przy dawnym Domu Handlowym Centrum, a drugie na wysokości Filharmonii Zielonogórskiej. Zresztą po drugiej stronie miały zniknąć białe butiki, a w ich miejscu miał być wybudowany hotel. Takie były marzenia, wypowiedziane już w latach 90. ubiegłego wieku. Do tej pory się nie spełniły. Chociaż... możemy się cieszyć nowym przejściem podziemnym, a właściwie przedłużonym tunelem, pod torami kolejowymi, dzięki czemu mamy połączenie ulicy Dworcowej z ulicą Towarową, co bardzo sobie chwalą np. pacjenci największej przychodni zdrowia w mieście.

Basen w Centrum Rekreacyjno-Sportowym cieszy

się ogromnym zainteresowaniem nie tylko mieszkańców regionu. Codziennie ponad tysiąc osób korzysta z pływalni. Niemal od początku też zielonogórzanom zamarzyła się kolejna inwestycja, a mianowicie rozbudowa pływalni o część zewnętrzną. Chodzi o to, by móc sobie popływać także na zewnątrz. Idealne byłoby rozwiązanie, gdyby woda w zimie na zewnątrz była podgrzewana. A latem zimna, by się można było ochłodzić i położyć na piasku. Bo zielonogórzanie widzą już oczami wyobraźni, jak na miejskiej plaży leżą pod palmami (nie mylić z Palmiarnią). Czy te marzenia kiedyś się spełnią? Mówi się o nich od lat.

Tramwaj zwany pożądanem

Ponoć w Gorzowie krąży dowcip o zielonogórzanach, którzy marzą o... tramwaju zwanym pożądanem. I choć nie do końca to prawda, bo woła jednak elektryczne autobusy, które nie hałasują, to jednak coś w tym jest... Marzy się bowiem mieszkańcom taki miejski szynobus. Zatrzymywałby się on na stacjach Zielona Góra Przylep, Zielona Góra Główna, Zielona Góra Stary Kisielin i Zielona Góra Nowy Kisielin. Plany są takie, że miałyby powstać jeszcze dwa nowe przystanki. Jeden znajdowałby się między osiedlem Leśnym a Zaciszem, a drugi na wysokości osiedla Pomorskiego. To marzenie wydaje się być realnym do spełnienia, skoro miasto wybudowało już na własny koszt stację w Nowym Kisielinie, by ludzie mogli dojeżdżać do pracy. ©©

W SKRÓCIE

Zielona Góra Autobusy w zastępstwie i bilety w promocji

W związku z zamknięciem linii Zielona Góra - Zbąszynek POLREGIO zaplanowało uruchomienie na wspomnianym odcinku autobu-

sów komunikacji zastępczej. Autobusy będą realizowały przejazd na trasie Zielona Góra Główna - Zbąszynek (wybrane kursy w relacji Czerwiesk - Zbąszynek). Również od niedzieli na trasie Zielona Góra Główna - Zbąszynek zostanie wprowadzona oferta „Bilet promocyjny”. (KALI)

Wysadziły mieszkanie, ale nie staną przed sądem

Zielona Góra

Piotr Jędzura
pjedzura@gazetalubuska.pl

Zielonogórska prokuratura zakończyła czynności procesowe w sprawie wybuchu gazu w mieszkaniu bloku przy ul. Wyszyńskiego. Matka i córka nie staną przed sądem ze względu na swoją niepoczytalność. Obie trafią do zamkniętego zakładu psychiatrycznego.

Danuta P. i jej córka Monika. P. usłyszały zarzuty umyślnego spowodowania zagrożenia dla życia i zdrowia wielu osób oraz dla

mienia w wielkich rozmiarach. Obie zostały aresztowane. Z uwagi na podejrzenia co do stanu zdrowia psychicznego w chwili popełnienia przestępstwa, obie na wniosek prokuratora zostały poddane badaniom psychiatryczno-psychologicznym w warunkach zamkniętego zakładu.

Biegli na podstawie badania obu podejrzanych stwierdzili, że w chwili popełnienia przestępstwa były one niepoczytalne. Tym samym miały zniesioną zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem. Dodatkowo biegli

uznali, że w związku ze stwierdzoną u obu podejrzanych chorobą istniejące wysokie prawdopodobieństwo, że w przyszłości dopuszczą się popełnienia podobnego czynu.

Prokurator jeszcze w tym tygodniu wystąpi do sądu w Zielonej Górze o umorzenie postępowania karnego wobec obu kobiet z uwagi na stwierdzenie u nich stanu niepoczytalności. Prokurator wystąpi również o leczenie obu kobiet w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

W środę, 3 lipca, 2019 r. 53-letnia Monika i 77-letnia Danuta P. odkreśliły gaz w kuchence

w kuchni swojego mieszkania na drugim piętrze wieżowca przy ul. Wyszyńskiego w Zielonej Górze i uciekły. Doszło do eksplozji. Akcja ratunkowa po wybuchu gazu trwała wiele godzin. To cud, że nikt nie zginął. Cztery osoby trafiły do szpitala. Jedna z zawałem, jedna z atakiem paniki i dwie z zatruciem dymem. Od razu ruszyły poszukiwania niebezpiecznych kobiet. Danuta i Monika P. zostały zatrzymane, 5 lipca, przed godz. 18.00. Ukrywały się w prowizorycznym szałasie w lesie koło ogródków działkowych na Jędrzychowie. ©©

REKLAMA 009494963

Andrex

Drewno liściaste opałowe
dąb/akacja/buk/brzoza w wałkach
2,40 m cena z dowozem min. 10 mp 160 zł/mp
tel. 68 385 24 66 godz. 8-15

Po 31 latach sklep na deptaku przechodzi do historii

Natalia Dyjas
68 324 88 44
ndyjas@gazetalubuska.pl



Zielona Góra

To był chyba jeden z najdłuższych działających na zielonogórskim deptaku sklepów. Był, bo w tę sobotę przechodzi do historii. Sklep Atem po 31 latach bycia ważnym miejscem dla mieszkańców, kończy działalność.

W witrynie sklepu tuż naprzeciwko ratusza pojawiła się krótka, ale wymowna informacja: „Nasz sklep Atem został otwarty 18 września 1989 roku. Po 31 latach, czyli 14 marca 2020 roku zostanie zamknięty. Drodzy klienci, dziękujemy Wam za zakupy, a przede wszystkim, za zaufanie”.

Kiedy zielonogórzanie zobaczyli, że ten punkt na mapie miasta znika, zaczęli dzwonić do właścicielki sklepu, Ewy Stajer. Z prośbą, by ktoś to miejsce opisał. Przecież nie może on tak po cichu po prostu zniknąć...

- Sklep prowadziłam 31 lat - mówi Ewa Stajer. - Wieść

o tym, że się zamykamy rozszalała się wśród klientów. Przychodzą z podziękowaniami. Próbuja coś kupić na pamiątkę. Jestem im za to wdzięczna.

Skąd decyzja o zamknięciu? - Przeważały względy ekonomiczne - mówi pani Ewa. Podkreśla, że to nawet nie kwestia czynszu, bo lokal jest ich. - Próbowałam przez parę lat wprowadzić innowacje. Wydawało nam się, że skoro tak długo jesteśmy na rynku, to sobie poradzimy. Przebił nas Internet.

31 lat to w handlu jak epoka. Jak zmienił się świat przez te trzy dekady?

- Jak otwieraliśmy sklep w 1989 roku, a było to jeszcze przy al. Niepodległości, sprzedawaliśmy pięć rodzajów torebek i pięć sztuk - mówi pani Ewa. - Nie mieliśmy zielonego pojęcia, czy ktoś będzie chciał kupić torebki ze skóry. Zaczynaliśmy też ze sprzedażą obuwia. Kiedyś ze wszystkimi się rozmawiało. Każdy chciał produkt dotknąć, zobaczyć. Ale przede wszystkim podyskutować. Teraz młodzi tego nie potrzebują. Dziewczyny nawet nie odłożą telefonu, wchodząc. Przechodzą przez sklep, nie kończąc rozmowy. Inaczej nie wiedzą, czy ktoś tutaj



- Przez lata najważniejszy był dla mnie bezpośredni kontakt z klientami - mówi Ewa Stajer

stał, czy nie. A przecież dawniej zamawialiśmy konkretnie pod klientkę! Bo wiedzieliśmy, co ona lubi.

A jakie pani Ewa ma najmilejsze wspomnienia ze sklepu? - Fajne były te momenty, kiedy przychodzili ludzie znani - przyznaje szczerze pani Ewa. - To miłe, że chwalili sobie obsługę w takim małym sklepiku. Była też pani, która miała postanowienie, że co roku będzie u nas kupowała torebkę. I tak było. Sprawdziliśmy, robiła to 19 lat z rzędu.

Sklep mieścił się tuż przy ratuszu. Można było w nim znaleźć galanterię skórzaną, walizki, torebki, portfele, paski, nakrycia głowy, dawniej jeszcze obuwie. Często przychodzili do niego goście zaproszeni na śluby w ratuszu. I robili zakupy. - Byliśmy przygotowani na to, żeby mieć papiery ślubne - mówi pani Ewa. - Ludzie wychodzili z prezentami na ostatnią chwilę. Wzmógł się ruch był też zawsze przed świętami. Wtedy przychodziło bardzo

dużo mężczyzn, którzy o torebkach nie mieli zielonego pojęcia. A my wiedzieliśmy, co jego żona kupiła i doradzaliśmy.

Każdy czuł się tu dobrze opiekowany. Kontakt z klientem był dla pani Ewy najważniejszy. Że może doradzić, sprawić przyjemność. A i oni chętnie się jej zwierzali. - Teraz, kiedy przychodzą klienci, to dziękują - mówi. - A ja im nie mogę podziękować, bo ze wzruszenia nie jestem w stanie mówić. Zdarzało się, że go-

dzinę potrafiłam z klientkami porozmawiać. Przychodziły, opowiadały o swoim życiu. A potem wracały i opowiadały, jak się zmieniła sytuacja. Myślałam, że takich sklepów jest coraz mniej.

Pani Ewa mówi, że nie zamyka sklepu z poczuciem, że dobrze robi. Tę trudną decyzję podejmowała 3 lata. Wracała z pracy i mówiła, że od następnego miesiąca sklep zamknie. Mijał miesiąc i znów otwierała szklane drzwi lokalu.

- Kiedy otwieraliśmy tutaj sklep, było zatrudnionych pięć dziewczyn i ja szóstą. Później dołączył Paweł, który pracuje tu do dziś - mówi. - Wtedy, to rzeczywiście było wariactwo. Niedaleko był sklep z ubraniami. Tamten otwierał się o... 14.00. A my tutaj o 10.00 i do tej 14.00 wysprzedaliśmy wszystko, zanim oni otworzyli. Kobiety brały np. dwie pary tych samych butów, w ogóle ich nie mierząc. Pozmieniało się.

Rozmowę przerywa nam kolejna klientka. Pani Ewa z uśmiechem zaczyna doradzać, jaka apaszka pasować będzie do tego kapelusza. Tak, jak robiła to przez ostatnie 31 lat... ©©

Wyremontują zamek po norwesku

Krosno Odrzańskie

Łukasz Kolesnik
lkolesnik@gazetalubuska.pl

Krośnieński Zamek przeszedł już częściowy remont. Kolejny etap byłby krokiem milowym we współczesnej historii tego zabytku. Obecnie jednak wiele murów Zamku Piastowskiego ledwo się trzyma...

Miasto już od dawna stara się wyremontować piastowski zamek. Przypomnijmy, że niecałe dwa lata temu samorząd przegrał długą walkę o dofinansowanie na potężny projekt o nazwie „Piastowskie dziedzictwo św. Jadwigi Śląskiej”, gdzie wpisano odbudowę północnej i zachodniej części zabytku oraz wyposażenie jej w multimedia, budowę ścieżki między kościołem parafialnym a zamkiem, a także remont zabytkowych organów i przystosowanie wieży kościoła dla potrzeb turystyki. Inwestycja na ponad 20 mln zł poszła w zapomnienie, ponieważ zabrakło jednego punktu do uzyskania dofinansowania.

Okazało się jednak, że nie wszystko stracone. Szansę na prace remontowe o wartości ponad 17 milionów złotych dają tzw. Fundusze Norweskie i to o te środki aplikować będzie



Od frontu krośnieński zamek prezentuje się nieźle. Gorzej z pozostałą częścią

Krosno. Ważne jest pozyskanie partnera właśnie z Norwegii.

- Dodatkowe punkty przyznawane są w trakcie oceny projektu realizowanego w partnerstwie - wyjaśnia Anna Januszkiewicz, Naczelnik Wydziału Promocji i Rozwoju Urzędu Miasta w Krośnie Odrzańskim. - Nasz norweski partner będzie zaangażowany w promocję projektu po stronie norweskiej, zapewnienie norweskich uczestników wydarzeń kulturalnych oraz szkoleń z cyklu „Biznes w kulturze, kultura w biznesie”, a także w przygotowanie i wygłoszenie prelekcji opartej na doświadczeniach w zakresie łączenia biznesu z kulturą.

Projekt „Piastowskie dziedzictwo św. Jadwigi Śląskiej” został podzielony na dwa etapy. - Na część prac związanych z kościołem pozyskaliśmy środki z regionalnego programu operacyjnego. Teraz przyszedł czas na zamek - mówi burmistrz Cebula. - Prace przy budowlach takich jak zamek, z XIII wieku, muszą być prowadzone inaczej niż przy każdym, współczesnym budynku - podkreśla Anna Januszkiewicz. - Stąd wysokie koszty i dla samorządu są one nie do udźwignięcia.

Projekt będzie realizowany w latach 2021-2024, przy czym część inwestycyjna planowana jest na lata 2021 - 2023. ©©

REKLAMA

009598197

PROGRAM POPRAWY SŁUCHU

Nie wahaj się ani chwili!

Ciesz się nieskazitelnymi dźwiękami, dzięki profesjonalnie dobranym aparatom słuchowym!

Nasz gabinet dołączył do ogólnopolskiego Programu Poprawy Słuchu marki #Signia, w ramach którego zapraszamy na indywidualne, profesjonalne konsultacje.

Tworzymy zespół doświadczonych i wykwalifikowanych protetyków!

Spotkajmy się i razem wybierzmy idealny aparat słuchowy dla Ciebie!

W końcu aparaty słuchowe nie gryzą!

#AparatySłuchoweNieGryzą

signia

Aparaty słuchowe
nie gryzą



Tu skorzystasz z programu poprawy słuchu z marką Signia

FONMED APARATY SŁUCHOWE

ZIELONA GÓRA

ul. Sikorskiego 6, tel. 68 320 27 82

Czynne:

od poniedziałku do piątku od 8.00 do 17.00
w soboty od 9.00 do 12.00

NOWA SÓL – PRZYPŁYNIA RODZINNA

ul. Wojska Polskiego 43, tel. 68 356 15 51

Czynne:

poniedziałek, środa, piątek od 8.30 do 16.00
wtorek, czwartek od 8.30 do 17.00

www.fonmed.pl

e-mail: fonmed@o2.pl

18 lat bez połączenia kolejowego. Co dalej?

Rada Miejska w Krośnie Odrzańskim apeluje o przywrócenie połączeń kolejowych na trasie Zielona Góra – Krosno Odrzańskie – Gubin/Guben. W przyjętym dokumencie zwraca uwagę na konieczność zwiększenia dostępności komunikacyjnej dla mieszkańców oraz fakt związany z możliwym wzrostem atrakcyjności inwestycyjnej regionu.

Ostatni pociąg na tej trasie pojechał 18 lat temu. Od 2002 roku wiele się mówiło o przywróceniu połączenia, jednak dotąd na rozmowach się kończyło. Ogłoszenie Programu Uzupełniania Lokalnej i Regionalnej Infrastruktury Kolejowej jest doskonałym momentem na to, by zwrócić uwagę na marginalizację linii i na apel o wzięcie pod uwagę połączenia strategicznego dla Krosna Odrzańskiego i całego powiatu. Otwarcie zamkniętej w 2002 roku trasy byłoby dla mieszkańców pogranicza znacznym udogodnieniem i ułatwieniem w codziennym życiu, stąd nasz apel do Zarządu Województwa – pod-

kreśla Przewodniczący Rady Miejskiej w Krośnie Odrzańskim, Tomasz Rogowski. Uruchomienie transgranicznych połączeń wpłynie na rozwój małych miejscowości wzdłuż szlaku, a także ułatwi dotarcie do stolicy województwa – ośrodka akademickiego, gospodarczego i turystycznego. Burmistrz Krosna Odrzańskiego, Marek Cebula zwraca uwagę na kolej, jako alternatywny dla ruchu samochodowego środek transportu. Szybszy, wygodniejszy i bezpieczniejszy, a także bardziej ekologiczny. Jest jeszcze jeden ważny aspekt – istniejąca infrastruktura ulega stopniowej degradacji. Za kilka lat nie będzie

już czego ratować – podkreśla wóldarz. Z podobnym apelem, tyle że do Premiera, zwróciła się Rada Powiatu Krośnieńskiego. W interesie wszystkich mieszkańców leży przywrócenie tego połączenia – podkreśla Przewodniczący Rady, Kamil Kuśnierek. Padły podobne argumenty – reaktywacja ruchu na linii Zielona Góra – Krosno Odrzańskie – Gubin/Guben jest ważna nie tylko dla pasażerów, ale też regionalnego biznesu, rolnictwa i turystyki. Niedopuszczalne jest więc pominięcie w Programie tak istotnej kwestii dla Gubina, Krosna i całego powiatu.



Krośnieńscy radni apelują o przywrócenie połączenia kolejowego. Przyłączają się do nich radni powiatowi.

Szanowni Państwo, drodzy Mieszkańcy,

w związku z występowaniem koronawirusa w Polsce zwracam się do Państwa z prośbą o przestrzeganie zaleceń służb odpowiedzialnych za nasze bezpieczeństwo. Na wszystkich szczeblach samorządu, jako wójtowie, burmistrzowie, starostowie jesteśmy w stałym kontakcie z Inspektorem Sanitarnym oraz Lubuskim Urzędem Wojewódzkim. Na bieżąco będziemy Państwu przekazywać zalecenia i rekomendacje tych służb.

Ze swojej strony proszę, by podeszli Państwo poważnie do przekazywanych instruk-

cji. Zamknięcia szkół, przedszkoli i żłobków proszę nie traktować jako czas dodatkowych ferii. To czas kwarantanny, który powinniśmy spędzić w domu, by zminimalizować ryzyko zarażenia.

W Gminie Krosno Odrzańskie sztab kryzysowy reaguje na bieżąco. Wprowadziliśmy całonocne dyżury, zgodnie z wytycznymi wyznaczaliśmy również miejsce na kwarantannę, na wypadek pojawienia się na naszym terenie potwierdzonego przypadku koronawirusa. Jednocześnie proszę o otoczenie szczególną opieką osób starszych

i tych o obniżonej odporności.

Przypominam także, że ryzyko zakażenia można zmniejszyć poprzez częste mycie rąk, zasłanianie ust i nosa podczas kichania zgiętym łokciem lub chusteczką jednorazową, unikanie dotykania oczu, nosa i ust, stosowanie bezpieczniejszej odległości od osób, które mają objawy ze strony układu oddechowego, tj. kaszel czy katar. Ograniczmy także przebywanie w dużych skupiskach ludzi do minimum oraz zrezygnujmy przy powitanach z podawania sobie rąk.

Zachowajmy zdrowy rozsądek i uważajmy na siebie oraz swoich najbliższych, a w przypadku pojawienia się objawów typowych dla koronawirusa, nie działajmy na własną rękę, tylko skontaktujmy się telefonicznie z najbliższą stacją sanitarno-epidemiologiczną.

Marek Cebula
Burmistrz Krosna Odrzańskiego
Prezes Zrzeszenia Gmin Województwa Lubuskiego



Burmistrz Krosna Odrzańskiego apeluje o stosowanie się do zaleceń służb sanitarnych

Komunikat Urzędu Miasta w Krośnie Odrzańskim



W związku z ryzykiem epidemiologicznym wynikającym z faktu rozprzestrzeniania się koronawirusa, w trosce o zdrowie Państwa oraz naszych pracowników zwracamy się z prośbą o ograniczenie do niezbędnego minimum wizyt w krośnieńskim Urzędzie Miasta oraz gminnych jednostkach organizacyjnych. Jeśli sprawy nie są pilne, prosimy o odłożenie ich na późniejszy termin.

Zadzwońcie, zanim zdecydujecie o konieczności wyjścia z domu, pomożemy, udzielimy wskazówek, może uda się wyjaśnić Waszą sprawę przez telefon. Tel. 68 410 97 00

Do dyspozycji jest także poczta elektroniczna:
- Biuro Obsługi Interesanta: boi@krosnoodrzanskie.pl,

- Urząd Stanu Cywilnego i Sprawy Obywatelskie: usciso@krosnoodrzanskie.pl,
- Straż Miejska: strazmiej-ska@krosnoodrzanskie.pl,
- sekretariat: sekretariat@krosnoodrzanskie.pl.

Korespondencję w formie tradycyjnej kierujcie na adres: Urząd Miasta w Krośnie Odrzańskim, ul. Parkowa 1, 66-600 Krosno Odrzańskie.

Od poniedziałku, 16 marca do piątku, 27 marca kasa Urzędu Miasta jest nieczynna. Prosimy o dokonywanie wpłat poprzez bankowość elektroniczną. Każdy z podatników (osoba fizyczna) posiada indywidualny numer konta, dlatego wpłaty można dokonać z dowolnego rachunku bankowego.

Od poniedziałku, 16 marca do piątku, 27 marca, interesanci w Urzędzie Miasta przyjmowani są od godziny 8.00 do 12.00. W pozostałych godzinach pracy urzędu – pracownicy są do dyspozycji pod telefonem, można też się kontaktować poprzez pocztę elektroniczną. Wszystkie informacje dostępne są na stronie internetowej urzędu.

W trosce o bezpieczeństwo sanitarne Urząd Miasta w Krośnie Odrzańskim podjął dodatkowe działania profilaktyczne, służące zapobieganiu ewentualnemu rozprzestrzenianiu się koronawirusa. Przy wejściu do Urzędu, gdzie odbywa się bezpośrednia obsługa, w Biurze Obsługi Interesanta oraz przy kasie dostępny jest płyn dezynfekujący do rąk.

Żyjemy jak na linii frontu - mówią mieszkańcy okolicy

Dariusz Chajewski
dchajewski@gazetalubuska.pl



Przewóz

Kanonadę słychać już z daleka. Szybko okazało się, że to nie wiosenna burza, a odgłosy wystrzałów i to z broni konkretnego kalibru.

- Czy to wojna? - zapytaliśmy w sklepie spożywczym w Przewozie.

- Nie, to u nas codzienność - usłyszeliśmy. - Niemcy ciągle strzelają.

Można się przyzwyczaić

Kanonada trwała całe przedpołudnie. W Sanicach młody mężczyzna wycina przydrożne krzewy. Jak tłumaczy mieszka tutaj od dziecka to i się przyzwyczaił. Ludzie też się przyzwyczajają, uczą się z tym żyć. Był nawet czas, że okna folią oklejano, aby szyby nie dzwoniły. I uważa, że nie ma co u Niemców interweniować, gdyż ludzie żyjący w Podroschu, czy w innych wsiach na niemieckim brzegu granicznej Nysy też narzekają na hałasy.

- Skoro swoich nie słuchają to czemu mają się losom Polaków się przejmować - wrzusa ramionami.

W Dobrzyniu dźwięk eksplozji słychać jeszcze wyraźniej i z charakterystycznym głuchym pogłosem. Mieszkańcy tłumaczą, że tutaj jest lekkie obniżenie terenu, co sprawia, że te wojenne dźwięki są dużo bardziej dokuczliwe.

- Strzelają bardzo często, wieczorami to już prawdziwa tragedia, domy się trzęsą, mój jest w kilku miejscach popękany - wzdycha Elżbieta



FOT. JACEK KATARYŃSKI

- Czasami tak strzelają, że szyby dzwonią - mówi Stanisław Madej

Tkacz z Dobrzynia. - Dziś to od samutkiego rana. I tak jest pięć, sześć dni w tygodniu. Nikt też nas o tym strzelaniu nie zawiadamia, nie ma żadnych ogłoszeń na tablicy. Nie wiem, czy gmina interweniowała u Niemców, może wcześniej to robili.

Słyszemy w Dobrzyniu, że wieś jest tak mała, że nikt się jej problemami nie przejmuję.

W dzień i w nocy

- Tak wał i w nocy, i w dzień, gdy mają ćwiczenia - tłumaczy młody mężczyzna w Sanicach.

- Bo tam Niemcy mają swoją strzelnicę - dodaje Stanisław Madej. - Oj nie żałują sobie. Szyby nieraz dudnią. Dziś to jeszcze słabo wał. Czasem jak huknie to ziemia aż dudni. To pewnie kiedy jakiegoś konkretnego działa wyciągną. A poligon zrobili ładnych kilka lat temu. Chcieli, to

zrobili. Spalarnię też Niemcy mają tutaj i strasznie kopcą na naszą stronę. Bo kto im zabroni?

Mieszkańcy wsi wzdłuż granicznej Nysy gorzko żartują, że żyją w strefie wojny. Na zachodzie poligon niemiecki, na wschodzie polski.

Chłopaki strzelają

- Nie, mnie to nie przeszkadza, ja wychowałem się w wojsku - pan Wojciech z Potoku urzędu przed domem wielorodzinnym niewielki ogródek. - Strzelają chłopaki, ale co zrobić, jak mus, to mus.

Równie spokojnie do sprawy podchodzi mieszkanka przytulonej do brzegu Nysy wsi Bucze. Jak tłumaczy człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić.

- Mieszkam w Przewozie i muszę zgodzić się z mieszkańcami, te hałasy rzeczywiście są uciążliwe - mówi wójt Przewożu Mariusz Strojny. - Wiem, że gdy zaczęły się strzelania na niemieckim poligonie, gmina skierowała prośbę do naszych sąsiadów o interwencję. Otrzymaliśmy odpowiedź, że nie ma możliwości odstąpienia od strzałów. Jednak zapewniono, że nie będą już tam wykorzystywane haubice.

I wójt dodaje, że pewnie trzeba będzie ponownie zwrócić się do sąsiadów z prośbą o ograniczenie strzałów.

- O słyszał pan jak teraz łupnęło - rzucił mężczyzna spotkany przed bankiem. - Starszym ludziom to się z wojną kojarzy. A dla mnie... Dwa lata w wojsku byłem, w artylerii. Takie bum, bum to mi się nawet z młodością kojarzy.

To bum, bum słyszymy jeszcze długo przejeżdżając przez kolejne wsie... ©©

Co dalej z dyżurami tej apteki? N razie nie znamy odpowiedzi

Świebodzin

Renata Zdanowicz
rzdhanowicz@gazetalubuska.pl

- W niedzielę około godz. 18.00, będąc u lekarza na szpitalnym SOR-ze dostałem receptę wraz z informacją, że dyżur pełni apteka „Rajska” przy ul. Sukienniczej - opowiada Bogusław Doliński, który zadzwonił do redakcji.

Po dojeździe do wskazanej apteki okazało się, że drzwi są zamknięte a na szybie jest kartka „Z powodu remontu apteka nieczynna do odwołania” oraz podany numer telefonu.

Czytelnik zadzwonił pod wskazany numer, by się dowiedzieć, która apteka pełni dyżur zastępczy. Nikt nie odbierał telefonu. Od innych osób, które też przyjechały pod aptekę również nie odbierano. Pan Bogusław objechał wszystkie apteki na terenie miasta. - Wszędzie ta sama sytuacja, apteki zamknięte z listą dyżurnych aptek, na której figurowała „Rajska”.

Czytelnika oburza fakt, że dyżurna apteka nie powiadomiła szpitala o swoim zamknięciu, narażając wielu chorych na trącenie czasu i bezcelowe krążenie

po mieście. W poniedziałek pan Bogusław zadzwonił do redakcji prosząc o wyjaśnienie i nagłoszenie tej sprawy. Od nas też nikt z apteki nie odbierał telefonu. Internauci piszą, że taka sytuacja, gdy w mieście brak jest dyżurnej apteki zdarza się.

Zawiadomiliśmy starostwo powiatowe oraz Lubuską Okręgową Izbę Aptekarską w Zielonej Górze, która pełni funkcję samorządu zawodowego aptekarzy i opiniuje dyżury w dni wolne od pracy. Odpowiedź z Izby Aptekarskiej otrzymaliśmy dopiero po monitach.

Prezes Daria Wielogórska-Rutka potwierdziła, że apteka „Rajska” jest zamknięta. Placówka została zalana podczas ostatniej burzy. Ponadto aptekarka, która miała pełnić niedzielny dyżur nagle sama potrzebowała pilnej pomocy medycznej i znalazła się w szpitalu. Splot tych nieprzewidywanych okoliczności uniemożliwił otwarcie apteki. Jednak o zawieszeniu pracy apteki na czas remontu właściści powiadomili Izbę już 11 lutego.

Zastępstwo na kolejny dyżur 10 marca zostało wskazane. Co z kolejnymi dniami? Jeszcze nie mamy informacji. ©©



A ta właśnie apteka miała tego dnia dyżurować...

FOT. RENATA ZDANOWICZ

Nowa Sól Masz jeszcze azbest na dachu? Zgłoś się

Do końca miesiąca urząd miejski prowadzi nabór chętnych do programu usuwania azbestu z nieruchomości. Chodzi o osoby prywatne. Niebezpieczny materiał zostanie odebrany i zutylizowany. Urząd Miejski w Nowej Soli ma szansę otrzymać specjalne wsparcie z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na finansowanie prac związanych właśnie z demontażem wyrobów zawierających azbest. Szczegółowych informacji udzielają pracownicy wydziału gospodarki komunalnej i ochrony środowiska, tel. 68 459 0339.

Niegosławice Kolejny bandycki skok na bankomat

W środę ok. 5.00 złodzieje wysadzili bankomat przy Banku Spółdzielczym. - Bankomat został uszkodzony, ale kasety z pieniędzmi zostały nietknięte - informuje sierżant sztabowy Aleksandra Jaszczuk, oficer prasowy żagańskiej policji. - Trwają czynności w tej sprawie. - Samego wybuchu nie widziałem - powiedział mieszkaniec Niegosławic, który poinformował nas o zdarzeniu. - Zaraz przyjechało mnóstwo policji i przepytawali ludzi. Trwa zabezpieczanie śladów i monitoringu - bankomat był objęty okiem kamery.

REKLAMA

Parker Store

- hydraulika siłowa
- pneumatyka
- łączniki
- przewody wysokociśnieniowe
- węże i łączniki przemysłowe

TECHMAK Sp. z o.o.
65-705 Zielona Góra, ul. Naftowa 3 | tel. 68 451 95 90 | fax 68 451 95 91
e-mail: zielonagora@techmak.com.pl | www.techmak.com.pl

Czerwony czy niebieski? Dwie wsie i dwa warianty na mapie

Eliza Gniewek-Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl



Sława

- Potrzebujemy obwodnicy jak ryba wody - przyznaje sołtys Lubogoszczy Kazimierz Wawrzyniak. - Powstała jej południowa część, ale to jest tak, jakby zbudować most na rzece do połowy. Warianty dokonania obwodnicy Sławy byłyby trzy. Żaden nie uzyskał poparcia większości mieszkańców, co więcej dwie wsie wybierają dwie inne propozycje.

Skończyły się konsultacje społeczne w sprawie przebiegu drugiej części obwodnicy Sławy. Warianty niebieski i zielony prowadzą przez lasy w Lubogoszczy, czerwony blisko zabudowań w Goli. Teraz ekipa ekspertów przeanalizuje zebrane od mieszkańców uwagi. A tych nie brakuje. Siedemdziesięciu mieszkańców Lubogoszczy podpisało list do Zarządu Dróg Wojewódzkich, który miałby realizować inwestycję. „Bardzo ważnym jest zachowanie naszego luboskiego lasu - parku w całości, ponieważ jest on miejscem spacerów całej lokalnej społeczności. Przedzielenie tego rezerwuaru przyrodniczego drogą zepsuje bezpowrotnie otoczenie osiedla zaraz przy jeziorze. Spowoduje, że powód, dla którego była podjęta przez wielu decyzja o zamieszkaniu właśnie tutaj, ze względu na położenie blisko lasu, coraz bardziej czystego jeziora, a zarazem niedaleko od Sławy, zostanie w zasadzie zmieniony” - napisali mieszkańcy i opowiedzieli się za wersją czerwoną. Taj jednak zdaniem mieszkańców Goli przebiega zbyt blisko ich domostw. I tej nie popiera też gmina.

Nikt się z nikim się nie kłóci

- Nikt się z nikim nie kłóci, tylko każdy pilnuje swojego interesu - uważa sołtys Goli Katarzyna Siepietowska-Mateja. - Gdyby powstała obwodnica, ruch w Lubogoszczy i Sławie się zmniejszy. Ale jeśli chodzi o zmianę natężenia ruchu u nas, to nic się nie zmieni. Samochody i tak będą jeździć na Wolsztyn przez naszą wieś. A nasi mieszkańcy przy trasie czerwonej odczuliby zmianę. Jest ona za blisko terenów zabudowanych. Sołtyska podkre-



Spotkanie w sprawie konsultacji dotyczących trzech wariantów budowy drugiego etapu obwodnicy Sławy. Mapa niby jedna, ale każdy patrzy na nią z innej strony...

Sołtys wie, że nie wiadomo, czy w ogóle będą pieniądze na drogę, ale marzy o niej, chciałby dożyć jej budowy i przejechać się nią.

śla, że z jej perspektywy w Goli byłoby wtedy najgorzej, bo budynki są w tej propozycji najbliższej drogi.

- Wszyscy myślą, że my jesteśmy przeciw obwodnicy, a my jesteśmy za, tylko żeby była kawałek dalej - podkreśla Anna Zadłużna z Lubogoszczy. - Rozwiązanie przez las jest dla nas bardzo niekorzystne. To kawałek lasu, który mamy. Będziemy o niego walczyć. Mało mieszkańców wie, że planowana jest obwodnica tylnym obszarem Lubogoszczy.

- Pierwsze słyszę, że jest jakiś konflikt - mówi Kazimierz Wawrzyniak, który jest sołtys Lubogoszczy od 32 lat. - Było spotkanie w tej sprawie w gminie. Byli zaproszeni mieszkańcy obu wsi i Sławy. Byliśmy wszyscy razem, bo to dotyczy nas wszystkich. Obwodnica jest nam potrzebna tak jak rybnie woda do życia.

Z niecierpliwością czekamy. Chcielibyśmy, aby jak najszybciej zaczęła się budowa. To jest tak, jakby na Odrze zrobić most do połowy, a dalej nie.

Sołtys podkreśla, że chciałby, aby wybrane zostało rozwiązanie, z którego wszyscy będą zadowoleni. - Jak jednym pasuje, to drugiemu nie, a niektórym mówią: „nie bo nie”, ale tych jest mało. Większość wyraża zgodę - przyznaje.

Kazimierz Wawrzyniak wyjaśnia, że droga woj. nr 278 przebiega teraz przez środek Lubogoszczy. Niektóre budynki stoją od krawędzi jezdni w odległości 60 - 80 cm. - Domy pękają. Jeździ tędy ciężki tabor samochodowy, bo przecież Sława rozwija się, nie tylko turystycznie, ale i przemysłowo. Największe szkody przynoszą nam tiry. Budynki nie wytrzymują, są przedwojenne i powojenne, kiedy powstawały, nie był przewidziany taki ruch, jaki jest teraz.

Sołtys wie, że nie wiadomo, czy w ogóle będą pieniądze na drogę, ale marzy o niej, chciałby dożyć jej budowy i przejechać się nią.

Wybór to problem złożony

- Powstała różnica zdań pomiędzy mieszkańcami, co do wskazania wariantu preferowanego, dlatego proponowaliśmy

możliwość wprowadzenia wariantu pośredniego pomiędzy W1 a W2, który mógłby pogodzić oczekiwania poszczególnych grup społecznych - pisze w odpowiedzi na nasze pytania dyrektor ZDW Paweł Tonder.

ZDW zostawił dla mieszkańców ortofotomapy z naniesionymi przebiegami wariantów. Wyznaczono dwa tygodnie od spotkania na zapoznanie się z rozwiązaniami i wniesienie uwag oraz wniosków. Do drugiego marca wpłynęły pisma mieszkańców popierających przebieg planowanej obwodnicy w każdym z wariantów. Są też propozycje modyfikacji. - ZDW po zebraniu wszystkich uwag przystąpi do weryfikacji zasadności poszczególnych wniosków oraz możliwości ich wprowadzenia. Wynikiem, czego będzie zaproponowanie wariantu optymalnego - zapewnia dyrektor Tonder i zaznacza, że wybór wariantu preferowanego przez ZDW jest problemem złożonym i wymaga uwzględnienia kryteriów o różnym znaczeniu, potrzeb mieszkańców, wymagań technicznych.

- Najważniejszym i najtrudniejszym elementem jest pogodzenie interesów części mieszkańców m. Lubogoszcz oraz m. Gola. Planowana inwestycja powinna zrównoważyć oddzia-

ływanie na nieruchomości, zarówno po stronie północnej, jak i południowej planowanej obwodnicy. Powyższe wiązać się będzie z koniecznością wyrosowania trasy w obrębie lasu zlokalizowanego w północnej części Lubogoszczy przy zachowaniu zgodnej z prawem odległości od najbliższych zabudowań. Przygotowywany nowy wariant przebiegu planowanej obwodnicy po opracowaniu zostanie przekazany do ponownych konsultacji z mieszkańcami - podkreśla dyrektor Zarządu Dróg Wojewódzkich.

Może nie być pieniędzy

Zarząd Dróg Wojewódzkich informuje też, że realizuje inwestycje w oparciu o plan zatwierdzony uchwałą Zarządu Województwa Lubuskiego. W aktualnym, budowy obwodnicy Sławy, nie ma, a ZDW nie ma zatwierdzonych dokumentów planistycznych dotyczących inwestycji po 2020 roku. - Niemniej jednak w projekcie Planu inwestycji priorytetowych planowanych do realizacji na drogach wojewódzkich w latach 2021-2027 w ramach nowej perspektywy finansowej UE, ZDW planuje ująć inwestycje pn. „Budowa obwodnicy m. Sława - etap II”. Jednakże należy mieć na uwadze, że inwestycja uzależniona będzie od terminu

Sprawa jest dla mieszkańców ważna, bo kiedy powstanie most w Milsku, zwiększy się ruch przez Lubogoszcz i Sławę

uruchomienia środków finansowych w ramach nowego Regionalnego Programu Operacyjnego, a także poziomu alokacji, jaka będzie przyznana na realizację inwestycji drogowych. W związku z tym, ujęcie zadania w projekcie Planu w ramach nowej perspektywy finansowej UE nie stanowi zapewnienia o jego realizacji, ponieważ wybór oraz zakres zadań rozpatrywany będzie w momencie, kiedy znana będzie dostępność środków UE na nową perspektywę - podkreśla na zakończenie pisma dyrektor Tonder.

Obwodnicę trzeba budować

- Mieszkańcy Lubogoszczy protestują, że lasy będą przecięte na pół, ale on będzie też barierą dźwiękochłonną. Wersja czerwona będzie bardzo blisko domostw mieszkańców - wyjaśnia wiceburmistrz Krzysztof Gruszecki. - Wersje zielona i niebieska, mają fajną odległość. Lasy będące przyjeżdżają tam szum samochodów. Mamy w gminie prawie 50 proc. zalesienia. Lasy Państwowe co roku wykazują bilans dodatni. Trzeba coś wybrać. Jeśli społeczeństwo będzie protestować, to ZDW może wybrać inne miejsce, bo łatwiej realizować inwestycje tam, gdzie ludzie się dogadują. Zastępca burmistrza ma nadzieję, że wybrana zostanie pośrednia koncepcja, że może uda się oszczędzić lasy i że jedna i druga strona się zgodzą. - Wtedy obwodnica będzie miała szansę powstać w miarę szybko. Ale jeśli będą oboje nieprzejednane, Sława może obwodnicę stracić. Trzeba chcieć i mieć dobrą wolę. Walczymy z burmistrzem dosyć długo o tę obwodnicę. Mieszkańcy nas pytają, dlaczego jej nie ma - podkreśla wiceburmistrz.

Sprawa jest dla mieszkańców ważna, bo kiedy powstanie most w Milsku, zwiększy się ruch przez Lubogoszcz i Sławę...

©

Oskarżony Dymitar: My go nie zabiliśmy, my go tylko pobiliśmy

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl



Gorzów Wlkp./Kostrzyn

W sprawie zabójstwa, do którego doszło w Kostrzynie wciąż jest wiele znaków zapytania. Czy proces, który właśnie ruszył przed sądem odpowie na te pytania?

- Nas wszyscy szanują za to, że jesteśmy dobrymi chłopakami. Niewinni siedzimy w areszcie - mówił na sali rozpraw gorzowski sędzia okręgowy Martin D. To urodzony w 1989 r. Bułgar, który jest oskarżony o morderstwo, do jakiego doszło 14 maja przy ul. Jana Pawła II w Kostrzynie. Na ławie oskarżonych siedzi wraz z... rok młodszym bratem Dymitem D. oraz z 50-letnim ojcem Ivanem H. Każdy z nich ma zarzut zamordowania ich 32-letniego rodaka (Krasimira) oraz ciężkiego zranienia jego 26-letniej dziewczyny, na co dzień prostytutki (Ayry).

Mężczyźni nie przyznają się do winy. To, do czego doszło w dziesięć miesięcy temu w Kostrzynie widać jednak na zapisie monitoringu.

Na odtwarzanym na sali rozpraw materiale doskonale widać, jak na ulicę podjeżdżają dwa ciemne samochody. Na zapisie z jednej kamery widać, że z jednego z nich wychodzi trzech mężczyzn, którzy podchodzą do czekającej na chodniku pary. Widać też bójkę pomiędzy kilkoma osobami. Z kolei zapis z drugiej kamery widać, jak jeden z mężczyzn atakuje kobietę. Na zapisie monitoringu widać, że napastnik robi zamach charakterystyczny dla ataków nożem. Cała akcja trwa



Jak szacują prawnicy proces nie powinien długo trwać. Zdjęcia z procesu zobaczycie na gazetalubuska.pl.

raptem kilkadziesiąt sekund. Po ataku mężczyźni wsiadają do samochodów i odjeżdżają. W samochodach nawet nie było zgaszonych silników...

Jak zostało zapisane w akcie oskarżenia, 32-latek pięciokrotnie został ugodzony nożem w plecy, brzuch i tętnicę prawego uda. Dostał krwotoku wewnętrznego i zewnętrznego. Zmarł kilkadziesiąt sekund po otrzymaniu ciosów. Zadano mu rany co najmniej dwoma nożami.

26-latkę udało się uratować. Ma być jednym ze świadków. W sądzie ma stawić się podczas najbliższego, trzeciego już, posiedzenia. Zostało ono zaplanowane na 14 kwietnia. Dziś kobieta prawdopodobnie przebywa w Bułgarii.

- Nie przyznaję się. My go nie zabiliśmy, tylko pobiliśmy - mówił w sądzie Dymitar.

Co Bułgarzy robili w Kostrzynie? Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, przyjechali do Polski, bo chcieli wyjaśnić sprawę dotyczącą „terenu wpływów” z pracy 26-latki. Tuż przed zabójstwem 32-latka pracowała ona dla niego. Wcześniej była jednak związana z ro-

dziną napastników. Była nawet dziewczyną Dymitara.

- Zerwaliśmy, bo ona chciała być prostytutką, nie chciała być ze mną - mówił 30-latek.

Na zakończone starciem z późniejszą ofiarą spotkanie napastnicy przyjechali w towarzystwie czwartego Bułgara. To Ivaylo, kuzyn dwóch braci. Mieszkał on przy ul. Asfaltowej. Pozostała trójka przyjechała do niego z Berlina. W towarzystwie Bułgarów na spotkanie z 32-latką pojechało jeszcze dwóch Rumunów. Na zapisie z monitoringu widać, że gdy mężczyźni wysiadający z jednego z aut zaatakowali 32-latka, oni przyglądali się temu z oddali.

Gdy Bułgarzy odjeżdżali z ul. Jana Pawła II w Kostrzynie, jeszcze nie wiedzieli, że 32-latek nie żyje. Dowiedzieli się o tym kilka

Wyrok zapadnie nie wcześniej jak po świętach. W ostatni wtorek odbyła się druga już rozprawa.

dni później w Berlinie, gdy zaczął ich szukać brat zamordowanego. Zemsty zaczęła szukać też rodzina 32-latka.

- Pod dom Ivayla przyszło 40 osób, same kobiety. Zaczęły wybijać okna. To samo było w moim domu. Przestraszyliśmy się, ruszyliśmy do Anglii - opowiadał w trakcie śledztwa Dymitar.

W międzyczasie za Bułgarami wysłano europejski nakaz aresztowania. Był on jednak wystawiony jedynie na trójkę - ojca i jego dwóch synów. Gdy więc cała czwórka została zatrzymana do kontroli przez francuskie służby, Ivaylo został puszczony wolno. Ivan H., Martin i Dymitar D. zostali przewiezieni do Polski.

Proces w ich sprawie ruszył na początku marca. Całej trójce grozi kara dożywotniego więzienia. Nie jest jednak wykluczone, że kara zostanie zróżnicowana. 50-letni Ivan H. cztery lata przed wydarzeniami w Kostrzynie wyszedł z bułgarskiego więzienia. Odsiedział w nim 19 z 23 lat za morderstwo. Jeśli więc 50-latek uznany zostanie winnym zabójstwa 32-latka, będzie to dla niego recydywa (zachodzi ona, gdy skazany w ciągu pięciu lat po odbyciu co najmniej sześciu miesięcy kary za podobne przestępstwo, za które już został wcześniej skazany).

Wyrok zapadnie nie wcześniej jak po świętach wielkanocnych. W ostatni wtorek odbyła się druga już rozprawa. Zeznał na niej Ivan D. Swoją opinię przedstawiał też biegły.

Jak mówił nam po rozprawie mecenas Jerzy Synowiec, obrońca 50-latka, do zakończenia procesu prawdopodobnie pozostało niewiele. Poza wysłuchaniem pokrzywdzonej Bułgarki, w planach jest też zapoznanie się z opinią biegłego psychiatry oraz wysłuchanie kilku świadków. ©©

Najwyższy czas na drugi pas jezdni. Już zaczyna być powoli widoczny

Gorzów Wlkp.

Tomasz Rusek
dchajewski@gazetalubuska.pl

Z poziomu chodnika jeszcze tego tak nie wyraźnie widać, ale z góry - już tak. Ul. Łukasińskiego niedługo będzie miała drugi pas. To element jednej z największych inwestycji ostatnich lat.

Najpierw słowo wyjaśnienia: ul. Łukasińskiego to jezdnia, która zaczyna się przy rondzie koło Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego i biegnie w stronę ul. Zawackiej (dawna Bierzarina). Docelowo drugi pas będzie mieć nie tylko ona, ale także właśnie ul. Zawackiej i odcinek ul. Walczaka od ronda Gdańskiego do ul. Fieldorfa Nila na wyjeździe na Strzelce Krajeńskie. Dodatkowo wydłużona zostanie linia tramwajowa. Wagony nie będą kończyły trasy na pętli Siłwana, ale kilkaset metrów dalej - przy ostatnich wieżowcach na osiedlu.

- Najbardziej cieszy mnie, że będzie przebudowane rondo Gdańskie. Dziś można je przejechać 120 km/h. Jak wchodzę na pasy, to za każdym razem obawiam się takiego kierowcy. Super, że powstaną nowe ronda na skrzyżowaniach z ul. Szarych Szeregów i Fieldorfa Nila. To sprawi, że ruch będzie bardziej płynny - oceniał Robert Materko, którego spotkaliśmy na rowerze na ul. Zawackiej.

Sprawdzamy pierwszy etap

To gigantyczne przedsięwzięcie. Miasto za roboty zapłaci aż 74 mln zł (więcej niż za przebudowę układu drogowego w centrum Gorzowa, więcej niż za modernizację Kostrzyńskiej). Postanowiliśmy więc sprawdzić, jak idą prace na pierwszym etapie: budowie

drugiego pasa ul. Łukasińskiego.

Roboty są zaawansowane. Z poziomu chodnika tak dobrze tego nie widać, ale z góry już tak. Fachowcy wytyczyli miejsce pod dodatkową nitkę. Zaczęli od skrzyżowania z ul. Zawackiej. Zniwelowali skarpe, zbudowali mur oporowy, powoli dochodzą z robotami do ronda przy WORD-zie. Codziennie pracuje tu kilkudziesięciu budowlanych i ciężki sprzęt.

Docelowo powstanie tutaj druga jezdnia o długości ponad 1 km, ciąg pieszo-rowerowy, ułożona zostanie także kanalizacja deszczowa (w galerii znajduje m.in. przygotowane do wkopania wielkie rury).

To nie będzie szybka robota

Zgodnie z pierwotnymi założeniami (przedstawionymi we wrześniu 2018 r., gdy podpisano umowę) prace powinny być zakończone jeszcze w tym roku. To jednak mało prawdopodobny termin, bo lista rzeczy do zrobienia jest bardzo długa.

Na ul. Walczaka lista zadań wygląda tak: przebudowa istniejącej jezdni (odcinek o długości ok. 1,5 km), budowa nowej drugiej, przebudowa trzech skrzyżowań, przebudowa torowiska i sieci trakcyjnej, budowa ciągu pieszo-rowerowego, budowa kanalizacji deszczowej, budowa oświetlenia drogowego w systemie LED, zagospodarowanie rekreacyjne przyległego terenu.

Z kolei rozpiska przedsięwzięć na ul. Zawackiej prezentuje się następująco: budowa nowej drugiej (odcinek o długości ok. 0,8 km), przebudowa dwóch skrzyżowań, budowa ciągu pieszo-rowerowego, budowa kanalizacji deszczowej, budowa oświetlenia drogowego w systemie LED. ©©

W SKRÓCIE



Gorzów Wlkp. Beznerwów, kubły się pojawiają również tutaj

Wymiana kubłów na śmieci w północnych dzielnicach została przesunięta o miesiąc. Inneko i Komunalnik, czyli firmy, które mają odbierać śmieci, potrzebują więcej czasu.

Kostrzyn

Będzie nowa droga. Teraz jest tu jedynie piach, kurz, dziury i błoto.

Około milion złotych przeznaczony na budowę ul. Jodłowej i kolejnego fragmentu ul. Klono-wej. Ulice będą wybrukowane kostką betonową o grubości 8 cm, powstaną też chodniki i dojeżdżalnie do posesji. Pod ulicami znajdzie się kanalizacja deszczowa, zagospodarowane zostaną sąsiednie z ulicami tereny zielone. Miasto ogłosiło już przetarg na tę inwestycję. Zgodnie z planem budowa zakończyć ma się we wrześniu 2020 r. Przypomnijmy, że w zeszłym roku wyremontowano ul. Dębową i fragment ul. Klono-wej. (PIK)

W SKRÓCIE

Gorzów Wlkp. Do kierowcy nie podchodzi. Będzie w chronionej strefie

Od czwartku w Gorzowie nie będzie można wchodzić do niektórych autobusów miejskich przez drzwi na wysokości kierowcy. Nie będzie można też kupić u niego biletów. W kolejnych dniach ma to objąć wszystkie pojazdy. Specjalne wydzielone strefy z zakazem korzystania przez pasażerów obejmą obszar w rejonie kabiny kierowcy, pierwszych drzwi oraz pierwszych siedzeń. Chodzi o to, by ograniczyć możliwość ewentualnego zakażenia się koronawirusem przez kierowców. (JM)

Złota rączka dla seniorów działa

Gorzów Wlkp.

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

O tym, że Złota Rączka dla Seniora znów będzie działać, informowaliśmy pod koniec lutego. Program wystartował.

- Złota Rączka czeka na zgłoszenie - informuje Monika Józwa z wydziału spraw społecznych. - Program polega na zapewnieniu nieodpłatnej pomocy gorzowskim seniorom w drobnych domowych naprawach - dodaje urzędniczka.

Na jaką pomoc mogą liczyć seniorzy? To wymiana żarówek, obsadzenie lub wymiana wyrwanych gniazdek elektrycznych czy wymiana uszczelki w przeciekających kranach. Po fachowca można też zadzwonić także, gdy trzeba zamontować zamek w drzwiach czy wyregulować drzwi, złożyć meble. Maksymalna wartość naprawy - zrobotizną i częściami do naprawy czy dojazdem - nie może przekroczyć 150 zł.

Jeśli awaria jest pilna, fachowiec pojawia się w domu seniora w dniu zgłoszenia. Jeśli usterka

może poczekać, to naprawa odbywa się najpóźniej dwa dni po zgłoszeniu. Fachowców w tym roku ma być trzech.

Za program odpowiada fundacja Pozytywka. Zgłoszenia przyjmuje telefonicznie pod numerami: 95 722 44 77 lub 661 730 003 od poniedziałku do piątku od 9.00 do 13.00. W każdej chwili można też wysłać mail pod: zlotaraczkapozytywka@onet.pl. Program Złota Rączka dla Seniorów działał w Gorzowie już w zeszłym roku. Skorzystało około 300 seniorów. ©©

Nie lali wody, posprzątali. Na nadodrzańskich łakach i wałach jest już czysto

Ślubice

Aleksandra Pazda
apazda@gazetalubuska.pl

Wody Polskie uprzątnęły teren nad Odrą. Czy ludzie uszanują ich pracę? Kto zajmie się tutaj porządkiem?

Na początku marca pisaliśmy o przykrym zjawisku, które od dawna występuje na terenie ślubickich wałów i Parku Nadodrzańskiego (tzw. łak). Teren notorycznie jest zaśmiecany przez mieszkańców i przyjezdnych. Porzucane butelki, puszki, opakowania po jedzeniu, a nawet stare opony - taki widok to już codzienność.

- Czy tak trudno wyrzucić to do kosza? Lepiej zostawić na trawie? Nigdy tego nie zrozumieć - przyznaje zdenerwowany Mariusz, którego spotykamy tuż przy McDonaldzie. To właśnie tu śmieci było najwięcej...

Jak udało nam się dowiedzieć, teren obwałowań Odry należy do Wód Polskich. 2 marca wysłaliśmy maila z pytaniami, jak często wały są sprzątane, kto się tym zajmuje i czy pracownicy instytucji mają pomysł, jak zapobiec zaśmiecaniu. Kilka dni później to miejsce wyglądało nie do poznania!

- W ramach dobrych praktyk i pozytywnej współpracy z gminą Ślubice wskazany teren został po otrzymaniu zgłoszenia niezwłocznie uprzątnięty - poinformował nas Jarosław Garbacz z Zespołu Komunikacji Społecznej i Edukacji Wodnej. - Jednocześnie zwracamy uwagę na fakt, iż to lokalni mieszkańcy oraz osoby przyjezdne są bezpośrednio odpowiedzialne za masowe pozostawianie odpadów na wałach przeciwpowodziowych w tym miejscu, co jest istotne w kontekście obowiązywania ustawy O utrzymaniu czystości i porządku w gminach.

Wody Polskie dodają, że teren wałów przeciwpowodziowych spełnia warunki tzw. terenów otwartych, które służą społeczeństwu. - W związku z tym w pełni zasadnym jest stanowisko, że obowiązek utrzymania czystości i porządku na tych terenach powinien należeć do gminy - tłumaczy pracownicy.

Trwa przygotowywanie porozumienia w sprawie określenia warunków technicznych i finansowych dotyczących stałego utrzymania porządku i czystości na wale, znajdującym się na terenie Ślubic. Tego typu porozumienia z powodzeniem funkcjonują już w innych miastach i miejscowościach Polski południowo-zachodniej.

- Od wielu lat staramy się edukować użytkowników naszych terenów oraz obiektów, aby korzystając z obszarów nadrzecznych i przy innych akwenach, dbali o ład i porządek - wyjaśnia Garbacz i dodaje, że pracownicy terenowi regularnie patrolują tereny najczęściej zaśmiecanie przez ludzi i w miarę możliwości sami usuwają odpady.

W mailu, który wysłaliśmy do Wód Polskich napisaliśmy również, że podobny problem występuje na terenie Parku Nadodrzańskiego. Jakis czas temu pojawiły się tu tablice z informacją ile czasu dany odpad się rozkłada. To jednak nie pomogło, śmieci wciąż przybywało.

Ten problem również został rozwiązany. - Pragnę poinformować, że pracownicy Wód Polskich oraz Nadzoru Wodnego w Ślubicach przeprowadzili kolejną akcję porządkowania terenów obwałowań Odry w Ślubicach. W ramach sprzątania odpadów uporządkowany został również teren wskazany w poniższej wiadomości, mimo iż nie należy on do zasobów terenów Wód Polskich - dodaje Jarosław Garbacz. ©©

Jak człowiek wyjdzie do ludzi, wie o wszystkim - mówi były sołtys

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl



Różanki/Gorzów Wlkp.

Gdy sąsiedzi chcieli wybrać Juliana Banickiego na sołtysa podgorzowskich Różanek, on nawet nie poszedł na zebranie. Teraz przyznaje: - Bardzo mi się to sołtysowanie podobało.

- Ja czytam sporo książek i wypisuję sobie z nich różne mądrości. Tych książek to już chyba z 1,5 tys. przeczytałem, a zapisanych mądrości mam z 5 tys. Ostatnio wychyliłem taką: „Trzeba mieć kontakt z ludźmi, bo jak się nie ma kontaktu z ludźmi, to się o niczym nie wie”. To jest 100-procentowa prawda. Gdy wyszedłem, od jednego czy drugiego z mieszkańców, wiedziałem wszystko, co się w gminie dzieje - mówi nam Julian Banicki. Przez 23 lata był sołtys podgorzowskich Różanek. Był jednym z dłuższych urzędujących sołtysów w gminie Kłodawa. Dłużej, bo 26 lat, sołtysuje od niego w gminie jedynie Szymon Łabuda ze Zdroiska.

- To sołtysowanie bardzo mi się podobało, bo miałem kontakt z ludźmi. Dziś tego kontaktu nie mam. Jedyne co, to z kółkiem brydżowym - dodaje pan Julian.

Sołtys Różanek Banicki został w 1990 r. Był nim do 2013 r. Musiał zrezygnować ze względu na operację. Miał raka strun głosowych.

- W swojej chorobie jest osamotniony. Warto więc, by go raz kiedyś ktoś odwiedził. Pan Julian każdemu dobrze życzy. Sama na niego głosowałam.



Julian Banicki był sołtys Różanek od 1990 do 2013 r. Ostatnią kadencję przerwała mu choroba nowotworowa

Ulica, przy której mieszkam, nie miała nawet nazwy. Wystąpiłam więc do sołtysa i podałam, że chcę, by to była ul. Sosnowa. I tak się stało. Dziś mieszkam przy ul. Sosnowej - mówi Elżbieta Zborowska-Fin, która żyje w Różankach od 2005 r. Dziś wspiera byłego sołtysa i zachęca, by na rozmowę do pana Juliana przychodzili inni mieszkańcy. Z byłym sołtys na wielu opowieściach można spędzić długie godziny.

- Z dziada pradziada to ja jestem Rusinem. Małorusini pochodzili z Bałkanów. Ten ród był najmniejszy, nie miał żadnej siły przebicia. Z prawej strony Morza Adriatyckiego powstawały różne państewka, a nas była ledwie garstka. Co odważniejsi szli jednak na północ. Dawali znać, że w Polsce są puste tereny. Tak więc wyszło, że pochodzę z krakowskiego. Wyszliśmy nas jednak stamtąd w czasie akcji Wisła - pan Julian opowiada, jak trafił na tereny zachodniej Polski.

W Różankach zamieszkał jednak dopiero w 1972 r. Osiemnaście lat później, pewnego dnia, zapukali jednak sąsiedzi. - Zaczęli mnie namawiać, żebym

został sołtys. A ja do tego stopnia nie chciałem nim zostać, że gdy były wybory w 1990 r., to nawet nie poszedłem na wybory. Sołtysem jednak zostałem, bo miałem telefon, jeden z czterech we wsi. Radni szukali następcy starego sołtysa wśród osób z telefonem - opowiada dalej pan Julian.

Gdy Banicki zostawał sołtys, Różanki - jak dziś mówi - były uśpione. - Była szkoła, tzw. tysiąclatka, ale ona nawet nie spełniała wymogów. Do tego stopnia, że obniżyli jej stopień organizacyjny z ośmiu do trzech klas. Starsze dzieci jeździły więc do Gorzowa. Moim zdaniem było więc budować szkołę. Zaczęliśmy ją więc budować czynem społecznym. Wtedy mieszkało we wsi około 600 mieszkańców,

Miał niezwykle posłuch u mieszkańców. Za jego czasów Różanki się rozwinęły

Anna Mołodciak

a w budowę zaangażowało się około 100 osób. Ludzie byli przyzwyczajeni, bo za poprzedniego ustroju to wiele czynów społecznych robili, choćby drogę do Wojcieszyc - śmieje się pan Julian.

Po szkole przyszedł czas na zbudowanie hali sportowej, a w dalszej kolejności na rozbudowę remizy strażackiej czy oczyszczalni ścieków. - To musiałem już proponować delikatnie, żeby nie było, że w gminie to tylko Różanki się rozwijają - uśmiecha się były sołtys Różanek. - Później przysłała pora na powiększenie ośrodka zdrowia. Wcześniej był jeden lekarz dochodzący, a teraz mamy lekarza rodzinnego, dziecięcego, dentystę i rehabilitację. Mamy czynne cztery gabinety. Na taką wioseczkę to wystarczy. Wyremontowaliśmy też świetlicę. Wcześniej to była taka „stajnia”, po oborze niemieckiej. Można było zrobić tam imprezę, ale to było bardzo brzydkie. Dziś to jest cacko! to wszystko działa się, gdy budżety gminy wynosiły po 5-5,5 mln zł - mówi Banicki. Dziś, już kilka lat, po rezygnacji z sołtysowania, przyznaje: - Bardzo dobrze mi się pracowało z ludźmi. A czy byłbym dobrym sołtys? Gdybym nim nie był, to by mnie tyle razy nie wybierali - mówi były sołtys.

Współpracę z Banickim bardzo dobrze wspomina wójt Anna Mołodciak. - Miał niezwykle posłuch u mieszkańców Różanek. To za jego czasów wieś bardzo się rozwinęła - mówi pani wójt.

Dziś Różanki to wieś licząca dwa razy więcej mieszkańców niż 30 lat temu. Żyje w nich około 1,2 tys. osób. Gdy chodzimy po wsi z panem Julianem, 82-latek przyznaje: - Mówiąc szczerze to mi to sołtysowanie bardzo się podobało. ©©

AUTOPROMOCJA

009613714

★ **Śpiewasz?** ★ **Tańczysz?** ★ **Chodzisz na rękach?**

Zrób pierwszy krok do sławy i...

pokaż talent

Zgłoś siebie lub swoje dziecko do wielkiej akcji na gazetalubuska.pl/talent

CZEKAJĄ

SUPERNAGRODY!

Nowa droga będzie dość droga. Ale - tak jak hala - jest potrzebna

Tomasz Rusek
95 722 5772
trusek@gazetalubuska.pl



Skwierzyna

To na razie wielkie plany: władze Skwierzyny chcą zbudować halę widowiskowo-sportową oraz drogę gminną, która ma służyć m.in. armii USA w transporcie ciężkiego sprzętu. Czytelnicy są za. Tylko skąd na to wziąć pieniądze?

To mają być jedne z najważniejszych inwestycji, jakie czekają gminę w najbliższych latach. Już wiemy, że są trafione, ponieważ mieszkańcy Skwierzyny na naszym facebo-okowym profilu Głos Międzyrzecz i Skwierzyna niemal jednogłośnie pochwalili oba pomysły.

Radek Czajka napisał w swoim komentarzu: - Korzystałbym z tej drogi.

Ewelina Szałańska-Poko-lenko dodała: - Hala sportowa trzy razy tak.

Grażyna Jakubowska skomentowała w podobnym tonie: - Hala sportowa jak najbardziej potrzebna.

A pan Adam (nazwisko do wiadomości redakcji) napisał do nas, że „każdy metr nowej drogi jest potrzeby, a wyprowadzenie ciężkich maszyn wojskowych z ulic w centrum to potrzebne rozwiązanie”.

Potrzeba milionów

Co dokładnie planują władze Skwierzyny? Zapytaliśmy o to burmistrza Lesława Hołownia. Najpierw o halę. Wyjaśnił, że obiekt ma stanąć na terenie Zespołu Edukacyjnego. Budynek ma mieć wymiary ok. 36 metrów na 45 metrów, będzie posiadał „niezbędne zaplecze sanitarne i techniczne”. - Część sportowa



Niedawno burmistrz Lesław Hołownia (z lewej) spotkał się z przedstawicielami wojsk armii Stanów Zjednoczonych. Jednym z tematów spotkania była właśnie budowa nowej drogi

będzie parterowa, część zaplecza ma mieć dwie kondygnacje - dodaje L. Hołownia.

Sam parkiet ma mierzyć 44 na 25 metrów. Obok będzie widowia na 260 miejsc. Oczywiście w planie jest wszystko, co niezbędne w tym m.in.: szatnie, łazienki dla sportowców, pomieszczenie pierwszej pomocy, magazyn na sprzęt sportowy, sala dla osób niepełnosprawnych, toaleta dla osób niepełnosprawnych, pomieszczenie gospodarcze oraz wentylatoria.

- Chcemy, żeby hala stanowiła centrum integracji mieszkańców z żołnierzami US Army stacjonującymi w Skwierzynie. Widzimy tu wspólne imprezy sportowe, kulturalne, spotkania, wystawy. Dziś nasze miasto nie ma obiektu o takiej powierzchni, który mógłby spełnić ten cel - dodaje L. Hołownia.

Już wiadomo, że tanio jednak nie będzie. Koszty inwestycji mogą wynieść nawet 6,5 mln zł. Jedną trzecią pieniędzy gmina chciałaby zdobyć z Ministerstwa Sportu i Turystyki. Urząd wystąpi o wsparcie w 2021 r.

To kwestia obronna

Sprawa nowej drogi wygląda tak: władze Skwierzyny chciałyby wytyczyć trasę w południowej części miasta, tuż za jednostką wojskową, wzdłuż istniejących garaży i ogródków działkowych. - Droga będzie

Jeśli rząd potraktuje planowaną budowę drogi jako inwestycję o charakterze obronnym, jest szansa nawet na 100 proc. dofinansowania

bezpośrednim dostępem do rampy na dworcu PKP i do drogi ekspresowej S3, co w znacznym stopniu ułatwi transport ciężkiego sprzętu wojskowego Armii USA. Dziś ten transport odbywa się po wąskich jezdniach miasta, co bardzo utrudnia życie mieszkańcom. Chcemy wystąpić do Ministerstwa Obrony Narodowej o wpisanie tej inwestycji do kategorii dróg o charakterze obronnym i starać się o 100 proc. potrzebnych pieniędzy na budowę - mówi L. Hołownia.

Wstępne szacunki mówią, że będzie potrzeba na ten cel około 8 mln zł (to koszt zbudowania drogi o nawierzchni bitumicznej, szerokości 7 metrów wraz z chodnikiem i ścieżką rowerową oraz z częściową przebudową ul. Kolejowej). Nie wiadomo na dziś, kiedy nowa droga może być oddana do użytku. ©

Funkcjonariusze SOK mierzą temperaturę pasażerom pociągów

Ślubice/Kostrzyn

Jakub Pikulik
jpikulik@gazetalubuska.pl

Funkcjonariusze Straży Ochrony Kolei sprawdzają temperaturę podróżnych, którzy wjeżdżają do Polski pociągami z Niemiec, Czech i Słowacji..

- Takie kontrole już są prowadzone przez naszych funkcjonariuszy. Prowadzimy je na wszystkich dworcach, na których zatrzymują się pociągi międzynarodowe, przyjeżdżające z Niemiec, Czech i Słowacji - mówi Mirosław Tkaczyk, rzecznik prasowy komendanta głównego Straży Ochrony Kolei.

Badania są przeprowadzane w czasie pierwszego postoju pociągu na stacji po przekroczeniu granicy. Pomiar temperatury pasażerów odbywa się w pociągu. - Działamy zgodnie z wytycznymi służb sanitarnych - podkreśla inspektor Tkaczyk.

Działania Straży Ochrony Kolei prowadzone są w porozumieniu z przewoźnikami i administratorami infrastruktury kolejowej. Każdy dworzec, na którym prowadzone są pomiary temperatury, powinien mieć wydzielone specjalne pomieszczenie. Będzie w nim umieszczona osoba, u której wykryto podwyższoną temperaturę. Tam będzie oczekiwała na przyjazd służb medycznych. ©

Już za tydzień w naszym szpitalu może być strajk

Gorzów Wlkp.

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

Szpitalna Solidarność grozi strajkiem. Domaga się m.in. wyższych zarobków dla około 700 osób oraz tego, by szpital... nie spłacał pożyczki.

„W przypadku nie spełnienia naszych żądań w terminie siedmiu dni, związek wystąpi ze sporem zbiorowym do strajku włącznie” - tak kończy swoje pismo do władz szpitala wojewódzkiego Andrzej Andrzejczak, przewodniczący szpitalnej Solidarności. Związkowcy chcą, by zostało z nimi podpisane porozumienie w sprawie sprawiedliwych zasad wynagradzania pracowników, podwyższenia pensji, zaprzestania spłaty pożyczki udzielonej szpitalowi na spłatę

długów sprzed lat, a także „natychmiastowych działań zabezpieczających pracowników mogących mieć kontakt z pacjentami szczególnego ryzyka”.

Do strajku mogłoby dojść nawet już za tydzień.

- Nie myśli pan, że to niestosowne grozić strajkiem, gdy cała Polska walczy z koronawirusem? - zapytaliśmy związkowca.

- A nie uważa pan redaktor za niestosowne to, że szpital nie dba o bezpieczeństwo personelu, a tym samym bezpieczeństwo pacjentów? - odpowiedział nam A. Andrzejczak.

- Co o sytuacji w szpitalu mówi Waldemar Rusakiewicz, szef gorzowskiej Solidarności? - Strajk to jest ostateczność, ale nie w tym okresie, gdy walczy się z koronawirusem - komentuje pismo szpitalnej Solidarności Rusakiewicz. ©

AUTOPROMOCJA

ZAMÓW PRENUMERATĘ GAZETY LUBUSKIEJ NA MIESIĄC LUB KWARTAŁ

PRENUMERATĘ POCZTOWĄ ZAMÓWISZ:

- ✓ w dowolnym Urzędzie Pocztownym lub u swojego listonosza, tylko do **20 marca**
- ✓ w Biurze Ogłoszeń w Zielonej Górze, al. Niepodległości 25, tylko do **19 marca** (płatność wyłącznie kartą lub przelewem)
- ✓ wypełniając formularz na stronie prenumerata.gazetalubuska.pl

PRENUMERATĘ PORANNĄ ZAMÓWISZ:

- ✓ osobiście w Biurze Ogłoszeń w Zielonej Górze, al. Niepodległości 25 (płatność wyłącznie kartą lub przelewem)
- ✓ wysyłając maila z zamówieniem na adres: prenumerata@gazetalubuska.pl
- ✓ zamówienia na prenumeratę poranną przyjmujemy do **25 marca**

PRENUMERATA POCZTOWA			
kwiecień	50 zł	II kwartał	150 zł
oszczędzasz	35 zł**	oszczędzasz	105 zł**

PRENUMERATA PORANNA*			
kwiecień	51 zł	II kwartał	153 zł
oszczędzasz	34 zł**	oszczędzasz	102 zł**

PRENUMERATA INSTYTUCJONALNA			
kwiecień	85 zł	II kwartał	255 zł

* Prenumerata poranna dostarczana jest na terenie Zielonej Góry (Dzielnica Nowe Miasto: Chyńów, Drzonków, Łężyca, Stary Kisielin, Nowy Kisielin, Przylep, Racula, Zawada, Ochla).

** Oszczędność w stosunku do codziennego kupowania „Gazety Lubuskiej” w kiosku.



Masz pytania? Skontaktuj się z nami
zadzwoń: **68 381 70 52** lub napisz: prenumerata@gazetalubuska.pl

Wójcicki: Zero litości dla tych co zaśmiecają nasze miasto

Zbigniew Borek
95 722 5772
zborek@gazetalubuska.pl



Gorzów Wlkp.

Ostrzegam „śmieciarzy”: nie zdajecie sobie nawet sprawy, ile w tych śmieciach jest informacji. Jak się dobrze pogrzebie, można się o was dowiedzieć niemal wszystkiego - mówi prezydent Gorzowa.

Obywatel Wójcicki idzie ulicą i widzi, że piesek wali kupola aż miło, a jego właściciel „podziwia okolicę, nic nie widząc”. Jak się obywatel Wójcicki zachowuje?

O ile właściciel psa nie ma dwóch metrów wzrostu, czarnej kurtki i ten pies nie jest rottweilerem, to obywatel Wójcicki zwraca uwagę. Nieraz mi się to zdarzyło.

Jaka były reakcje?

Zwykle zawstydylenie.

Agdyby to był dwumetrowiec z kilerem na smyczy?

Nikogo nie namawiam do samobójstwa (uśmiech - red.). W takiej sytuacji trzeba powiadomić straży miejską. Po skończeniu z myśleniem z poprzedniej epoki, że to kablówka, skargę, donosicielstwo. Jeżeli ten gość z psem nie pozwala mi cieszyć się moją swobodą, depcze moje poczucie estetyki, gdy ja przez niego mam wdepnąć w to g., to on szkodzi nie tylko mnie, ale też panu i nam wszystkim. Zdarzało mi się więc informować o takich przypadkach straży miejską.

Jako prezydent czy obywatel?

Nie będę przecież udawał anonimowego mieszkańca, gdy dzwonię do strażników (uśmiech - red.). Obywatel, jednak też jestem i staram się zachowywać jak na obywatela przystało. Kiedyś jechałem rowerem Dobrą w dół, od strony Myśliborskiej. Wyprzedził mnie pan samochodem, po czym otworzył okno i beceremonialnie wyrzucił kubek z Maki po napoju. Przyspieszyłem, żeby go dogonić na światłach i zwrócić mu uwagę, że to draństwo, ale był szybszy (śmiech). Strasznie się jednak wtedy wkurzyłem. Jestem w stanie zrozumieć, że ktoś rzuca coś na ulicę niechcący, przez rozrządzenie. Nie mogę jednak przejść do porządku dziennego nad tym, że niektórzy gorzowianie - bo „obcy” nam



Strażnicy wiedzą: jeśli śmiecenie jest celowe, bezpardonowe, ma być mandat i to bez dyskusji - mówi Jacek Wójcicki

tego nie robią - śmieć ostentacyjnie, wręcz po chamsku.

I co z nimi?

Zero litości! Strażnicy wiedzą: jak komuś coś na chodniku czy ulicę upadnie bezwiednie, to mogą zwrócić uwagę, pouczyć. Jeśli jednak to celowe, bezpardonowe śmiecenie, ma być mandat i to bez dyskusji. Nie mówimy tu jednak tylko o reagowaniu na to, czego strażnicy są naoczni świadkami. Twardo walczą też z tymi, którzy podrzucają śmieci w parkach czy na innych terenach zielonych. Ostrzegam „śmieciarzy”: nie zdajecie sobie sprawy, ile w tych śmieciach jest informacji. Jak się dobrze pogrzebie, można się o was dowiedzieć niemal wszystkiego.

I co wtedy?

Delikwent dostaje wezwanie do uprzątnięcia i maksymalny mandat. Taryfy ulgowej żadnej, bo dziś wyrzuci serwetkę na chodnik, a jutro telewizor na krzaki.

Kara przede wszystkim?

Kara, ale nie przede wszystkim i nie tylko. Równolegle musimy wszyscy: indywidualnie i grupowo nawzajem się mobilizować do dbania o porządek. Idawać dobry przykład. Kampania społeczna „Gorzów o!czysty” to jedna z takich świetnych inicjatyw, które mogą skupić i pojedyncze osoby i całe grupy wokół wspólnego celu, jakim jest bardziej czyste, estetyczne, a przez to przyjaźniejsze miasto. Jeśli nikt nie będzie z tego drwił, a będziemy o tym mówić wszy-

scy: dziennikarze, samorządowcy, ludzie zrzeszeni w organizacjach, mniej i bardziej znani oraz całkiem „prywatni”, to wspólnie wyrzemy olbrzymią presję na tych, którzy jeszcze tego nie rozumieją. Wszyscy razem i każdy z osobna możemy swoją postawą promować pozytywne zachowania. Jeżeli pokażemy, że zebranie do woreczka psich odchodów nie jest wstydliwe, a wręcz przeciwnie - oczywiste, kulturalne, nawet modne, wykształcimy wzajemnie w nas samych i innych gorzowianach właściwe odruchy.

Odruchy?

Odruchy, bo naturalne, właśnie odruchowe, wręcz podświadome powinno się stać to, że nikt nie śmieci, a każdy sprząta - np. po swoim zwierzątku.

Byłoby łatwiej, gdyby pojemników na psie nieczystości było więcej niż 36, bo tyle mamy w Gorzowie. Nie mówiąc o tzw. stacjach z torebkami na odchody.

Zgadza się, że jest ich za mało i będziemy się starali to zmienić, już zresztą to robimy (więcej w ramce: - red.). Tylko, wie pan, to nie jest problem dostępności do torebek. Przecież pan ma psa i po nim sprząta, tak?

Prawda.

No właśnie. Ludzie niestety brali te worki na odchody wcale nie w tym celu. Po prostu: były za darmo, to brali. W urzędowych toaletach ginie mydło w płynie, papierowe ręczniki, papier toaletowy...

Zbiedy?

Raczej ze specyficznego cwaniactwa w stylu: ogram was, urzędnicy, wykorzystam „miasto”. To jest rozumowanie rodem z komuny, gdzie państwo było „ich”, czyli niczyje, a już na pewno nie „moje”. Dlatego tak ważna jest zmiana mentalności. Musimy uświadomić sobie i każdemu, komu się da, że Gorzów jest nasz, wspólny i to nie są banialuki. Tu nic nie jest „ich”; prezydent czy urzędu. Tylko nasze: pani, pana, twoje, moje. Jeśli ktoś sądzi, że to nie jego problem, bo urząd ma sprzątać bałagan, to oczywiście urząd to zrobi. Zapłacimy jednak wszyscy, bo jako mieszkańcy ten urząd utrzymujemy.

Wie pan, że ludzie, którym chce się podnieść cudzy papier z chodnika, sprzątać okolice Srebrnej czy bulwar, czasem nazywani są frajerami, bo „wyręczają miasto”?

Nie chodzi o wyręczanie miasta, ale o wspieranie dobrym przykładem, uwagą wobec tego, kto śmieci, a jak trzeba, to powiadomieniem służb. Jeśli natomiast ktoś podniesie za kogoś z chodnika czy trawnika choćby papierzek czy tym bardziej społecznie posprząta kawałek naszego miasta, nie jest żadnym frajerem. Mam na niego inne określenie: patriota. Patriotyzm w czasach pokoju nie powinien zaczynać się i kończyć na wywieszeniu flagi w oknie czy nałożeniu koszulki z narodowymi hasłami czy symbolami. Patriotą dba o swoją ulicę, osiedle, o małą i dużą ojczyznę. Marzy mi się, żeby taka postawa była powszechna. ©©

GORZÓW O!CZYSTY

Od początku tego roku trwa kampania społeczna Gorzów o!czysty, w której uczestniczą GL oraz gazetalubuska.pl i naszemiasto.pl. Chcielibyśmy, żeby nasze miasto było czyste, ładniejsze, bardziej w porządku. Chcielibyśmy także, żeby każda gorzowianka i każdy gorzowianin uwierzyli, że to, jak wygląda Gorzów, zależy też od nas, gorzowian. Każdy może przyłączyć się do działań, ale też zaproponować własne. Na FB jest grupa Gorzów o!czysty. Inne kontakty: gorzow.ojczysty@gmail.com i tel. 697 770 045.

GORZÓW O!CZYSTY



Gorzów Wlkp. Sprzątaj po psie. To Twój obowiązek. Inaczej grozi ci 500 zł mandatu

Zaangażowana w kampanię społeczną Gorzów o!czysty Mirela Anna Maria Rossa próbuje reaktywować akcję Odkupmy Gorzów (akcja była prowadzona w naszym mieście w 2016 r., jej celem było doprowadzenie do tego, żeby właściciele zwierząt po nich sprząkali). - Rozsyłam e-mail do wszystkich zarządców zabudowy wielorodzinnej w naszym mieście z plakatem do wykorzystania (patrz niżej - red.), w celu poinformowania mieszkańców, właścicieli psów o ich obowiązkach. Liczę, że plakat wykorzystają, do akcji dołączą, zdemontują bezprawnie umieszczane na osiedlach tabliczki („Zakaz wchodzenia z psem”), a zamontują tabliczki „Sprzątaj po swoim psie” - poinformowała na profilu facebookowym Gorzów o!czysty. (ZEB)

Gorzów Wlkp. Odkupmy Gorzów ma już wsparcie. Czekają na kolejne

Jarosław Łojewski, który też należy do facebookowej grupy Gorzów o!czysty, skomentował propozycję wznowienia akcji Odkupmy Gorzów (czytaj wyżej) tak: - Są kraje w których ten problem traktuje się bardzo poważnie. Należy wziąć pod uwagę, że psia kupa na trawniku to nie tylko problem „optyczny” czy higieniczny, ale głównie zdrowotny (choroby zakaźne, odzwierzęce, pasożyty). Dzięki temu, że zdrowy rozsądek i podjęcie tematu, bardzo chętnie pomogę - napisał. Magistrat poinformował, że nie planuje „urzędowego” wznowienia akcji Odkupmy Gorzów. Z uwagi na to jednak, że również uczestniczy w kampanii społecznej Gorzów o!czysty kupi 20 dystrybutorów woreczków na psie odchody, 10 kartonów takich woreczków oraz 40 tabliczek z informacją o obowiązku sprząkania po psach. „Zostaną one rozmieszczone w przestrzeni miejskiej, m.in. w parkach oraz w pobliżu zielonych skwerów” - poinformowała Anna Bonus - Mackiewicz, dyrektor Miejskiego Biura Konsultacji Społecznych i Rewitalizacji. Prezydent Gorzowa zwraca też uwagę na to, że każdy z nas powinien dawać dobry przykład (czytaj obok). (ZEB)

Jednorazowy plastik zniknie z miejskich zamówień

Gorzów Wlkp.

„Zielone przetargi”, miejskie imprezy bez jednorazowego plastiku, patronat prezydenta i logo miasta tylko dla tych, którzy obejdą się bez takiego plastiku - to najnowsze zarządzenie Jacka Wójcickiego.

Miejskie postępowania przetargowe i zamówienia publiczne będą eliminowały zakup i stosowanie jednorazowych opakowań i naczyń z tworzyw sztucznych jak: reklamówki, butelki PET, kubki, talerzyki, sztućce, pokrywki na napoje, słomki do picia i mieszałka do napojów itp. Warunki przetargów i zamówień publicznych będą tak konstruowane, aby takie właśnie plastikowe produkty były zastępowane wyrobami z materiałów ekologicznych (biodegradowalnych) lub wielokrotnego użytku - zdecydował prezydent Jacek Wójcicki.

Patronat prezydenta Gorzowa oraz zgodę na używanie logotypu miasta otrzymają od tej pory tylko ci organizatorzy wydarzeń i imprez, którzy zobowiążą się do rezygnacji w ich trakcie z jednorazowych opakowań i naczyń z tworzyw sztucznych.

W swoim najnowszym zarządzeniu Jacek Wójcicki zachęca do picia kranówki. Dodał, że jeśli ktoś musi kupić wodę butelkowaną, to niech będzie w szklanych butelkach albo „opakowaniach wielokrotnego użytku”. - Sam piję kranówkę od dawna - mówi prezydent. Na stole w jego prezydenckim gabinecie stoi dzbanek z wodą i szklanki. - Żadnego jednorazowego plastiku, to oczywiste, jak w całym urzędzie. Chciałbym bardzo, żeby do wszystkich gorzowian dotarła wreszcie informacja, że woda z gorzowskich wodociągów jest świetna i nie tylko nadaje się do picia bez filtrowania. Ona jest lepsza niż woda butelkowana niejednej znanej marki - mówi prezydent.

Podkreśla też, że w najnowszych przepisach mających zastopować plastik w Gorzowie udział ma m.in. Marta Bejnar - Bejnarowicz, radna Kocham Gorzów. Ten klub mocno forswał swój projekt „Miasto bez plastiku”. Efektem jest m.in. to, że od sierpnia zeszłego roku radni piją na sesjach wodę kranową ze szklanych szklanek (nalewaną ze szklanych dzbanków), a nie jak dotychczas z małych plastikowych butelek. Miasto kupiło im też bezbutlowy dystrybutor wody. Jest podłączony bezpośrednio do sieci wodociągowej, wymiana butli jest zbędna. (ZEB)

Więcej osób przechodzi testy na koronawirusa w Polsce

Kacper Rogacin

kacper.rogacin@polskapress.pl



Warszawa

Według opozycji, testów na obecność koronawirusa jest w Polsce za mało. Z kolei minister Łukasz Szumowski stwierdził, że polskie służby dysponują kilkudziesięcioma tysiącami testów, a będzie ich więcej. W czwartek przeprowadzono 650 testów, czyli trzy razy więcej niż w środę.

Do czwartku w Polsce wykonano około dwóch tysięcy testów na obecność koronawirusa. Tymczasem w niemieckich szpitalach liczba testów wykonanych od początku wybuchu epidemii przekroczyła 200 tysięcy. Z czego wynika tak ogromna różnica?

Minister zdrowia Łukasz Szumowski, któremu to pytanie zadali posłowie opozycji, stwierdził, że przede wszystkim Polska posiada obecnie kilkadziesiąt tysięcy testów, a kolejne zostały już zamówione. W czwartek zapowiedział wprowadzenie w Polsce stanu zagrożenia epidemiologicznego, a w związku z tym zmianę trybu postępowania odnośnie wykonywania testów.

- Badamy te osoby, które mają wysokie ryzyko. Teraz ta grupa się poszerza. W tej chwili ilość testów wzrośnie drastycznie - oświadczył szef resortu zdrowia.

Opozycji nie przekonują te słowa. „W Niemczech przeprowadzono 200 tys. szybkich testów, identyfikowani są zaka-



Minister zdrowia rozszerzył program wykonywania testów na obecność koronawirusa. Problemem może być zbyt mała liczba specjalistów, którzy przeprowadzają badania

żeni z grup ryzyka, jeszcze w dobrym stanie ogólnym. W Polsce za mało się bada, zakażeni nie są identyfikowani na czas, a jeśli już, to w stanie ciężkim!” - pisał na Twitterze poseł Michał Szczerba (Koalicja Obywatelska).

Dla mniejszej liczby testów wykonywanych dotąd w naszym kraju kluczowa - zdaniem ministra Szumowskiego - była tzw. transmisja pozioma wirusa w Polsce. Krótko mówiąc, Polacy zarażali się koronawirusem za granicami naszego kraju. Teraz WHO nadała Polsce status transmisji lokalnej, co oznacza, że Polacy zarażają się już między sobą. Mini-

ster Szumowski twierdzi, że właśnie z tego powodu liczba wykonywanych testów drastycznie wzrosła.

Z naszych informacji wynika, że wiele placówek nie jest w stanie wykonać znacząco większej liczby testów. Zbyt mało jest laboratoriów oraz laborantów. Jak się dowiedzieliśmy w szpitalach, personel pracuje po godzinach, jednak placówki nie są w stanie przebadać wszystkich, którzy mają podejrzenia co do swojego stanu zdrowia, a nie mają ciężkich objawów.

Sytuację być może poprawi przemianowanie 19 szpitali na zakaźne. W każdym woje-

W kraju jest 13 laboratoriów, które do czwartku wykonały około dwóch tysięcy testów na obecność koronawirusa.

wództwie będzie co najmniej jeden taki szpital. To może nastąpić jednak dopiero za kilka dni. Te placówki będą zajmować się tylko osobami podejrzanymi o zakażenie koronawirusem. W Warszawie będzie to Centralny Szpital Kliniczny MSWiA.

Jak dotąd w Warszawie jedynie szpital zakaźny przy ul. Wolskiej zajmuje się przypadkami koronawirusa. Ustawione są tam dwa namioty przy portierni, w których wypełnia się ankietę na temat swojego stanu zdrowia - po jej wypełnieniu personel kieruje osobę do dalszego przebadania. Jeśli osoba nie wykazuje objawów typowych, jak gorączka, kaszel, trudności z oddychaniem, nie kwalifikuje się do przeprowadzenia testu.

Po przeprowadzeniu testu, jeśli pacjent nie wymaga hospitalizacji, zostaje odesłany do domu, gdzie ma czekać na wynik. W razie pozytywnego wyniku badania kontaktuje się z nim przedstawiciel sanepidu i decyduje, czy pacjent wymaga hospitalizacji, czy może pozostać na kwarantannie w domu.

- Tylko wczoraj było przeprowadzonych 650 testów. W poprzednich dniach było to 100-200 testów dziennie. Testom są poddawane osoby, które podlegają kwarantannie, ponieważ miały bezpośredni kontakt z osobą zakażoną - oświadczył w piątek rzecznik Ministerstwa Zdrowia Wojciech Andrusiewicz.

- Każdy, kto podlega kwarantannie, bo np. przyjechał z zagranicy, nie będzie miał przeprowadzanego testu. To są osoby w grupie mniejszego ryzyka. A każdy, kto miał bezpośredni kontakt z osobą zarażoną, będzie poddany testowi - dodał. Andrusiewicz wyjaśnił też, że służby sanitarne same zgłaszają się do osób, które podlegają kwarantannie. - Nikt nie musi nigdzie sam jeździć. Służby przyjadą i pobiorą wymaz - powiedział. ©©

WYKRYWANIE WIRUSA

TESTY NA KORONAWIRUSA

Według zapewnień Ministerstwa Zdrowia, w Polsce dziennie jesteśmy w stanie wykonać 2 tysiące testów na obecność koronawirusa (mniej więcej tyle, co np. Wielka Brytania). Do tej pory WHO miała dopuszczać do badania jedynie testy PCR. Obecnie badanie takie w Polsce trwa około 8 godzin.

- W Polsce używane są tylko testy zaaprobowane przez WHO i ekspertów. Są one droższe, dłuższe, ale po ich przeprowadzeniu mamy pewność, że pacjent jest zdrowy lub chory na koronawirusa - wyjaśniał minister Szumowski.

SZYBSZE TESTY MUSI ZATWIERDZIĆ WHO

Być może jednak czas, potrzebny na uzyskanie wyniku, uda się niedługo skrócić. Pomóc w tym mają dużo szybsze badania przesiewowe, ale rząd zaznacza, że będzie mógł z nich korzystać dopiero wtedy, gdy zostaną one zaaprobowane przez WHO.

Nad szybkimi testami na obecność koronawirusa pracują m.in. naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Ich test miałby być przeznaczony do użytku poza laboratorium.

W KRAJU

Warszawa Szkoły będą prowadziły naukę przez internet

- Zachęcamy nauczycieli do prowadzenia nauczania zdalnego. Dyrektorzy szkół będą koordynowali te „wirtualne lekcje”. Przygotowaliśmy specjalny portal internetowy - oświadczył minister edukacji narodowej Dariusz Piontkowski podczas konferencji prasowej. Dodał, że MEN ocenia, iż większość uczniów będzie mogła skorzystać z takiego rozwiązania. - Ze względu na sytuację epidemiologiczną zdecydowaliśmy się na zawieszenie działalności dydaktyczno-wychowawczej do 25 marca. Ale chcemy,

aby w tym czasie nauczyciele wraz z uczniami powtórzyli materiał, przygotowali się do egzaminów na rozszerzenie wiedzy, którą dotąd przekazywano podczas lekcji - powiedział minister. - W sposób tradycyjny jest to niemożliwe, więc zachęcamy nauczycieli do nauczania zdalnego. W pierwszej kolejności, we współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji, chcemy doprowadzić do tego, by przygotować nauczycieli do pracy zdalnej - mówił Dariusz Piontkowski. Dodał, że wspólnie z Ministerstwem Cyfryzacji rozbudowano portal internetowy epodreczniki.pl, na którym znajdują się już ogromne ilości materiałów dydaktycznych, dla wszystkich przedmiotów. (AIP)

Warszawa Urzędy skarbowe mogą być zamykane

Krajowa Administracja Skarbowa wydała decyzję o ograniczeniu funkcjonowania urzędów skarbowych przez wzgląd na epidemię koronawirusa. Urzędy skarbowe są po kolei zamykane w całej Polsce. Tam, gdzie jeszcze nie ogłoszono zamknięcia, obowiązuje nakaz wydany przez Krajową Administrację Skarbową dotyczący ograniczenia dostępności do sal obsługi petentów - mogą być przyjmowani wyłącznie pojedynczo. Skarbowka zachęca do składania rozliczeń

online oraz do zadawania pytań w formie mejlowej i telefonicznej. Ministerstwo Finansów zapewnia, że wszelkie opóźnienia płatności związane z występowaniem koronawirusa będą rozliczane z korzyścią dla przedsiębiorców. W przypadku problemów z terminami będzie można wystąpić z wnioskiem o przyznanie ulgi lub umorzenie zaległości. (AIP)

Warszawa Banki odrocza spłaty rat kredytów?

Związek Banków Polskich będzie rekomendował wszystkim bankom pomoc osobom spłacającym kredyty, które wpadną w kłopoty

finansowe w związku z pandemią koronawirusa. Złazszcza tym, które nie mają w umowach kredytowych przewidzianych tzw. wakacji kredytowych. Szef Związku Banków Polskich, Krzysztof Pietraszkiewicz, zapowiedział, że organizacja ta, zrzeszająca w zasadzie wszystkie banki działające w Polsce, będzie rekomendować bankom udzielenie jak najdalszej pomocy ich klientom w związku z koronawirusem, zwłaszcza tym, którzy spłacają kredyty. Pomoc ma polegać głównie na odroczeniu spłaty kolejnych rat - na początek na trzy miesiące. Taka przerwa w spłacie ma trwać trzy miesiące, a zgoda na nią ma być przez banki udzielana według uproszczonej procedury. (AIP)

Warszawa MSZ apeluje o unikanie podróży zagranicznych

- W związku z faktem, że na obecnym etapie rozwoju epidemii koronawirusa żadne miejsce na świecie nie jest wolne od ryzyka zakażenia się nim, a w niektórych regionach świata sytuacja zmienia się niezwykle dynamicznie, Ministerstwo Spraw Zagranicznych apeluje o unikanie podróży zagranicznych, które nie są konieczne - poinformował na stronie internetowej ministerstwa rzecznik MSZ. Polecił też monitorowanie komunikatów Światowej Organizacji Zdrowia. (AIP)

Zamknięte kraje, miasta, szkoły. Świat walczy z pandemią wirusa

Wojciech Rogacin
wojciech.rogacin@polskapress.pl



Koronawirus

Cała Europa i Ameryka zaczynają wprowadzać surowe środki bezpieczeństwa, by spróbować tamować skalę rozprzestrzeniania się koronawirusa. Zamykane są szkoły i instytucje publiczne, restauracje, odwołane imprezy masowe, mecze, koncerty. Kraje zamykają granice przed cudzoziemcami oraz niektóre miasta. Liczba zakażonych w USA i Europie rośnie w błyskawicznym tempie, pocieszające jest jedynie, że znając spadła w Chinach.

W piątek w Chinach odnotowano tylko pięć nowych przypadków zakażenia koronawirusem, a w czwartek takich przypadków było osiem - w tym trzy dotyczyły osób przybyłych z zagranicy. To dwa kolejne dni, w których liczba nowych zakażeń jest jednocyfrowa. Chińskie władze twierdzą, że szczyt epidemii w ich kraju już minął. Dotychczas zachorowało tam niespełna 81 tys. osób, z czego ponad trzy tysiące zmarło.

Chiny zamknęły już wszystkie szpitale, które były stworzone specjalnie na potrzeby walki z wirusem. Zaczynają też wznawiać produkcję w niektórych branżach, m.in. medycznej czy samochodowej.

Zamykane szkoły, instytucje

O ile Chiny zdają się wychodzić z epidemii, o tyle w innych częściach świata pandemia koronawirusa przybiera na sile.



Coraz więcej krajów zamyka szkoły. Czechy i Słowacja zamykają granice dla cudzoziemców. Tymczasem w Chinach, gdzie zaczęła się epidemia, spada liczba przypadków nowych zakażeń

WHO podaje, że dotąd na całym świecie, łącznie z Chinami, zdiagnozowano ponad 125 tys. zachorowań, a zmarło 4600 chorych. Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła stan pandemii. Kolejne kraje wprowadzają nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Wiele krajów europejskich zamyka szkoły. Od poniedziałku szkoły mają być zamknięte we Francji na dwa tygodnie. W Belgii i Bawarii oraz kraju Saary w Niemczech szkoły zostają zamknięte aż do Wielkanocy.

Jak podaje BBC, podobne kroki podjęły takie kraje, jak: Irlandia, Hiszpania, Filipiny, Portugalia, a także np. Boliwia.

W USA sześć stanów zdecydowało się również na zawieszenie nauki w szkołach.

Najtrudniejsza sytuacja wciąż panuje we Włoszech, gdzie do wczoraj zmarło 1016 osób, a liczba zarażonych wzrosła do 15113. Kraj jest zamknięty. Rząd wydał w czwartek nakaz zamknięcia także sklepów - poza spożywczymi i aptekami - barów, restauracji. Na prośbę rządu włoskiego Chiny wysyłają temu krajowi pomoc medyczną oraz ekspertów do walki z epidemią. Unia europejska poinformowała o przekazaniu 40 mld dolarów krajom członkowskim na walkę z koronawirusem. Komisja Europejska chce również złagodzić

restrykcje państwowej pomocy dla firm, by rządy mogły ratować krajowe biznesy w czasie pandemii.

Wielka Brytania chce opóźnić szczyt zachorowań

Na razie nie zamknięto szkół w Wielkiej Brytanii. Władze tłumaczą to tym, iż według ekspertów na tym etapie epidemii zamknięcie szkół mogłoby spowodować więcej szkody niż pożytku.

Brytyjski premier Boris Johnson ostrzegł swoich rodaków, że powinni się spodziewać, iż z powodu koronawirusa wielu ich bliskich odejdzie z tego świata przedwcześnie. Premier zaapelował jednocześnie

do obywateli o pozostawanie w domach, a do tych, którzy źle się czują, by przez siedem dni nie wychodzili z mieszkań.

Jak podaje BBC, główny doradca rządu brytyjskiego ds. naukowych Patrick Vallance powiedział agencji Reuters, że plan brytyjskich władz jest taki, by możliwie opóźnić nadejście szczytu zachorowań na koronawirusa i przesunąć go na miesiące letnie. Wtedy obłożenie szpitali jest mniejsze i systemowi zdrowotnemu łatwiej będzie sobie radzić z większą liczbą chorych.

Ponadto naukowcy liczą na wytworzenie tzw. odporności zbiorowej. - Uważamy, że ten wirus prawdopodobnie będzie po-

Władze Katalonii ustanowiły strefę zamkniętą wokół czterech miast w tym regionie Hiszpanii. Dotyczy to obszaru zamieszkałego przez około 70 tys. osób, a na ten krok się zdecydowano, gdy liczba zmarłych z powodu koronawirusa wzrosła w tym kraju jednego dnia z 47 do 84 - informuje BBC.

Wirus paraliżuje nie tylko życie mieszkańców, ale też sprawia, że zawieszane są wielkie imprezy sportowe.

UEFA przesunęła mecze Ligi Mistrzów i Ligi Europy na późniejszy termin. Brytyjska Premiership zawiesiła rozgrywki do 3 kwietnia po tym, jak w kilku zespołach wykryto przypadki koronawirusa. Zakażony jest m.in. trener Arsenalu Londyn Mikel Arteta. W USA zawieszono wszystkie największe ligi - NBA, NHL i MLS.

Władze Nepalu wstrzymały z kolei sezon wspinaczkowy w Himalajach.

Politycy na kwarantannie

Przez epidemię również wiele rządów musi radzić sobie dzięki zdalnej pracy najwyższych urzędników. Premier Kanady Justin Trudeau zarządza krajem z izolacji domowej po tym, jak koronawirusa wykryto u jego żony.

Dołączył do takich oficjeli, jak brytyjska wiceminister zdrowia, wiceminister zdrowia Iranu, francuski minister kultury czy przewodniczący Parlamentu Europejskiego David Sassoli, którzy przebywają w izolacji. Ten ostatni podróżował do Włoch i po powrocie poddał się kwarantannie. Jak podało CNN, na wynik testu koronawirusowego czeka prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, gdyż wirusa stwierdzono u jego rzecznika. ©

125 tys.

Tyle nowych przypadków zachorowań na świecie WHO potwierdziło do piątku. Ta liczba rośnie z dnia na dzień

wracać z roku na rok i stanie się sezonowym wirusem, a społeczności staną się na niego odporne - powiedział Reutersowi Patrick Vallance.

Zamknięte miasta w Katalonii

Wiele krajów wprowadzają jeszcze ostrzejsze rygory. W Czechach władze wprowadziły stan wyjątkowy na 30 dni. Od 13 marca wprowadziły zakaz przyjazdu cudzoziemców z 15 krajów najbardziej zagrożonych koronawirusem, nie było na tej liście Polski. W poniedziałek jednak zakaz ma zostać rozszerzony na wszystkie kraje. Granice zamknięte również Słowacja, a - dla niektórych krajów - także Węgry.

Szczepionka na koronawirusa w listopadzie? Kanadyjczycy wyizolowali SARS-CoV-2

Toronto

Joanna Sarnat
joanna.sarnat@polskapress.pl

Leczenie koronawirusa będzie łatwiejsze. Koronawirus SARS-CoV-2 został ponownie wyizolowany w Kanadzie.

O kolejnych postępach w walce z COVID-19 poinformowali kanadyjscy badacze z Uniwersytetu Toronto, Uniwersytetu McMaster i szpitala Sunnybrook.

Kilka godzin później podobny sukces ogłosili naukowcy z Ekwadoru. Wcześniej wyizolowanie genomów koronawirusa udało się w Chinach i Włoszech.

Kanadyjska firma Medicago zapowiedziała, że już w listopadzie może dostarczyć pierwsze szczepionki na koronawirusa. Prezes Bruce Clark oszacował możliwości produkcji na 10 milionów sztuk miesięcznie.

Sunnybrook Hospital to pierwsza kanadyjska placówka

medyczna, w której wykryto chorobę COVID-19, czyli zakażenie koronawirusem. W czwartek po południu szpital opublikował komunikat informujący o sukcesie zespołu naukowców. Oświadczenie, cytowane przez Onet, zapewnia, że odtąd leczenie koronawirusa stanie się łatwiejsze. Wynik prac naukowców z Uniwersytetu Toronto i Uniwersytetu McMaster przybliży nas do opracowania testów i szczepionek.

Próbki użyte do prac badaczy zostały pobrane od dwóch pacjentów. Cały proces izolowania genomów trwał kilka tygodni, a na jego prace przeznaczono grant w wysokości 120 tys. dolarów.

Wyniki badań kanadyjskich naukowców będą udostępniane innym zespołom pracującym nad koronawirusem.

- Potrzebujemy narzędzi, by walczyć z pandemią - powiedział dr Samira Mubareka ze szpitala Sunnybrook.

Kilka godzin po informacjach płynących z Kanady, swój sukces światu ogłosili badacze z Ekwadoru. W Instytucie Mikrobiologii Uniwersytetu San Francisco w Quito udało się częściowo zsekwencjonować genom koronawirusa SARS-CoV-2. Jako pierwsi genom wirusa wyizolowali Chińczycy, na początku lutego tego roku dołączyli do nich specjaliści z Rzymu. Osiągnięcia naukowców z całego świata przybliżają nas do opracowania leczenia koronawirusa.

Prezes kanadyjskiej firmy Medicago, Bruce Clark zapowiedział, że jego zespół jest gotowy na produkcję szczepionek na koronawirusa w liczbie 10

milionów miesięcznie. Jeśli procedury przebiegną zgodnie z planem, pierwsze leki będą dostępne w listopadzie 2020 roku. W czwartkowym wywiadzie, cytowanym przez portal defenseone.com, Clark oznajmił, iż Medicago stworzyło szczepionkę zaledwie po 20 dniach od otrzymania genetycznej sekwencji SARS-CoV-2. Obecnie firma oczekuje na pozwolenie na rozpoczęcie masowej produkcji szczepionek od amerykańskiej Agencji Żywności i Leków FDA.

Medicago w pracach nad szczepionkami korzysta z najnowocześniejszych metod, w które 100 mln dolarów zainwestowała armia USA. ©

Masz gorączkę, duszności, kaszel? Podejrzewasz u siebie koronawirusa? Zadzwoń pod numer **800 190 590**

KORONAWIRUS

Poradnik: jak się chronić

Postępowanie zmniejszające ryzyko zakażenia

Zdrowie

Anna Rokicka-Żuk
anna.rokicka@polskapress.pl

W Polsce lawinowo rośnie liczba potwierdzonych przypadków SARS-CoV-2. Najskuteczniejszą metodą zapobiegania zakażeniu są obecnie działania profilaktyczne. Warto wiedzieć o nich jak najwięcej i wprowadzić w codzienne życie.

1. Wystrzegaj się kontaktu z osobami wykazującymi objawy infekcji. Koronawirusy rozprzestrzeniają się głównie bezpośrednią drogą kropelkową, ale także poprzez aerozol zawieszony w powietrzu. Dlatego warto zachować co najmniej metrowy odstęp od osoby, która kicha lub kaszle. Ponieważ jednak w miejscach publicznych nigdy nie wiadomo, kto przebywał tam wcześniej, stwarza to ryzyko zarażenia się już nawet pod nieobecność chorego. Warto więc dbać nie tylko o higienę skóry, ale też ubrań, które trzeba zmieniać po przyjeździe do domu. Garderobę noszoną poza nim należy prać w temperaturze min. 60 stopni Celsjusza. Spowoduje to inaktywację wirusa, który w sprzyjających warunkach może przeżyć poza organizmem wiele dni.

2. Myj lub dezynfekuj ręce oraz odkażaj przedmioty. Podstawową metodą ochrony przed koronawirusem jest częste i dokładne mycie dłoni, a najlepiej ich dezynfekcja preparatem

biobójczym niszczącym wirusy. Czynności higieniczne powinny trwać 30 sekund i uwzględniać wszystkie powierzchnie dłoni. Czyste ręce najlepiej wytrzeć w papierową chusteczkę lub jednorazowy ręcznik, nie dotykając nimi kranu ani klamek (można to zrobić np. przez suchy papierowy ręcznik). Natomiast do dezynfekcji powierzchni i przedmiotów, z którymi ma się częsty kontakt, najlepiej wybierać dedykowane temu środki odkażające. Ich działaniu należy regularnie poddawać smartfon i inne urządzenia elektroniczne, a także biżuterię i zegarki. Odkażanie warto stosować też w pracy (blat biurka, uchwyty szuflad, włączniki światła) oraz w domu (klamki drzwi, powierzchnie mebli, klamki drzwi, uchwyty szafek, drzwi lodówki).

3. Noś maseczkę właściwego rodzaju, w odpowiedni sposób i w określonych sytuacjach. Wokół tematu masek ochronnych narosło sporo nieporozumień. Zwykła maseczka medyczna nie jest skutecznym zabezpieczeniem przed zakażeniem SARS-CoV-2. Ochronę przed wirusami zapewniają maski o klasie ochrony FFP3 lub N95, o tak dobranym kształcie, by zakrywały nos i usta, nie dotykając ich i przylegając szczelnie do twarzy. Muszą być przy tym stosowane w określony sposób. Przed założeniem maski należy dokładnie umyć lub zdezynfekować dłonie i powtórzyć tę czynność po jej zdjęciu. W trakcie noszenia maski nie należy dotykać, a gdy zawilgotnieje, powinna być wy-

mieniona na nową. Maski ochronne powinny być stosowane głównie przez osoby chore, natomiast te zdrowe powinny zakładać je w przypadku bezpośredniego kontaktu z chorym. Koniecznym uzupełnieniem są wtedy okulary o dużej powierzchni, najlepiej ochronne.

4. Dbaj o higienę podczas przygotowania posiłków i jedzenia. Istnieje wiele przesłanek mówiących o tym, że koronawirus przenosi się też przez brudne ręce, czyli drogą fekalno-oralną. Potencjalnym źródłem zakażenia są więc publiczne toalety, a ponadto produkty niepoddane obróbce termicznej (surowe mięso i jajka). Przed konsumpcją należy dokładnie je ugotować, a podczas przygotowywania żywności zadbać o czystość naczyń i sprzętów kuchennych (desek, noży). Ręce należy umyć po kontakcie z surowymi produktami i przed dotykaniem mięsa ugotowanego. Bezwzględnie należy pamiętać o umyciu lub odkażeniu dłoni przed jedzeniem.

5. Będąc poza domem, unikaj dotykania twarzy. W jednym z badań dowiedziano, że osoby dorosłe dotykają twarzy ponad 20 razy dziennie. Tymczasem błony śluzowe ust, nosa i oczu to najłatwiejsze drogi zakażenia się koronawirusem. Można go przenieść na dłoniach po tym, jak dotykało się zakażonych powierzchni.

Czytaj też
gazetalubuska.pl/koronawirus

Jak się nie zarazić i nie zagrażać innym. Wytyczne GIS

Ważne

Anna Rokicka-Żuk
anna.rokicka@polskapress.pl

Na wywołaną przez koronawirusa chorobę COVID-19 nie ma leku ani szczepionki. Jak oszacowano w brytyjskim Imperial College, 10 zakażonych osób przekazuje wirus średnio 26 kolejnym. Co więc robić, by nie przyczynić się do rozwoju epidemii?

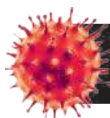
Źródłem wirusa mogą być nawet osoby niewykazujące symptomów infekcji, a okres zakaźności bywa dłuższy niż wynosi kwarantanna. Według niektórych naukowców, może on trwać 24 dni, a według innych - nawet 42 dni. To wszystko sprawia, że przed SARS-CoV-2 trzeba się chronić z większą skrupulatnością niż przed występującym masowo wirusem grypy.

Wg zaleceń GIS, należy głównie zaniechać podróży do rejonów o podwyższonym ryzyku zakażenia koronawirusem lub wysokim odsetku przypadków infekcji. Wg aktualnego komunikatu dla podróżujących nr 44 dotyczy to krajów takich jak: Chiny, Korea Południowa, Japonia i Iran, a także Włoch i określonych obszarów Francji i Niemiec.

Niezależnie od miejsca pobytu najlepiej jest unikać większych skupisk ludzi. Choć rząd podjął decyzję o odwołaniu wszystkich imprez masowych, czyli gromadzących powyżej tysiąca osób, również mniejsze zbiorowiska stanowią zagrożenie infekcją. Warto więc zrezygnować z wizyt w centrach handlowych, kinach

czy restauracjach, a także ze spotkań towarzyskich. W miarę możliwości najlepiej zaniechać korzystania z masowych środków komunikacji na rzecz transportu indywidualnego.

Jeżeli samemu ma się objawy infekcji oddechowej, najlepiej pozostać w domu, a gdy istnieje ryzyko bycia zakażonym - skontaktować się z władzami sanitarnymi. Na oddział obserwacyjno-zakaźny w szpitalu przyjmowane są osoby manifestujące objawy choroby (są to kryteria kliniczne - wystąpienie m.in. jednego z objawów ostrej infekcji układu oddechowego, takich jak: gorączka, kaszel lub duszność) lub podejrzanego zakażenia wg kryteriów epidemiologicznych. Te drugie mówią o tym, że infekcja jest możliwa u każdej osoby, która w okresie 14 dni przed wystąpieniem objawów podróżowała czy przebywała w rejonie szerzenia się koronawirusa bądź miała bliski kontakt z zarażonym (przypadek potwierdzony lub prawdopodobny), albo mogła mieć z nim styczność w placówce opieki zdrowotnej, gdzie leczono takich chorych. Pobyt przebiega z zapewnieniem warunków izolacji oddechowej i ścisłego reżimu sanitarnego oraz z zabezpieczeniem w środki ochrony indywidualnej jednorazowego użycia personelu medycznego, który ma z nim styczność. Osoby niespełniające obu zestawów kryteriów powinny być leczone ambulatoryjnie w ramach podstawowej opieki zdrowotnej. Kwarantannie poddaje się natomiast osoby zdrowe, które podejrzewają u siebie zakażenie lub mogły być na nie narażone.



Do dyspozycji mamy żel antybakteryjny, płyn dezynfekujący oraz mydło. Co lepsze?

Mycie dłoni w walce z koronawirusem

Zdrowie

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zaleca mycie dłoni jako skuteczną metodę ochrony przed zakażeniem koronawirusem SARS-CoV-2.

Aby higiena dłoni faktycznie zmniejszyła ryzyko zachorowania, istotna jest częstotliwość, dobór środka myjącego, czas mycia oraz precyzja ruchów.

Dlaczego trzeba myć ręce?

W ciągu dnia dotykamy rękoma mnóstwa rzeczy i powierzchni, które pokryte są warstwą bakterii, wirusów, grzybów i innych drobnoustrojów. To m.in. klamki drzwiowe, poręcze w środkach komunikacji miejskiej, kierownica samochodu, telefon, blaty stołów w lokalach gastronomicznych, przyciski do windy, klawisze bankomatu, myszka do komputera. Zarazki przekazujemy sobie w bezpośrednich kontaktach z innymi osobami. Poprzez wymianę pieniędzy podczas zakupów, grzeczne przywitania przez uścisk dłoni lub pocałunek. W wyniku kontaktu z zakażonymi powierzchniami znajdujące się na nich drobnoustroje przenoszą się na dłonie, a za ich pośrednictwem dostają się w okolice twarzy, ust i oczu. Wilgotne błony śluzowe to najłatwiejsze drogi zakażenia. Choć nie wszystkie patogeny są szkodliwe, lepiej zapobiegać niż leczyć. Dlatego, aby uchronić się przed zakażeniem, można ograniczyć kontakt z zanieczyszczonymi powierzchniami (co jest niemożliwe), lub zadbać o higienę dłoni. To powinno być priorytetem!

Czym i jak myć dłonie?

Koronawirus jest specyficznym patogenem, ponieważ w swojej budowie ma otoczkę lipidową (tłuszczową). Oznacza to, że można go zniwelować za pomocą detergentów i alkoholu. Do oczyszczania dłoni mamy do wyboru dwie możliwości, które różnią się skutecznością. Pierwsza opcja to mycie rąk za pomocą wody i mydła. Jeśli czas mycia wynosi min. 30 sekund (można ćwiczyć z zegarkiem), pozwala na pozbycie się 99 proc. mikroorganizmów z powierzchni dłoni. Podobne działanie mają popularne żele antybakteryjne, ale wyłącznie te o wysokiej zawartości alkoholu etylowego w składzie (min. 60 proc.). Zminimalizowanie liczby drobnoustrojów o 99 proc. to dużo. Oznacza, że spośród 100 tysięcy mikroorganizmów, na dłoni pozostało ich ok. tysiąc. Drugą moż-



Skład żelu antybakteryjnego o skutecznym działaniu powinien być oparty na alkoholu etylowym i izopropylowym

liwością jest dezynfekcja dłoni specjalistycznym płynem dezynfekującym, które dają skuteczność na poziomie 99,99 proc. - ze 100 tysięcy patogenów pozostaje ich jedynie 10.

Płyny dezynfekujące nie są tym, co żele antybakteryjne. Płyty to wodne roztwory alkoholowe o działaniu antywirusowym. Preparaty o skuteczności udowodnionej w badaniach klinicznych otrzymują pozwolenie wydawane przez Urząd Rejestracji Wyrobów Medycznych, Produktów Bio-

bójczych i Produktów Leczniczych (ich lista dostępna jest na stronie gis.gov.pl). Otrzymane upoważnienie zostaje nadane po przeprowadzeniu wnioskowych testów, które są ukierunkowane na poznanie właściwości biobójczych w stosunku do konkretnych szczepów chorobotwórczych drobnoustrojów. Żele antybakteryjne oznaczają się mniejszą skutecznością działania, w porównaniu do profesjonalnych płynów i są klasyfikowane jako kosmetyki.

Kiedy myć dłonie?

Mycie i dezynfekcja rąk pozwalają na usunięcie większości wirusów. Istotny jest czas i częstotliwość mycia. Aby uzyskać największą efektywność, dłonie należy oczyszczać raz na godzinę przez min. 30 sekund. Sytuacje, kiedy warto ponowić mycie dłoni to skorzystanie z toalety, wizyta w lokalu gastronomicznym, spacer, jazda komunikacją miejską, wizyta w sklepie czy inna związana z dotykiem powierzchni, które są ogólnodostępne.



Dezynfekcja dłoni, bez względu na zastosowaną metodę, musi trwać min. 30 sekund

skuje wówczas szersze spektrum działania.

Jak myć dłonie?

Preparaty dezynfekujące odznaczają się bardzo wysoką skutecznością działania, jeśli prawidłowo z nich korzystamy. Mycie rąk, bez względu na użyty środek myjący, musi trwać min. 30 sekund. Dezynfekcję należy rozpocząć od pobrania środka myjącego na dłonie i rozprowadzenia go, poprzez pocieranie, po wewnętrznych częściach rąk. Następnie należy oczyścić grzbiety dłoni, a także przestrzenie między palcami. W dalszej kolejności myciu podlegają opuszki palców i kciuk. Preparat, należy rozprowadzić również na nadgarstkach.

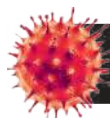
Jeśli w trakcie mycia zabraknie produktu, lub alkohol wyparował, należy dobrać porcję i kontynuować dezynfekcję dłoni. Mycie wszystkich fragmentów rąk należy powtarzać do momentu, aż magiczne 30 sekund upłynie. Trzeba pamiętać o osuszeniu dłoni za pomocą jednorazowego ręcznika papierowego, który po skorzystaniu należy umieścić w koszu na odpady. Korzystając z dwuetapowego mycia rąk za pomocą wody z mydłem, a następnie żelu antybakteryjnego lub płynu dezynfekującego, drugi etap należy rozpocząć od suchych dłoni, aby nie rozcieńczać biobójczego środka.

Martyna Jaros

WAŻNE

PŁYN ODKAŻAJĄCY MOŻE UCZULAĆ I PODRAŻNIAĆ

Preparaty do dezynfekcji są oparte na alkoholu, który jest substancją o działaniu przeciwdrobnoustrojowym, ale również silnie drażniącym. Pierwsze zastosowanie płynu do dezynfekcji rąk jest testowe. Jeśli wystąpiło po nim zaczerwienienie, skóra piecze i staje się podrażniona, to znaki, że preparat ma zbyt silne działanie. Dalsze kontynuowanie dezynfekcji dłoni z jego użyciem będzie powodować pogłębienie się problemu. Tymczasem rany powstałe na skórze to otwarte wrota dla mikroorganizmu. Jeśli produkt wysusza, powoduje łuszczenie i pękanie skóry, lepiej oczyścić dłonie wodą z mydłem przez 30 sekund.



Jak skutecznie myć ręce?



Zwilż ręce ciepłą wodą.
Nałóż mydło w płynie
w zagłębienie dłoni.



Rozprowadź je czubkami
palców drugiej ręki.



Namydl obydwie wewnętrzne
powierzchnie dłoni.



Spleć palce i namydl je.



Namydl wierzch jednej dłoni
wnętrzem drugiej dłoni
i na przemian.



Namydl kciuk jednej dłoni
drugą ręką i na przemian.



Namydl obydwa nadgarstki.



Splucz starannie dłonie,
żeby usunąć mydło.



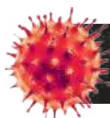
Wysusz je starannie
wycierając w papierowy ręcznik.

Zakręcając kran dotykaj go przez
papierowy ręcznik, żeby uniknąć
ponownego zakażenia.

Wyrzucić ręcznik do kosza.

Całkowity czas:

15-30 sekund



Pamiętaj!



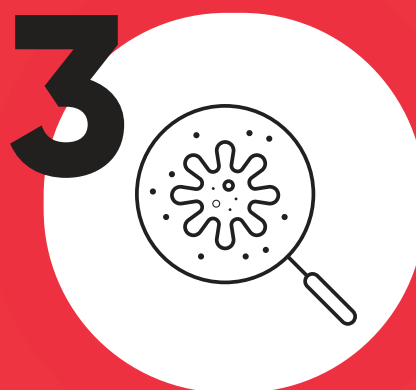
Myj ręce

– po przyjeździe do pracy, po wyjściu z toalety, przed posiłkiem!
Dłonie powinniśmy myć ciepłą wodą z mydłem przez ok. 15-30 sekund i wysuszyć papierowym ręcznikiem.



Regularnie czyść sprzęt,

którego używasz w biurze
– telefon, myszkę i klawiaturę.



Zwracaj uwagę, czego dotykasz

w biurze i unikaj kontaktu dłoni z twarzą, okolicami oczu i ust.
Nie witaj się podając dłoń lub dając buziaka 😊



Używaj własnego kubka

do kawy lub herbaty.



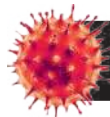
Nie przychodź do pracy chory.

Jeżeli źle się czujesz, skonsultuj się z lekarzem.



Kiedy kaszlesz lub kichasz

zakrywaj usta i nos.



Jeżeli nie pójdziesz na niedzielną mszę, nie masz grzechu

Kościół

Anna Janik
a.janik@nowiny24.pl

Rada stała Konferencji Episkopatu Polski wydała nowe zalecenia dla biskupów odnośnie udziału wiernych w niedzielnych mszach św. Członkowie KEP zalecają, by biskupi udzielali dyspensy.

„Mając na uwadze zagrożenie zdrowia oraz życia, rekomendujemy udzielenie dyspensy od obowiązku niedzielnej uczestnictwa we Mszy Świętej do 29 marca br.” - czytamy w najnowszym komunikacie KEP.

Bierzmowania i pielgrzymki maturzystów przeniesione

Dyspensa ma być udzielana nie tylko osobom w podeszłym wieku, dzieciom, młodzieży oraz osobom z objawami infekcji, ale wszystkim, którzy czują obawę przed zarażeniem. To oznacza, że zrezygnowanie z niedzielnej Eucharystii i pozostanie w domu przez trzy kolejne marcowe niedziele, nie będzie grzechem. Warunkiem jest jednak to, że za zaleceniem KEP pójdzie biskup danej diecezji i takiej dyspensy udzieli.

Jak dowiedzieliśmy się od rzecznika rzeszowskiej kurii, biskup Jan Wątroba, ordynariusz rzeszowski, zalecenia KEP zamierza przyjąć w niezmiennym kształcie.

- Komunikat kurii w tej sprawie opublikujemy dziś - mówi ks. Tomasz Nowak, rzecznik Kurii Diecezjalnej w Rzeszowie.

Jednocześnie kapłani przypominają, aby osoby korzystające z dyspensy, trwały na osobistej i rodzinnej modlitwie.

„Zachęcamy też do duchowej łączności ze wspólnotą Kościoła poprzez transmisje radiowe, telewizyjne lub internetowe” - zaznacza KEP.

Ponieważ kościoły nie będą zamknięte dla wiernych, a kapłani będą odprawiać msze św., KEP zaleca, by księża i nadzwyczajni szafarze Komunii Św. przed rozpoczęciem liturgii dokładnie myli ręce. Wierni mogą przyjmować Komunię Św. na rękę. Jak informuje rzeszowska kuria, robi się to poprzez wyciągnięcie lewej dłoni, którą podtrzymuje się prawą. Następnie, stojąc przed kapłanem, prawą ręką należy włożyć Komunię Św. do ust. Nie wolno odchodzić z hostią na dłoń od ołtarza.

KEP zaleca też, by znak pokoju przekazywać poprzez skinięcie głowy, bez podawania dłoni. Wierni powinni unikać całowania i dotykania relikwii oraz oddawania czci krzyżowi poprzez kontakt bezpośredni. Wystarczy zastąpić je przyklęnięciem. Kapłani powinni zadbać też o przygotowanie konfeksjonatów do sakramentu spowiedzi, poprzez nałożenie na kraty folii ochronnych. Proboszczowie nie powinni napeł-



KEP apeluje o gorliwą modlitwę w czasie epidemii

Rekomendujemy biskupom diecezjalnym udzielenie dyspensy od obowiązku niedzielnej uczestnictwa we Mszy Świętej

niać też kropielnic wodą święconą.

Decyzją KEP liturgie z udzieleniem sakramentu bierzmowania zostają przeniesione na inne terminy. Zawieszono też pielgrzymki maturzystów na Jasną Górę oraz rekolekcje szkolne organizowane przez parafie. Z kolei sprawy rekolekcji dla dorosłych oraz or-

ganizację innych spotkań pozostawia się „roztropnemu rozważaniu księży proboszczów”.

Zachęta do osobistej modlitwy

Ojcowie Dominikanie z Rzeszowa już poinformowali na swoich stronach, że zawieszają spotkania wszystkich grup duszpasterskich działających przy klasztorze. Jak dodali, przepisy kościelne umożliwiają też osobom w stanie łaski uświęcającej tzw. duchową Komunię Św., która nie wymaga obecności hostii. Wystarczy wzbudzić w sobie pragnienie przyjęcia Komunii Św. i powiedzieć o nim Bogu w dowolnej formie, prosząc o sakramentalne zjednoczenie z Chrystusem. Skutkuje to faktycznym przyjęciem łaski Najświętszego Sakramentu.

KEP apeluje też o gorliwą modlitwę, która w czasach epidemii ma wzmacniać wiernych duchowo.

„Zachęcamy wszystkich wiernych, aby poza liturgią nawiedzała kościoły na gorliwą modlitwę osobistą. Polecamy duszpasterzom, aby kościoły pozostawiały otwarte w ciągu dnia, by kapłani troszczyli się o dodatkowe okazje do spowiedzi i adoracji Najświętszego Sakramentu i aby - przy zachowaniu należytych zasad higieny - kapłani i nadzwyczajni szafarze odwiedzali chorych i starszych parafian z posługą sakramentalną” - czytamy w zaleceniach KEP. ©©

Jeśli nie musisz nie idź do lekarza. Lepiej zrobisz telefonując

Zdrowie

Leszek Kalinowski
gkalinowski@gazetalubuska.pl

W sytuacji, kiedy wielu z nas zastanawia się, co zrobić: iść do lekarza czy nie, pomocą mogą okazać się teleporady medyczne.

Jak wyjaśnia Joanna Branicka z lubuskiego oddziału Narodowego Funduszu Zdrowia w Zielonej Górze: - Dzięki teleporadzie medycznej pacjenci mogą otrzymać: zalecenia, zwolnienie, receptę, sugestię bezpośredniej wizyty w placówce lub kontaktu ze stacją sanitarno-epidemiologiczną, jeśli będzie taka konieczność.

Do skorzystania z tej formy pomocy medycznej zachęca też lekarz rodzinny z Zielonej Góry Tomasz Kremer. Podkreśla, by pacjenci zanim udadzą się z wizytą do lekarza, skorzystali z usług w inny sposób niż do tej pory. Chodzi o telefon, napisanie e-maila. Większość spraw można załatwić w ten sposób.

Podobnie słyszymy w innym POZ w Zielonej Górze - Centrum Medycznym Aldemed (zadeklarowanych jest tu ponad 24 tysiące pacjentów, powyżej 20 tys. pacjentów w mieście ma także MSWiA - poliklinika).

- W związku z rosnącą liczbą osób zakażonych koronawirusem prosimy o bezwzględne przestrzeganie nowych zasad przyjęć w POZ (lekarze rodzinni i pediatrzy) - mówi Wioletta

Cieślukowska z Aldemed. - Sytuacja jest wyjątkowa i dążymy do ograniczenia wizyt u lekarzy rodzinnych i pediatrów do przypadków absolutnie pilnych! Musimy dążyć do zapewnienia bezpieczeństwa nie tylko Państwa, ale także personelu medycznego, którego nikt nie będzie mógł zastąpić, gdy sami zostaną zakażeni koronawirusem.

W. Cieślukowska dodaje: - Powtarzanie recept na leki stale zażywane powinno się odbywać bez wizyty u lekarza. Wystarczy zadzwonić i zamówić recepty telefonicznie, kody do realizacji w aptece e-recepty otrzymacie Państwo również telefonicznie - 68 353 06 00. Wszystkie wizyty, które nie są pilne, powinny zostać przełożone na późniejsze terminy. Rejestracja pacjentów z objawami infekcji powinna odbywać się tylko i wyłącznie telefonicznie. W trakcie rozmowy rejestratorka poprosi o odpowiedź na pytania weryfikacyjne i zdecyduje, czy pacjent zostanie umówiony na wizytę w przychodni, czy zostanie poinformowany o konieczności kontaktu z oddziałem zakaźnym. Do lekarzy rodzinnych i pediatrów uruchomione zostały teleporady. Rejestratorki będą wyznaczały orientacyjną godzinę, o której zadzwoni lekarz i udzieli porady. W trakcie jej trwania może również wystawić recepty. ©©

Czytaj też
gazetalubuska.pl/koronawirus

Akcja GL: „Dwa telefony do babci i dziadka”

Akcja GL i Polska Press Grupy

W piątek rozpoczęliśmy w „Gazecie Lubuskiej” akcję społeczną „Dwa telefony do babci i dziadka”. Chcemy w tej szczególnej sytuacji zwrócić uwagę na to, jak ważne jest utrzymywanie stałych relacji rodzinnych, sąsiedzkich, przyjacielskich.

Choroba COVID-19, wywołana przez koronawirusa SARS-Cov-2, jest szczególnie niebezpieczna dla starszych osób. Seniorzy muszą uważać, tymczasem - jak wiadomo - wirus przenosi się przez bliskie kontakty osobiste. Skoro należy ograniczyć wizyty u bliskich, podejmiemy inne ważne wyzwanie. Nazwalimy je symbolicznie: „Dwa telefony do babci i dziadka”.

Obejmijmy babcie, dziadków, mamy i ojców telefoniczną teleopieką rodzinną. Niech to będą regularne telefony, o określonej porze, rano i wieczorem, by seniorzy mieli pewność, że mają wsparcie. By nasze babcie, dziadkowie, rodzice w dojrzałym wieku, ale też sąsiedzi czy przyjaciele, mieli poczucie, że mają kogoś przy boku.

Społeczna odpowiedzialność nas wszystkich jest szczególnie ważna właśnie teraz, gdy możemy się przyczynić do powstrzymania rozwoju epidemii. - To świetna akcja. Seniorzy są zaniepokojeni obecną sytuacją. Wszędzie mówi się o koronawirusie. To wywołuje niepokój - mówi profesor Katarzyna Popiołek, psycholog w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim”, który akcję zapoczątkował. GL jest wśród tych dzienników



dwa telefony do babci i dziadka

Polska Press Grupy, które do niej dołączyły.

Pani profesor dodaje: „Zadaniem średniego pokolenia, 30- czy 50-latków jest objęcie seniorów czułą opieką. Dzwońcie do swoich babć, dziadków, rodziców, rozmawiajcie z nimi, uspokajajcie. Tłumaczcie, że obostrzenia, które są teraz wprowadzane w życie, to nic strasznego, że mają pomóc w zwalczeniu epidemii koronawirusa na wczesnym etapie. Dajcie im znać, że nie powinni się martwić o zaopatrzenie, że wszystkie potrzebne rzeczy dostarczą im lub zamówicie dla nich przez internet.”

Najlepiej umówić się na regularne połączenia telefoniczne, np. raz czy dwa razy dziennie o określonej godzinie. Seniorzy będą wiedzieć, że mogą liczyć na codzienną rozmowę, a my uzyskamy

pewność, że trzymamy rękę na pulsie, wiemy co się dzieje z naszymi bliskimi.

- Oczywiście, nawet bez zagrożenia koronawirusem powinniśmy okazywać seniorom troskę, ale w tym szczególnym okresie musimy podwoić wysiłki” - zauważa prof. Popiołek. I dodaje: - Musimy okazać naszym bliskim cierpliwość. Starać się ich uspokajać, bo stres nie służy zdrowiu. Tłumaczyć, że może i nie mogą na razie tak często jak dawniej spotykać się z wnukami czy prawnukami, ale mogą z nimi porozmawiać przez telefon albo wideoczat. Przecież wielu seniorów świetnie radzi sobie z komputerem.

Szanowni Państwo, okażmy sobie solidarność, ciepłe słowo, pomoc, przyjaźń. Bądźmy razem. Zagrożenie minie, dobre relacje zostaną na zawsze. ©©

Sędzia Przemysław Radzik na linii frontu batalii o sądy

Maciej Dobrowolski
mdobrowolski@gazetalubuska.pl



Polityka i prawo

Sędzia Przemysław Radzik, prezes sądu w Krośnie Odr., a zarazem zastępca rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych, często wiązany jest z reformą sądownictwa prowadzoną przez rząd PiS. Dla jednych obrońca prawa, dla drugich człowiek kneblujący sędziom usta.

Sędzia Przemysław Radzik pełni funkcję prezesa Sądu Rejonowego w Krośnie Odr., ale na co dzień pracuje również w stolicy. Dlaczego? Bo wiem od czerwca 2018 r. jest jednym z dwóch zastępców centralnego sędziowskiego rzecznika dyscyplinarnego, organu, który został powołany do życia przez rząd PiS. Jako że w stolicy mieści się siedziba tej instytucji, sędzia Radzik jest regularnie w delegacji w warszawskim sądzie okręgowym.

- Obydwie funkcje mają zupełnie różny charakter. Dzięki odpowiedniej organizacji pracy, a także pełnieniu obowiązków służbowych w zależności od potrzeb, zarówno w Warszawie, jak i w Krośnie jestem w stanie należycie wywiązywać się z powierzonych mi zadań - przekonuje sam Radzik. I dodaje, że na pełnione stanowisko powołał go minister sprawiedliwości. - Wydaje mi się, że wpływ na tę decyzję mogło mieć moje wcześniejsze doświadczenie w wymiarze sprawiedliwości - przed 2005 r. byłem prokuratorem w wydziale przestępczości zorganizowanej w Zielonej Górze - dodaje.

W ostatnich miesiącach w związku z narastającym konfliktem wokół reformy sądownictwa sędzia Radzik był krytykowany za decyzje, które podejmował jako zastępca rzecznika dyscyplinarnego. Tak krytyka często płynęła nie tylko ze strony polityków opozycji, ale również środowiska sędziowskiego.

Kontrowersyjne decyzje?

Stało się tak na przykład po tym, jak Radzik wszczął postępowanie dyscyplinarne wobec sędzi Olimpii Barańskiej-Małoszek z Gorzowa Wlkp. Najpierw wątpliwości wzbudziły jej wypowiedzi podczas debaty na Pol'and'Rock Festiwal, w którym wzięła udział wraz z sędzią Igorem Tuleją oraz Adamem

Bodnarem, rzecznikiem praw obywatelskich. Następnie dopatrzone się rzekomych uchybień w jej pracy. W uzasadnieniu czytamy, że było to związane z przekroczeniem ustawowych terminów do sporządzania uzasadnień i w konsekwencji doprowadzeniem do przewlekłości postępowań w sprawach cywilnych. Warto zaznaczyć, że to postępowanie zostało jednak umorzone.

Później sędzia otrzymała kolejne zarzuty dyscyplinarne za wpisy w mediach społecznościowych, gdzie miała pomówić m.in. ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę, oskarżając go o „stworzenie systemu korupcyjnego w sądach i prokuraturze uzależniającego wymiar sprawiedliwości od woli politycznej”.

W ocenie rzecznika dyscyplinarnego takie działanie miało poniżyć ministra w oczach opinii publicznej i narażać na utratę zaufania potrzebnego dla sprawowania funkcji. W styczniu br. Sąd Dyscyplinarny przy Sądzie Apelacyjnym we Wrocławiu umorzył również to postępowanie wobec sędzi Barańskiej-Małoszek.

Krytycy sędziego Radzika nie mają wątpliwości, że decyzja o wszczęciu postępowania miała charakter polityczny i związana była z konfliktem między środowiskiem sędziowskim a rządem. Zwolennicy tej tezy wskazują także, że sędzia Radzik miał sporządzić wniosek o zawieszenie Barańskiej-Małoszek kilka dni po wyroku TSUE w sprawie legalności nowej KRS i Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, gdy niektóre sądy zaczynały odmawiać współpracy.

- Takie oskarżenia to forma zastraszania niepokornych sędziów. Takich przypadków jak mój jest w Polsce o wiele więcej - twierdzi Barańska-Małoszek. - Już od pewnego czasu władza szuka na mnie haków. Dlaczego? Bo tłumaczę obywatelom, czym będą skutkowały wprowadzane zmiany w sądownictwie, które na siłę forsuje rząd. Traktuję to jako działalność edukacyjną. Chciałabym podkreślić, że wszystkie prowadzone wobec mnie kontrole nie miały żadnych podstaw prawnych - nie złożono na mnie żadnej skargi, a sprawy prowadziłam bez przewlekłości postępowania. Co więcej, kontrolerzy badali 3,5-letni okres mojej pracy, ewidentnie szukając czegośkolwiek, co mogłoby wykorzystać przeciwko mnie. W końcu sędzia Radzik zarzucił mi, że 10 razy spóźniłam się z przygotowaniem uzasadnienia wyroku. Po tym, jak się okazało,



Czy Temida rzeczywiście jest ślepa?

że sam zrobił to wielokrotnie więcej razy, postępowanie umorzono.

Sam Przemysław Radzik w wypowiedziach medialnych od początku zapowiadał, że sędziowie kwestionujący legalność powołania innych sędziów „będą ścigani dyscyplinarnie”. W rozmowie z nami dokładnie wyjaśnia swoją motywację.

- Kwestionowanie wprowadzanych regulacji jest zjawiskiem naturalnym dla systemów demokratycznych, jest to element dyskursu politycznego, dzięki któremu może być tworzone lepsze prawo. Jednakże jest to zadanie dla polityków i zainteresowanych obywateli, z pewnością nie dla sędziów - tłumaczy Radzik. - Pełnienie urzędu sędziowskiego wiąże się nie tylko z przywilejami, ale i pewnymi ograniczeniami praw i wolności. W szczególności z Konstytucji RP wynika, że sędziowie nie mogą prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Etosowi naszego zawodu nie służą rozgłos i zgiełk medialny.

Czy jego zdaniem w Polsce potrzebna jest instytucja rzecznika dyscyplinarnego? - Sędziowie to stosunkowo duża grupa zawodowa. Naturalną konsekwencją tego faktu jest to, że w tym zawodzie znajdują się

osoby, które okazują się być niegodne zajmowanego urzędu - uważa Radzik. - Z dużą władzą musi wiązać się wysoki poziom odpowiedzialności. Rzecznik dyscyplinarny dla sędziów jest pewnym odpowiednikiem prokuratora dla obywateli. Sędziowie zawsze odpowiadali dyscyplinarnie za przewinienia służbowe, także już w okresie międzywojennym - przekonuje.

Sędzia Radzik zaznacza przy tym, że nie chce oceniać ostatniej reformy sądownictwa. - Sędzia musi być niezależny. Oznacza to, że w orzekaniu związany jest tylko konstytucją i ustawami. Sędzia powinien być ustami prawa i zapewniać, że będzie ono stosowane - podkreśla.

Zmiany w wymiarze sprawiedliwości stały się przedmiotem badań różnych organizacji. Swoją raport opublikowała m.in. Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Wnioski?

- W trakcie badania zidentyfikowaliśmy pięć obszarów, w których sędziowie najczęściej spotykali się z formami presji. Wśród 40 rozmówców 24 sędziów wskazywało, że spotkało się co najmniej z jedną formą presji. Te doświadczenia nasiliły się wraz ze zmianami w wymiarze sprawiedliwości wprowadzonymi w ciągu ostatnich czterech lat - mówi Małgorzata Szuleka, współautorka dokumentu.

Sędzia Olimpia Barańska-Małoszek potwierdza, że od pewnego czasu panuje atmosfera nacisków. - Niestety, ale to stało się stałym elementem pracy w wymiarze sprawiedliwości. Myślę, że większość sędziów się temu sprzeciwia. Chciałabym podkreślić, że my nie walczymy z poszczególnymi osobami, np. z panem Radzikiem. Sprzeciwiamy się całemu systemowi, który promuje na najwyższe stanowiska w wymiarze sprawiedliwości ludzi, którzy służą wybranej opcji politycznej. Oni w normalnych warunkach nigdy nie zrobiliby kariery. Proszę spojrzeć, jak dziś wygląda Izba Dyscyplinarna, to są osoby związane z Ministerstwem Sprawiedliwości. Nie możemy dopuścić, aby obecna władza zabetonowała cały ten system na kolejne 30 lat. W przyszłości, jeśli jakaś inna opcja polityczna przejmie władzę, może wykorzystać wprowadzone mechanizmy przeciwko obywatelom - przekonuje Barańska-Małoszek. - Ci, którzy zdecydowali się współpracować z rządem, znajdują się pod specjalną ochroną. Wobec nich postępowania ciągną się miesiącami i nie wiadomo, kiedy właściwie się zakończą. Wystarczy wspomnieć o aferze hejterskiej, jaka wybuchła w związku z odkryciem działalności grupy „Kasta”.

Hejt na sędziów

W zeszłym roku ogólnopolskie media informowały o istnieniu w komunikatorze internetowym WhatsApp zamkniętej grupy o nazwie „Kasta”. Osoby, które były jej członkami, miały rzekomo angażować się w kampanię hejtu skierowaną przeciwko środowiskom sędziowskim sprzeciwiającym się zmianom w wymiarze sprawiedliwości. Jak donosił m.in. Onet, „Gazeta Wyborcza” czy TVN, członkami tej grupy miały być osoby związane z Ministerstwem Sprawiedliwości, m.in. dwaj zastępcy rzecznika dyscyplinarnego sędziów - Michał Lasota oraz Przemysław Radzik. Obaj pomówieni od początku stanowczo jednak temu zaprzeczali.

W kontekście tej sprawy wiele kontrowersji wywołała jednak publiczna wypowiedź sędziego Radzika skierowana do mediów - „tego wam nigdy nie zapomnę, jako człowiek i jako sędzia”. Później jednak za te słowa sędzia przeprosił, tłumacząc, że padły w wielkich emocjach. Czy Przemysław Radzik na co dzień odczuwa presję ze strony środowiska sędziowskiego?

- Będąc prokuratorem, ścigałem sprawców najpoważniejszych przestępstw kryminalnych, członków zorganizowanych grup przestępczych. Z powodu zagrożenia życia razem z rodziną podlegałem ochronie policyjnej. Stąd jakiegokolwiek działania ze strony środowiska sędziowskiego nie są w stanie mnie zastraszyć - mówi Przemysław Radzik. - Rzecznicy dyscyplinarni nie są rzecznikami interesu korporacyjnego, tylko interesu społecznego i sprawiedliwości. Rzecznicy są organami państwa - ich działania nie mają na celu podobać się środowisku sędziowskiemu.

Nowe stanowisko żony

W lutym Gabriela Zalewska-Radzik, prywatnie żona Przemysława Radzika, została dyrektorem Sądu Rejonowego Warszawa Żoliborz. Zanim objęła nowe stanowisko prowadziła kancelarię radcy prawnego w Zielonej Górze. Po ujawnieniu tej informacji wobec prezesa sądu w Krośnie Odr. zaczęły być wysuwane pytania, czy o nominacji zdecydowały względy merytoryczne czy może wpływy polityczne sędziego Radzika.

Piotr Gąciarek, sędzia stołecznego SO i członek Iustitii, stwierdził publicznie, że „biorąc pod uwagę sposób, w jaki swój urząd sprawuje zastępca rzecznika Radzik, to fakt mianowania jego małżonki na stanowisko dyrektora sądu może spowodować, że sędziowie z SR Warszawa Żoliborz mogą czuć się co najmniej dyskomfortowo”.

Jak do sprawy odnosi się sędzia Radzik? - Moja żona wystartowała w otwartym konkursie i go wygrała - podkreśla. - Jest doświadczonym prawnikiem, radcą prawnym. Reprezentowała przed sądami Skarb Państwa w sprawach, w których wartość przedmiotu była określona w milionach złotych. Przez wiele lat koordynowała prace radców prawnych w urzędach skarbowych na terenie całego woj. lubuskiego, pełniła także funkcje w samorządzie zawodowym radców prawnych. W toku konkursu przedłożyła dokumenty potwierdzające jej kwalifikacje, spełniła wszystkie wymogi stawiane przez ustawę - zaznacza Radzik. I jednocześnie dodaje, że on sam oprócz dodatku funkcyjnego związanego z wykonywaniem powierzonych funkcji nie otrzymuje żadnych nagród i premii. - Wypełniam sumiennie swoje obowiązki oskarżyciela dyscyplinarnego - kwituje. ©©

Ryszard Kolesnik
dchajewski@gazetalubuska.pl



Prawo

Na początku lutego 2020 roku zakład w Czarnowicach o nazwie Fructofresh, który produkuje sałatki owocowe, został uniewinniony we francuskim sądzie. Konkurencyjna firma z Francji oskarżyła polski zakład o m.in. używanie nielegalnego składnika przy produkcji. Walka trwała trzy lata, w tym czasie częściowo zakazano sprzedaży sałatek Fructofresh na terenie Francji. Polska firma sporo straciła...

Zakład w Czarnowicach (gmina wiejska Gubin) powstał w 2004 roku. Produkowana jest tam żywność, głównie sałatki owocowe. Te przez lata trafiały na rynek zagraniczny, głównie do Francji. W 2017 roku konkurencyjna spółka francuska o nazwie Delifruits (w skrócie Deli) wywołała wojnę. Ich przedstawiciele zauważyli, że produkty polskiego przedsiębiorstwa nadają się do spożycia po 14 dniach od ich zapakowania. Na pudełkach nie było informacji o konserwantach. Specjaliści z francuskiego zakładu stwierdzili, że w sałatkach znajduje się Velcorin.

Co to takiego? Ten składnik jest dopuszczony tylko do napojów. Poza tym jest zakazany w krajach należących do Unii Europejskiej. Uznano go za szkodliwy dla zdrowia. Ponadto zarzucono firmie Fructofresh, że zatrudnia nielegalnie pracowników z Azji.

Całą sytuację opisała prasa francuska. Następnie sprawa trafiła do sądu we Francji. Automatycznie zakazano sprzedaży sałatek z zakładu w Czarnowicach na terenie kraju w zachodniej części Europy.

Nic nie wskazywało na winę Fructofresh

Już na samym początku sprawy zarzuty wobec lokalnego zakładu zostały podane w wątpliwość. W przypadku pracowników z Azji, ci od lat pracują w przedsiębiorstwie, a właściciele zarzekali się, że są zatrudnieni legalnie.

- Wynajmujemy ich od innej firmy - tłumaczyli. - Konkurencja szybko musiała te zarzuty wycofać, ponieważ przeszliśmy bardzo dokładny audyt socjalny, podczas którego nie wykazano żadnych nieprawidłowości - opowiada Grażyna Ulrich-Zwoińska, jedna z właścicielek czarnowickiego zakładu. - Przecież my nawet jeździliśmy z tymi pracownikami do lokalnych banków, żeby mogli zakładać konta - podkreśla G. Ulrich-Zwoińska.



- Zwycięstwo! - cieszą się właściciele Fructofresh w Czarnowicach, Cezary Zwoiński oraz Grażyna Ulrich-Zwoińska...

Francuzi rzucili wyzwanie. Firma z Czarnowic się nie ugięła. Wygrali

A zakazany składnik? Po polskiej stronie sprawę zbadał sanepid już kilka dni po tym, jak we Francji został wprowadzony zakaz sprzedaży dla jednego z francuskich dystrybutorów sałatek z Czarnowic.

- W trakcie systematycznie przeprowadzanych kontroli stwierdzamy, że w zakładzie zachowane są wysokie standardy higieniczne. Wyniki badań wskazują, że niedozwolony środek Velcorin nie był stosowany w produkcji sałatek owocowych - mówiła wówczas Krystyna Pietkiewicz z sanepidu. Poza tym produkty zbadał też francuski dystrybutor, który dostarczał polski produkt na rynek francuski, który nie znalazł żadnego zakazanego składnika. Wskazała go tylko konkurencyjna firma...

Mała firma z Czarnowic podjęła rękawicę

Wydawało się, że trzy lata temu wszystko przysięgło się przeciwko nam - opowiada jeden z właścicieli Fructofresh, Cezary Zwoiński. - Wiedzieliśmy, że jesteśmy niewinni, ale graliśmy na boisku przeciwnika. Byliśmy świadomi, że nie będzie łatwo. Lokalny zakład nie zamierzał poddawać się bez walki. Tym bardziej że w trakcie trwania sprawy stracili aż 90 proc. obrotów we Francji.

- To około 50 proc. naszych obrotów. Produkowaliśmy 500

ton, teraz tylko 160 - wyliczał wówczas C. Zwoiński.

Jakby tego było mało, to z pracą musiało się pożegnać 120 osób.

- Nie byli to jednak pracownicy na umowach stałych. Kiedy skończył im się okres zatrudnienia, nie przedłużaliśmy z nimi umów. Nie planujemy zwolnień, chcemy zatrzymać naszą załogę - tłumaczył wtedy właściciel.

Długo jednak przedstawiciele zakładu w Czarnowicach nie użalali się nad sobą. Nie dość, że zamierzali się bronić, to uznali też, że najlepszą obroną jest atak. Wynajęli specjalistów, przyglądali się firmom współpracującym ze spółką Deli, aby sprawdzać ich produkty. Walka trwała jednak długo.

Minęły trzy lata...

Pojawiamy się w zakładzie w Czarnowicach po raz kolejny. Po trzyletniej batalii opada bitewny kurz, przynajmniej na razie.

- Sporo się w tym czasie działo - przyznaje przedstawiciel Fructofresh Michał Bulikowski. - Wiosną udało nam się obronić przed pierwszymi zarzutami i mogliśmy wznowić sprzedaż. Już w grudniu 2017 roku konkurencja ponownie nas pozwała.

Na jakiej podstawie?

- Francuski zakład opierał się na dwóch filarach: raporcie biegłego sądowego, który stwierdził, że nasze sałatki zawierają

metanol oraz zeznaniach naszego byłego pracownika - opowiada M. Bulikowski. - Ten pierwszy „dowód” był całkowicie mylący dla sądu, bowiem Deli „zapomniało” poinformować sąd, że metanol występuje naturalnie w owocach, jako produkt fermentacji i jest całkowicie nieszkodliwy dla zdrowia.

W przypadku drugiego z wymienionych, udało się ustalić, kto przekazywał szkodliwe dla firmy w Czarnowicach oraz nieprawdziwe informacje.

- To faktycznie był nasz pracownik, mieszkaniec Gubina, który był u nas zatrudniony przez 10 lat - mówi Bulikowski. - Ale obecnie pracuje dla konkurencyjnej firmy z Francji, która nas pozwała, a dokładniej w jej filii w Maroku. Napisał fałszywe oświadczenie do sądu, oczerniające nasz zakład. Do tego przez wiadomości prywatne namawiał obecnych pracowników Fructofresh na składanie fałszywych oświadczeń, za co francuska firma miałaby płacić 800 euro. Został zwolniony dyscyplinarnie za picie alkoholu w pracy. Dostarczyliśmy dowody, dotyczące byłego pracownika do francuskiego sądu. W świetle nowych informacji jego zeznania nie były brane pod uwagę.

W uzasadnieniu czytamy również, że wspomniany biegły sądowy, który przygotowywał

raport..., również był związany ze spółką Deli.

- Nasza konkurencja już wcześniej korzystała z usług tego eksperta, czyli wynajmowała go do prywatnych badań i płaciła mu, o czym francuski sąd nie został poinformowany. To oznaczało, że biegły sądowy nie mógł być obiektywny - tłumaczy przedstawiciel Fructofresh. - W konsekwencji eksper tyza biegłego została wykluczona z dalszego postępowania sądowego.

Francuski sąd wydał wyrok, który miał aż 24 strony. W długim uzasadnieniu wyroku są podważone wszystkie zarzuty spółki Deli. Czarnowicka firma wyszła zwycięsko z boju, ale konkurencja wciąż może się odwołać od wyroku sądu...

Zamknęci na patent

10 grudnia zeszłego roku firma Fructofresh oficjalnie opatentowała metodę produkcji, z której korzystają od lat. - Dwa lata trwał bardzo skomplikowany proces opatentowania. 10 grudnia Urząd Patentowy Rzeczypospolitej Polskiej wydał pozytywną decyzję. To oznacza, że mamy wszystko zastrzeżone prawami autorskimi oraz wykazano, że legalnie i bez użycia konserwantów produkujemy sałatki z terminem przydatności na 14 dni - opowiada właścicielka.

W sądzie argument z patentem nie został jednak wykorzystany.

- Można powiedzieć, że nie zdążyliśmy, ponieważ na ostatnich rozprawach nie mieliśmy jeszcze decyzji, choć poinformowaliśmy, że złożyliśmy wniosek w tej sprawie - tłumaczy G. Ulrich-Zwoińska. - Teraz jednak mamy kolejny argument, który przemawia za nami i może szybko rozstrzygnąć sprawę, jeśli konkurencja by się odwołała.

Niewątpliwie też, że patent może też posłużyć, jako dodatkowy oręż w walce o odszkodowanie. Według szacunkowych wyliczeń, firma Fructofresh przez trzy lata walki w sądzie straciła ok. 3 mln euro!

- Będziemy rozmawiali z prawnikiem w sprawie odszkodowania - mówi C. Zwoiński. - To nie jest dla nas priorytet. Dobrze byłoby odzyskać choć część pieniędzy, ale zobaczmy, co powie prawnik. Jeśli stwierdzi, że mamy mocne dowody, to pójdziemy.

Chcieli nas wykończyć

- Wszystko było szyte grubymi nićmi - komentuje G. Ulrich-Zwoińska. - Do tego nasi przeciwnicy woleli bawić się w wojaczkę ze wszystkimi, niż zająć się porządną produkcją.

Okazało się, że spółka Deli w ostatnich siedmiu latach miała ponad 40 spraw w sądzie. Wszystkie z konkurencją.

- Myśleli, że są wystarczająco mocni, aby nas wykończyć - mówi C. Zwoiński. - Choć mieli bardzo kiepskie dowody, to sprawa trwała aż trzy lata. Być może chcieli nas wziąć na przeczekanie i liczyli, że wpadniemy w kłopoty finansowe przez tę aferę. Zachodnie firmy opierają się głównie na kredytach i w takich sytuacjach, w jakiej byliśmy my, są bez wyjścia, bo banki wypowiadają kredyty i zaczynają się problemy, jeśli chodzi o pieniądze. Nie wiedzieli jednak, że my kredytów nie mieliśmy. Mało tego! W tym czasie dalej ciężko pracowaliśmy i rozwijaliśmy naszą produkcję, wzbogaciliśmy ją o nowe produkty.

Właściciele cieszą się, że największe problemy mają już za sobą. - Trzy lata temu nie mogliśmy spać, teraz możemy odetchnąć i jesteśmy zabezpieczeni patentem, bo to najlepsze świadectwo. Z tym się nie dyskutuje - przyznaje G. Ulrich-Zwoińska.

Zaczyna się kolejny proces, związany z odzyskaniem francuskiego rynku.

- Musimy zawrzeć nowe umowy z kontrahentami we Francji, odzyskać zaufanie - zauważa C. Zwoiński. - Nie będzie łatwo i wymagać będzie czasu. Ale już są zainteresowani nawiązaniem ponownej współpracy, więc działamy!

Próbowaliśmy też skontaktować się z francuską firmą Deli, aby skomentowała wyrok i poinformowała o dalszych działaniach. Do dziś nie otrzymaliśmy odpowiedzi. ©©

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@polskapress.pl

Kryminal

Grupa mężczyzn zabiła człowieka, rozpałała ognisko i upiekła jego ciało. To, czego nie zjedli, wrzucili do jeziora. Tak miała wyglądać jedna z najbardziej wstrząsających zbrodni w powojennej Polsce. Śledztwo wciąż trwa.

To jedna z bardziej bulwersujących zbrodni! A na pewno - jak kilka lat temu określili ogólnopolskie media - pierwszy w powojennej Polsce ujawniony przypadek kanibalizmu.

Do tych mrozących krew w żyłach zdarzeń miało dojść między lipcem a październikiem 2002 r. na pograniczu Lubuskiego i Zachodniopomorskiego. Zbrodnia wyszła jednak na jaw dopiero po 15 latach. Dlaczego dopiero teraz?

Kanibal i gawędziarz

W 2017 r. zmarł jeden z prawdopodobnych sprawców tej zbrodni. O tym, co miał zrobić ze znajomymi, przez lata, zazwyczaj po alkoholu, opowiadał innym. Oczywiście w opowieść o zabiciu i zjedzeniu człowieka nikt nie chciał uwierzyć. Takie rzeczy to przecież znane są tylko z filmów, jak chociażby słynne „Milczenie owiec”.

Gdy mężczyzna zmarł, jeden z jego znajomych wysłał na policję mail z opisem zbrodni, a raczej opowieści.

Policjanci od razu zajęli się sprawą i zaczęli obserwować tych, o których mówił przed śmiercią zmarły. Tak udało się nagrać opowiadającego o zabójstwie drugiego z uczestników. Jego relacja pokrywała się z historią, jaką zostawił zmarły.

Oprócz niego w sprawie zatrzymano jeszcze trzy osoby. Każda z nich przedstawiała swoją wersję wydarzeń. Jak miała ona wyglądać? Prokuratura Okręgowa w Szczecinie, która prowadzi śledztwo, nie zdradza wielu szczegółów. Całą historię trzeba utkać z rozsianych w czasie i pozbieranych przez różne redakcje dziennikarzy (jako pierwszy opisał ją „Głos Szczeciński”).

Była impreza

Ktoregoś z nieokreślonych dni w 2002 r. grupa pięciu mężczyzn przyjechała do smażalni ryb we wsi Łasko koło Bierzwina. Do końca 1998 r. było tu województwo gorzowskie, teraz jest zachodniopomorskie.

W smażalni oprócz ryb, na stole był też alkohol. Pojawiał się także pomysł, by poje-



Jeden z piątki mężczyzn sięgnął po ogromny nóż i poderżnął Piotrowi gardło

chać nad jezioro Ługi. To dwadzieścia kilka minut jazdy samochodem od Łaska. Już na terenie Lubuskiego.

W smażalni w Łasku oprócz piątki mężczyzn byli też dwaj inni mężczyźni. Jeden z piątki (nazwijmy go przywódcą grupy) kazał jednemu z nich - nazwijmy go Piotrem - wsiąść z całą grupą do samochodu terenowego. Po dotarciu nad jezioro Piotr miał zostać przez niego pobity.

Chwilę później jeden z piątki mężczyzn - ten, który już nie żyje - miał przewrócić „Piotra” na ziemię, sięgnąć po ogromny nóż i poderżnąć gardło. Głowa ofiary niemal została odcięta od ciała.

Upiekli nad ogniskiem

Tuż po dokonaniu zbrodni mężczyźni rozpalili ognisko i... zaczęli piec ciało zamordowanego właśnie człowieka. By szybciej się upiekło, zaczęli kroić je na kawałki, które wbiłali na wystrugane patyki, by dosmażyć dokładniej. Niektórzy z mężczyzn zjedli po kilka kęsów ciała ofiary, resztę wyrzucili. Niektórzy „eksperymentowali”, inni jedli z obawy, by nie skończyć jak „Piotr”.

Po zjedzeniu kawałków człowieka, mężczyźni włożyli ciało do pontonu, wypłynęli z nim na jezioro i wrzucili do wody.

To było spontaniczne

Jak dwa lata temu opisywała sprawę zachodniopomorska „Wyborcza”, do zbrodni - zdaniem policji - miało dojść spontanicznie. Szef grupy chciał się bowiem rozprawić z człowiekiem, z którym miał na pieńku.

„Pomysł kanibalizmu narodził się już po zabiciu ofiary. Zjedzenie fragmentów ciała ofiary miało sprawców na zawsze połączyć tajemnicą. Ze śledztwa wynika, że dwóch się wyłamało” - pisała w 2018 r. „Wyborcza”.

Jeden z podejrzanych miał przyznać się do zbrodni podczas pobytu w areszcie. O tym, że zjadł człowieka, miał opowiedzieć jednemu ze współwięźniów. Zeznania owego więźnia są jednym z dowodów w sprawie. Prokuratura ma mieć też zeznania przypadkowego świadka, który miał widzieć rozczłonkowanie zwłok.

Po tym, gdy policjanci otrzymali mail z opisem zbrodni, 15 października 2017

r. zatrzymano czterech podejrzanych. Trzej to mężczyźni z okolic Choszczna, a czwarty - z Zielonej Góry. Wszyscy zostali wówczas tymczasowo aresztowani. Najmłodszy ma 40 lat, najstarszy - 59.

Kim była ofiara

Po ich zatrzymaniu zaczęły się poszukiwania ciała. Zimą 2017/2018 nurkowie wyłowili szczątki ludzkie, które mogły należeć do ofiary (zostały one zabezpieczone do śledztwa). Niedawno nurkowie natrafili na kolejne części ciała. Jak ustaliliśmy, trwa właśnie sprawdzanie, czy należą one do jednego i tego samego człowieka. To nowość, której dowiadujemy się o przebiegu śledztwa.

Jeśli nawet niedawno znalezione szczątki będą miały to samo DNA, co szczątki odkryte dwa lata temu, to i tak raczej nie dadzą odpowiedzi na pytanie, kto był ofiarą. Do dziś tego nie wiadomo! To my, dla czytelniejszej lektury tego tekstu, nadaliśmy mu konkretne imię. Jedyny z podejrzanych, który przyznaje się do winy, nie znał w ogóle ofiary.

Dwóch mężczyzn podejrzewanych o tę makabryczną

zbrodnię jest na wolności. W zeszłym roku sąd nie przedłużył im bowiem aresztu. Zwolnienia domagali się ich obrońcy. Jak w maju 2019 r. opisywał „Fakt”, sędzia zgodził się na to, bo uznał, że „niemał wszystkie dowody zostały już zgromadzone, a jedynej rzeczy, której dotychczas nie ustalono, to kim była ofiara”. Poza tym, zdaniem sędziego, „podstawowe dowody to wyjaśnienia jednego z podejrzanych, zeznania świadka i kilka podsłuchanych rozmów. A to nie pozwala na założenie, że wspólnie z innymi dokonał on zabójstwa”. Zdaniem sędziego, zwolnionym mężczyznom można zarzucić zarzut zbezczeszczenia zwłok i zarzut karalnego niezawiadomienia o przestępstwie.

Jeśli podobnie do sprawy podejrzanych prokuratura i zmieni kwalifikację prawną czynu, a więc dwóm z podejrzewanych o zbrodnię mężczyznom nie postawi zarzutu zabójstwa, to nie staną przed sądem. Jak pisała w maju zeszłego roku „Wyborcza”, przestępstwo zbezczeszczenia zwłok i niezawiadomienia o zbrodni już się przedawniło.

Jak mówi nam prok. Ewa Obarek, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Szczecinie, śledztwo cały czas trwa. Mężczyznom grozi dożywocie. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że prokuratorzy mogą pracować nad sprawą jeszcze kilka miesięcy.

Niepojęta zbrodnia

- To jest tak niepojęta zbrodnia, że aż trudno ją wytłumaczyć. Jej można dopuścić się chyba jedynie w upojeniu alkoholowym albo po narkotykach. Gdyby to było z głodu, to jeszcze by to było jakoś wytłumaczalne - mówi nam anonimowo jeden z psychiatrów z zachodniej Polski. Po chwili dodaje także: - To może być jeszcze coś innego, np. wpływ jakiejś osoby, jakaś sekta czy coś takiego...

Natomiast w policyjnych annałach znajdziemy wątki kanibalizmu w innych sprawach, chociażby tzw. rzeźnika z Niebuszewa. 11 września 1952 w mieszkaniu Józefa Cypka milicjanci znaleźli poćwiartowane i bezgłowe zwłoki kobiety. Denatką okazuje się jego sąsiadka, 20-letnia Irena Jarosz. Wówczas bano się paniki, starano się wyciszyć sprawę, proces odbył się w ciągu jednego dnia.

Cypkowi udowodniono tylko jedną zbrodnię, ale okrzyknięto go pierwszym seryjnym mordercą w powojennej Polsce. Z przecieków ze śledztwa narodziła się legenda o psychopacie i kanibalu z Niebuszewa.

Wątek kanibalizmu pojawił się również w sprawie Kajetana P. 27-latek szczegółowo opisał policjantom, jak zabił nauczycielkę języka włoskiego. Mężczyzna Katarzynie J. obciął głowę, a następnie jej zwłoki przewiózł do wynajmowanego przez siebie mieszkania. Tam zamierzał podobno zrealizować swoją chorą fantazję i dopuścić się kanibalizmu! Miejska legenda? Kajetan P. był na stażu w tygodniku „Polityka”. Redakcja przekazała śledczym konspекty, w których pisał o kanibalizmie. Okazuje się, że Kajetan P. pasjonował się historią kanibalizmu, jak i postacią filmowego, seryjnego mordercy Hannibala Lectera: „Czy to nie zabawne, że ktoś patroszy nas, którzy patroszymy inne zwierzęta? Gdybyśmy pominęli chrześcijańską doktrynę, jaka jest moralna różnica między zjedzeniem kurczaka a człowieka? Żadna” - pisał...

©

Pałac całkiem jak z horroru i sekrety Burgundów

Palace

Gdy byliśmy tutaj, w Luboszczach, ostatnio, lata temu, wszystko zdawało się iść ku dobremu. Na podjeździe witał nas rolnik z zagranicy, który uprawiał lubuskie hektary i miał plany wobec pałacu. Głaskał łeb wielkiego wilczarza irlandzkiego. Wyglądało to dość... arystokratycznie.

Kilka dni temu na podjeździe pałacu nikt nas nie witał. Weszliśmy przez otwartą bramę, mijając ostrzeżenia, że obiekt jest monitorowany. Był, bo po chwili pojawił się ochroniarz. Spacerować po okolicy pałacu oczywiście można...

Trochę smutny to jest spacer i to wcale nie dlatego, że pałac przywołuje na myśl filmy grozy. Cóż, przecież to neogotyck. Jednak zaczniemy od początku. Pierwsza wzmianka o Luboszczach pochodzi z 1452 roku i wówczas zwała się Lubusy. Była to wieś lenna majątku w Gębicach. W 1527 roku właścicielem był Hans von Zschau, właściciel Gębic. Przez wieki przewijało się przez ten majątek kilka znanych rodów, m.in. von Strachwitzowie, znani z „Morfiny” Szczepana Twardocha. Złote czasy rozpoczęły się w 1764 roku, gdy pojawił się tutaj ród von Seydel. W latach 1846-1860 Eugeniusz Gustaw Edmund Seydel zbudował pałac, neogotycki, murowany, piętrowy z wieżą od wschodu i werandą od zachodu, ale siedziba rycerska istniała tutaj już wcześniej. Zabudowania gospodarcze powstały w XVIII i do połowy XIX wieku. W sąsiedztwie pałacu znajduje się 3-ha park krajobrazowy z XVIII-XVI w. Oddajmy głos historykom sztuki (materiały LWKZ). Luboszycka rezydencja wzniesiona została w stylu neogotyckim. Zespół pa-

łacowy składający się z pałacem, czworaka, stodoły i parku. Neogotycki, murowany, piętrowy, założony na rzucie prostokąta, z płytkimi ryzalitami od strony północnej i południowej, z wieżą od wschodu i werandą od zachodu. Południowa elewacja frontowa zaakcentowana na osi ryzalitem, przepartym w parterze trzyarkadowym wejściem, zwieńczona schodkowym szczytem i sterczynami. Elewacja północna rozczłonkowana ryzalitami na osiach bocznych. Wieża prostokątna, czterokondygnacyjna z tarasem, zwieńczona sterczynami w narożnikach. Z oryginalnego wyposażenia wewnątrz zachowała się stolarka okienna i drzwiowa, neogotycka klatka schodowa oraz klasycystyczne nadproża. W sąsiedztwie pałacu park krajobrazowy z XVIII-XIX wieku o pow. 3,0 ha. W pobliżu zabudowania gospodarcze powstałe w XVIII i XIX wieku. Po II wojnie światowej w posiadaniu PGR, w 1969 roku przeprowadzono remont pałacu. Obecnie jest w niezłym stanie, remontowany był stopniowo przez znanego nam już dzierżawcę majątku. Pozostaje w zarządzie Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa.

Luboszyce są znane nie tylko z powodu pałacu. Od niej wiedzie miano kultura późnego okresu wpływów rzymskich, zabijki tej kultury występowały od około 100 r. n.e., identyfikowana z plemieniem Burgundów. Jej stanowiska datowane są począwszy od II do V wieku n.e. Ludność kultury zajmowała najpierw tereny nad środkową Odrą, systematycznie poszerzając je o Górne i Dolne Łużyce, północną część Dolnego Śląska, południową Brandenburgię, Ziemię Lubuską oraz wschodnią Saksonię.

Dziś Luboszyce zdają się wsią na końcu świata. A tutaj taka historia... ©



Dziś pałac przypomina nieco scenografię do taniego horroru. Dostrzeżmy tutaj cytaty z gotyku



Wyobrażenie o dawnym wdzięku tego miejsca dają zachowane detale



Aż trudno uwierzyć, prawda? Tak luboszycki pałac wyglądał w drugiej połowie XIX wieku



Wejście od strony parku. Określenie „w dobrym stanie” wydaje się nieco na wyrost



Pałac stanął w miejscu starszej siedziby. Położony był w niewielkim, mniej więcej trzyhektarowym parku. Z przodu znajdziemy zabudowania folwarczne

Gabriela Muskała: Najważniejsze jest to, by naprawdę umościć się w postaci

Paweł Gzyl
pawel.gzyl@polskapress.pl



Rozmowa

Gabriela Muskała zachwyciła ostatnio widzów i krytyków występami w filmach „Fuga” i „7 uczuć”. Potych trudnych filmach zobaczymy ją teraz w zupełnie innej roli - w horrorze „W lesie nie zaśnie dziś nikt”. Aktorka opowiedziała nam dlaczego woli w filmie „być” niż w nim „grać”.

Gabriela Muskała w horrorze? To niemożliwe.

Też tak myślałam (śmiech). Pamiętam dokładnie, kiedy Bartek Kowalski zaprosił mnie na spotkanie i powiedział, że ma dla mnie ciekawą rolę. Był przy tym również producent Jan Kwieciński i współscenarzystka Mirella Zaradkiewicz. Ja pytam: „Co to jest?” A oni: „Horror. Pierwszy polski slasher”. To ja od razu: „Nie”. Bo to jest gatunek, który jako widz omijam szerokim łukiem. Wolę kino bliższe życiu (śmiech) A jeżeli już horror, to taki, który pozwala uwierzyć, że coś, co się dzieje na ekranie, mogłoby się wydarzyć naprawdę. Choćby pamiętny „The Blair Witch Project”. Typowe slashery czyli horrory typu „Teksaska masakra piłą mechaniczną” - to już zdecydowanie nie dla mnie. Dlatego powiedziałam „nie”, ale jednocześnie... poprosiłam o scenariusz (śmiech). Kusiła mnie praca z Bartkiem - widziałam jego pierwszy film, kontrowersyjny, ale niezwykle ciekawy „Plac zabaw”. Po przeczytaniu scenariusza „W lesie dziś nie zaśnie nikt” pomyślałam: „Kurczę, jaka to świetnie skonstruowana opowieść! Przerazająca, ale też zabawna. Nawet jeśli sama nie lubię oglądać horrorów, to przecież nie wyklucza, że będzie fajnie zagrać w takim gatunku”. No i zdecydowałam się podjąć wyzwanie.

Większość postaci w filmie grają bardzo młodzi aktorzy. Jak się pani odnalazła w ich towarzystwie?

W ogóle nie musiałam się szukać (śmiech). Byli tam debiutanci, ale też młodzi z dużym aktorskim doświadczeniem, jak choćby Julia Wieniawa czy Wiktoria Gąsiewska, które występują od dziecka w serialach. Tym

razem miały trudniejsze aktorskie wyzwania i podeszły do nich bardzo poważnie. Na planie spotkałam się też ze swoim studentem Sebastianem Delą, z którym mam zajęcia w Szkole Filmowej w Łodzi. To niezwykle uzdolniony i ciekawy młody aktor. Podobnie jak Staszek Cywka, który ma już spore filmowe doświadczenie. No i był tam jeszcze Michał Lupa, który jest dopiero w maturalnej klasie i w tym roku chce zdać na wydział aktorski. Mocno trzymam za niego kciuki. To tak zwany nieoszlifowany aktorski diament. Szkoły powinny się o niego bić. Okazało się, że wszyscy fajnie funkcjonujemy jako grupa i mamy razem dużo zabawy z tej przygody.

Służyła pani radą tym młodym aktorom?

Naturalnie - jeśli mnie o coś pytali. Ale tylko wtedy, kiedy dotyczyło to ogólnych aktorskich tajników, a nie tego, jak na przykład mają grać swoje role w tym filmie. Od prowadzenia aktorów na planie jest reżyser, a Bartek radził sobie z tym doskonale.

Jakim reżyserem się okazał dla pani?

Już po obejrzeniu „Placu zabaw” wiedziałam, że Bartek jest reżyserem, z którym bardzo chciałabym się spotkać na planie. Oglądając jakiś film intuicyjnie wyczuwam czy miałabym z jego twórcą tzw. flow, czy też nie. Moja intuicja co do Bartka również mnie nie zawiodła. Bartek ma to, co u reżyserów lubię najbardziej - wie o czym opowiada, prowadzi ekipę pewną ręką, ale spokojnie, bez krzyków i zbędnych napięć. Każdy aktor może przy nim swobodnie rozwijać skrzydła, bo Bartek wie czego chce od danej sceny, ale jest też otwarty na nasze pomysły. No i ma wspaniałe poczucie humoru, co bardzo w ludziach cenię.

„W lesie dziś nie zaśnie nikt” to rzadki przypadek filmu komercyjnego i rozrywkowego w pani dorobku. Zazwyczaj występuje pani w filmach artystycznych. Trudno kierować tak swoją karierą, by mieć w swoim dorobku głównie poważne dzieła?

Ależ ja wcale nie chcę grać tylko w kinie artystycznym! Bardzo świadomie podjęłam decyzję występu we „W lesie dziś nie zaśnie nikt”, i też w następnym filmie gatunko-



Gabriela Muskała urodziła się w 1969 roku w Kłodzku

wym - kryminale „Krim Story”, którego premiera odbędzie się jesienią. Uwielbiam grać w „lżejszych gatunkach”, i w teatrze, i w kinie. Chociażby w komedii. A już w tragikomedii czuję się jak ryba w wodzie. (Śmiech) Ale rzeczywiście ostatnie sezony były mocno dramatyczne - filmy „Fuga” i „7 uczuć” czy bardzo dla mnie wyczerpujący emocjonalnie spektakl „Jak być kochaną” w Teatrze Narodowym. Pamiętam jak przeciążona tymi dramatami w pewnym momencie zaczęłam marzyć, żeby zagrać w teatrze w jakiejś komedii, a w filmie w kryminale, pobiegać sobie z pistoletem, postrzelać. Nie minęło czasu wiele... i dostałam dwie propozycje filmowe - w horrorze i w kryminale oraz dwie teatralne - w komediodramacie i w komedii. Marzenie się spełniło. Wierzę w to, że myślami przyciągamy pewne rzeczy. A ja lubię płodźmian i zawsze poszukuję czegoś, co jest inne od tego, co ostatnio grałam.

W jednym z wywiadów powiedziała pani: „Dla mnie najważniejsze jest by nie grać, tylko być”. Czym się różni „granie” od „bycia”?

Czasem widząc oglądając grającego aktora czuję, że jest on absolutnie zagłębiony w swojej roli i naprawdę przeżywa jej emocje. A tymczasem aktor mówi potem: „Gdzie tam, myślałem wtedy o pomidorowej” (śmiech). Zawsze najważniejsze jest wrażenie widza, dlatego jeśli mimo tak dużego dystansu do postaci aktor potrafi dać widzowi złudzenie prawdy, to tylko świadczą o jego wspaniałym warsztacie. Ja jednak tak nie potrafię. Oczywiście przez lata praktyki nauczyłam się techniki aktorskiej i zyskałam wiele narzędzi warsztatowych, którymi zawsze mogę się wspierać na scenie czy przed kamerą. Ale dla mnie najważniejsze jest to, by naprawdę umościć się w postaci, tak, by nią myśleć, czuć, by nią być. Dlatego daję swoje ciało bohaterce, a w procesie prób uruchamiam w sobie emocje, które są jej potrzebne, a które - bywa - są mi obce na co dzień. One potem mnie wiodą przez cały film czy spektakl. Nie bez mojej kontroli oczywiście.

Jak to było z tym „byciem” w przypadku „7 uczuć”, gdzie musiała pani „stać się” dzieckiem w wieku szkolnym?

W tym przypadku stało się to w najbardziej chyba organiczny sposób. Są role, do których długo dojrzewamy i takie, które natychmiast się w nas budzą. Moja Weronika u Marka Koterskiego to ten drugi przypadek. Ja bardzo cenię i pielęgnuję w sobie tak zwane „wewnętrzne dziecko”. Uważam, że dopóki patrzymy na świat oczami dziecka, dopóki nie wiemy wszystkiego, chcemy zrozumieć i dziwnym się - dopóty jesteśmy artystami. Bo dziecko patrzy na świat oczami odkrywcy. Dlatego kiedy Koterski powiedział nam, że nie chce, abyśmy grali dzieci, tylko żebyśmy nimi byli, poczułam ulgę, bo wiedziałam, że to jedyna droga, by obronić genialną, ale ryzykowną koncepcję Marka, by w rolach dzieci obsadzić 40- i 50-latków. To było niezwykle oczyszczające, obudzić w sobie tę małą dziewczynkę i dać się jej prowadzić za rękę.

Wyjątkową rolę zagrała pani również w „Fudzie”. Co ciekawe - sama pani napisała sobie ten scenariusz. To wymarzona sytuacja dla aktora?

Przede wszystkim nie tak łatwa jak ta, kiedy aktor dostaje na tacy gotowy scenariusz (śmiech). Ale na pewno dużo bardziej fascynująca. Początkowo szukałam po prostu tematu na scenariusz. Ale przez przypadek znalazłam go w pakiecie z rolą, która mnie zafascynowała. Dlatego również zagrałam w „Fudzie”.

Co sprawiło, że podjęła się pani napisania scenariusza?

Wcześniej pisałam z moją siostrą Moniką sztukę teatralną, a potrzebna samodzielnemu napisania własnego scenariusza pojawiła się gdzieś po drodze. Oczywiście nie przewidziałam, że cały proces, od inspiracji pewnym programem telewizyjnym, poprzez pisanie scenariusza, zdjęcia, aż do premiery filmu w Cannes, zajmie aż 13 lat... Ale to była wspaniała podróż. Niedawno spotkałam koleżankę po fachu, która powiedziała: „Gabrysio, napisałam scenariusz i złożyłam go do PISF-u. Twoja „Fuga” była dla mnie w tej kwestii wielką motywacją. Miałam zawsze w głowie tyle pomysłów, ale wydawało mi się, że jestem tylko od grania. Teraz zrozumiałam, że przecież ja też mogę pisać”. Choćby dla takiego spotkania warto było zrobić ten film. Od dawna

uważam, że my aktorzy przez lata analizy scenariuszy, relacji między bohaterami, wykorzystywania wciąż naszej wyobraźni oraz umiejętności wymyślania historii, nabywamy ogromnej wiedzy o konstrukcji scenariusza, o budowaniu postaci. Do tego mamy dobre ucho do dialogów. Tylko często brakuje nam wiary w nasze literackie możliwości.

A nie miała pani ochoty również wyreżyserować „Fugi”?

Najmniejszej. Mnie w tym projekcie interesował tylko scenariusz i rola. Dlatego od początku szukałam dla „Fugi” reżysera. Agnieszka Smoczyńska, którą spotkałam na wczesnym etapie pisania scenariusza, zachwycała się tym projektem i czułam, że interesują ją w nim dokładnie te same tematy, co mnie. Wiedziałam, że będzie idealną reżyserką dla „Fugi”. I uważam, że wspaniale zrobiła ten film.

Jak pani odpoczywa i ładuje akumulatory?

Mam bardzo mało chwil „oddechu”, na szczęście aktorstwo jest nie tylko moją pracą, ale też wielką pasją. Oczywiście czasem trzeba oczyścić głowę. Dlatego najbardziej lubię aktywnie odpoczywać, na przykład wędrując po górach. Zaraz wytłumaczę dlaczego. Zajęcia z improwizacji ze studentami zawsze zaczynam od... zabaw dziecięcych, na przykład od znanej wszystkim gry w berka. Studenci ganiają się po sali, a ja patrzę jak z ich twarzy znikają ślady trosk i problemów, które przyniesiły ze sobą na zajęcia. Wtedy najlepiej improwizują, bo potrafią się skupić na temacie. Kiedy stawiamy przed sobą prosty cel - dogonić i złapać kogoś, lub samemu nie zostać złapanym - zapominamy o tym, co nas właśnie frustruje, boli i uwiera. Tak samo jest w górach. Mam jeden cel - dojść na szczyt. Nogi mnie bolą, czuję zakwas, ale wiem, że muszę wejść na tę górę. Ten prosty cel pozwala mi zapomnieć o kociokwiku codziennych myśli, ciężarze ostatnich ról, stresach i prywatnych problemach. Taki wysiłek fizyczny w gronie przyjaciół sprawia, że nie tylko ciało, ale też umysł wspaniale się regenerują. A wtedy, z naładowaną baterią spokojnie można już wracać i nerkować w kolejne projekty. ©©



Z niemieckiego brzegu Nisy Polska wygląda tu, jakby była w ruinie

Spoleczeństwo

Dariusz Chajewski
dchajewski@gazetalubuska.pl

„Polska w ruinie”. To tutaj, na wyspie w widłach Nisy Łużyckiej powinny paść te słowa. Podczas wędrówki po terenie dawnej fabryki w Żarkach Wielkich przychodzi na myśl sceny z postapokaliptycznych filmów.

Na wyspę wchodzimy po dawnym moście kolejowym. Wokół ogromne gmachy fabrycznych hal. Jednak to, co najbardziej rzuca się w oczy, to śmieci. Opony, części karoserii samochodowych, sprzęt agd, papiery, plastik. Czego tutaj nie ma.

W internecie oglądamy przedwojenne zdjęcie lotnicze tego terenu. Na prawym brzegu eleganckie zabudowanie wokół placu, który kojarzy się z rynkiem. Na wyspie okazały kompleks fabryki tektury.

- Po wojnie była to przedziałnia bawełny, przepracowałam tutaj trzydzieści lat, mój mąż też tu robił, jak i cała nasza wieś - mówi pani Anna, mieszkanka Żarek Wielkich. Pokazuje, gdzie była kotłownia, gdzie stały zgrzeblarki.

- Cztery autobusy przywoziły pracowników z okolicy -

dodaje. - A teraz. Przyznam się, że serce boli i wstyd mi, gdy teraz patrzę na to miejsce.

Nawiasem mówiąc wyspa odegrała również swoją rolę w historii kryminalnej, tędy wiódł jeden z głównych szlaków przemytniczych na granicy zachodniej. Grupy przestępcze były tutaj tak mocne, że nawet pogranicznicy bali się tutaj zapuszczać.

- Byłem tam niedawno, jak tylko objąłem stanowisko - mówi wójt gminy Trzebiel Tomasz Sokołowski - Tak naprawdę nogi nie mogę tam postawić, to teren prywatny. Chciałem zamontować kamerę, aby móc złapać na gorącym uczynku tych, którzy zamieniają ten teren w dzikie wysypisko śmieci, ale też nie mogę. Mamy kłopoty nawet z ustaleniem właściciela, gdyż obiekty przechodzą z rąk do rąk, a jedyne, co się zmienia, to rosnące zaległości podatkowe wobec gminy. Właściciele różnych firm na dodatek spalają tam swoje odpady, nie ma tygodnia, aby strażacy ochotnicy z Żarek tam nie interweniowali. I jeszcze jedno. To dzieje się tuż przy granicy, widać to doskonale z niemieckiego brzegu. Co za wstyd... @@



Buszowanie po tym terenie może być naprawdę niebezpieczne. Obiekty grożą zawaleniem



Z polskiego brzegu Nisy na wyspę można dostać się dzięki dawnemu mostowi kolejowemu



Wyspa powstała za sprawą dodatkowego koryta Nisy Łużyckiej, które doprowadzało wodę do elektrowni



Zakład był samowystarczalny, znajdowało się tutaj pełne zaplecze socjalne...



Dziś wyspa jest w praktyce dzikim wysypiskiem śmieci. Sądząc po ich asortymencie, największy udział w tym wielkim śmieceniu mają firmy zajmujące się motoryzacją

O wartości dzieła nie decyduje cena, ale czas, jego energia i tajemnica

Iwona Zielińska
iwona.zielinska@polskapress.pl



Rozmowa z Jackiem Łozowskim, znanym kolekcjonerem polskiej sztuki współczesnej, wrocławianinem, przedsiębiorcą

Od pół wieku zajmuje się pan profesjonalnie kolekcjonowaniem współczesnego polskiego malarstwa. W Polsce jest to raczej aktywność unikalna. Kilkanaście lat temu było 50 aukcji sztuki. Obecnie około 400. Są też katalogi, wystawy online. Nie odchodząc od komputera, można kupić i grafikę za 600 złotych, i obraz za miliony. A jak wyglądał rynek sztuki, gdy pan zaczynał?

- W czasie wojny większość starych kolekcji rozkradziono lub zniszczono. Po wojnie nie było już tych, którzy mogli kupować i zamawiać, czyli klasy średniej, bogatego mieszczaństwa, ziemiaństwa, arystokracji. W dużej mierze unicestwionych lub rozproszonych i w trakcie wojny, i zaraz po wojnie. Nie było właściwie ani sprzedającego, ani kupującego. Sprzedający, jeśli był, nie chciał sprzedawać, bo uważał, że nie osiągnie odpowiedniej ceny. A kupujących nie było, bo nie mieli pieniędzy. Znałomi moich rodziców za obraz Wierusza Kowalskiego w 1932 roku musieli zapłacić równowartość ceny za 10 hektarów ziemi. To była bardzo poważna kwota. Mogło to odpowiadać, na obecne ceny, wartości 2 milionów złotych. Nikt w latach powojennych nie był w stanie prowadzić takich transakcji. Za socjalizmu istniał rynek, ale głównie opierał się na działaniu państwowej firmy o nazwie DESA, czyli Dzieła Sztuki i Antyki, która istnieje do dziś. W tym czasie polska sztuka była niezwykle tania.

Co to znaczy niezwykle tania?

- Obraz dobrego malarza, nie ważne, czy to był znany mi Jan Cybis z kolorystyką, czy jego żona Hanna Rudzka-Cybisowa, kosztował u autora około 3500 zł. Wtedy 1 dolara kupowało się za 100 złotych u cinkciarza, a więc obraz miał cenę 35 dolarów. Trochę drożsi byli koledzy Cybisa, np.



Jack Łozowski: - Obróty polskiego rynku aukcyjnego za ubiegły rok sprowadziły się do 300 milionów złotych

Andrzej Nacht-Samborski, którego też znałem, życzył sobie 10000 złotych, równowartość 100 dolarów. Obcokrajowcy ówczesznie pracujący w Polsce chętnie więc tworzyli swoje kolekcje. Np. konsul ds. kultury w ambasadzie amerykańskiej kupował w DESIE polską twórczość. Skończył służbę tutaj i wywiózł zbiór do Stanów. Płacił kwoty między 100 a 200 dolarów. To były sumy śmieszne w stosunku do rynku zachodniego - równowartość obiadu w Nowym Jorku. Te dzieła sztuki pojawiają się współcześnie na amerykańskim rynku i kupowane powracają do kraju. Ja tak właśnie kupiłem jedną pracę do swojej kolekcji, obraz Kajetana Sosnowskiego z lat 60.

- A jaki był początek pana pasji?

- Samodzielnie zbieram sztukę od 1967 r. Miałem wtedy 16 lat. Pod koniec mojej szkoły średniej ojciec, który interesował się sztuką, nawiązywał kontakt z różnymi arty-

stami, a gdy nie mógł pojechać sam po obraz, wysyłał mnie. Tak poznałem Jana Cybisa, Hannę Rudzką-Cybisową, Nacht-Samborskiego, Tadeusza Kulsiwicza, Tadeusza Brzozowskiego. Ojciec kazał mi chodzić do DESY i sprawdzać, co jest, ile kosztuje i to był czyn, który przerodził się w pasję, a ona nie ma charakteru merkantylnego. Dla mnie i mojej małżonki nie jest to źródło utrzymania. Najstarszy mój obraz to akwarela Władysława Strzemińskiego z 1943 roku. Najnowsza jest praca Tamary Berdowskiej z 2017 roku. Większość moich zbiorów to klasyka z lat 60. i 70.

Ojciec kazał mi chodzić do DESY i sprawdzać, co jest, ile kosztuje i to był czyn, który przerodził się w pasję, która nie ma charakteru merkantylnego

Mam obrazy: Mieczysława Janikowskiego, Andrzeja Gieragi z Łodzi, Wojciecha Fangora, niezwykle cenionego w USA. Mam też słynny obraz Piotra Potworowskiego „Port w Rewie”, Jerzego Nowosielskiego, Marii Jaremy, Wandy Gołkowskiej, Tadeusza Kantora, Władysława Hasiora. Kolekcjonerstwo sztuki, w tym i malarstwa, wymaga stałej samoedukacji. Trzeba chodzić na wystawy, wernisaże, czytać katalogi, podręczniki o sztuce, kontaktować się z całym światem. Dzisiaj jest mi oczywiście łatwiej, bo to teraz ja jestem wszędzie zapraszany, ale kiedyś przecież byłem nikomu nieznanym.

- Czy zgodzi się pan z opinią, że jeśli chodzi o polski rynek sztuki, jesteśmy terenem ubogim, prowincjonalnym i zacofanym?

- Zależy z którego punktu widzenia patrzymy. Jeśli chodzi o jakość sztuki, to tak nie jest. Jeśli chodzi o wartość rynku sztuki, to rzeczywiście tak jest. Całe obroty polskiego rynku aukcyjnego za ubiegły rok sprowadziły się do 300 milionów złotych. A to kwota za 16 tysięcy dzieł z aukcji. Nie mamy z czym się porównywać. Jeden obraz Jeana Basquiata czy Marka Rothko na aukcji Christie's czy Sotheby's kosztuje 120 milionów dolarów. To skala porażająca. Jeden Chrystus Leonarda da Vinci, kupiony przez saudyjskiego księcia za 450 milionów dolarów, to cztero-, pięcioletnie obroty całego rynku w Polsce. Z drugiej strony mamy też niską podaż, brak wiedzy i doświadczenia wśród klientów.

- Wychodzi więc na to, że jesteśmy ubodzy i pod względem zasobności portfela i wiedzy.

- Mamy trochę osób w kraju, które mogą konkurować na rynku zamożności międzynarodowej i z tego, co mi wiadomo, to tylko Jan Kulczyk i jego pierwsza żona zajmowali się profesjonalnie kolekcjonerstwem sztuki. Ona co prawda wywiozła swoją kolekcję do Szwajcarii, ale nadal inwestuje w sztukę. Wojciech Fibak to też poważna postać w świecie kolekcjonerskim, szczególnie jego obrazy ze Szkoły Paryskiej. Niestety nikt nie chciał kupić całej jego kolekcji i została sprzedana

po sztuce. Było to kilkaset obrazów, które wzbogaciłyby niejedną wystawę w sposób szczególny. Lista bogatych osób może być długa, ale prawdziwych kolekcjonerów jest może kilku.

- Czy spotkał się pan z opinią, że słabością polskiego rynku sztuki jest także brak profesjonalizmu oraz duża ilość falsyfikatów?

- Są tacy artyści, których się podrabia i trzeba uważać. Np. Ryszard Winiarski czy Henryk Stażewski. Jeśli chodzi o autentyczność obrazów i innych dzieł sztuki, jednym z podstawowych cech jest badanie proveniencji, czyli udokumentowanie ich pochodzenia. Nie znam historii wszystkich swoich obrazów, ale cały czas ich poszukuję. Czasem przez przypadek do nich dochodzę. Np. niedawno zakończyła się w Sopocie ekspozycja części naszych obrazów i po tej wystawie zadzwoniła do mnie pani z Paryża, mówiąc, że zauważyła tam obraz specyficzny, bo dwustronny Tymona Niesiołowskiego. Wiśiał u niej 30 lat, a jej mama była malarką i dostała ten obraz od samego Niesiołowskiego. W taki też sposób buduje się autentyczność obrazów i moja wiedza. Niestety nawet badania konserwatorskie, które są bardziej wiarygodne niż opinie rzeczoznawców, często nie potrafią do końca potwierdzić lub wykluczyć autentyczności. Zalecana jest więc duża ostrożność i poszukiwanie dokumentacji. Szczególnie, gdy na rynku pojawiają się obrazy zaraz po śmierci artysty. Natomiast nie jest to jakaś specyfika polska. Wszędzie na świecie podrabia się dzieła artystów, którzy mają dobrą cenę. Moim zdaniem większy problem jest z fotografią. Byłem na wystawie w Monachium i zapytałem właściciela galerii, czemu ma głównie prace czeskie, a nie handluje fotografiami polskimi. Odpowiedział mi, że naszym nie ufa, bo wydając swoje pieniądze, chce pomóc artyście i nie chce zostać oszukanym. Zdarzało mu się, że inwestował w katalogi, wystawy, promocje, podpisywał umowy, w której autor zobowiązywał się do lojalności wobec galerii, a potem się okazywało, że ta sama praca była gdzieś sprzedawana po cichu, jako nowa odbitka, przez autora. Nie tylko falsyfikaty, ale też

A czy Fangor zasługuje, by cenowo stać na czele rankingu współczesnych polskich malarzy? Ja myślę, że nie. Kupiłem, by mieć go w kolekcji

takie zachowania mogą powodować ograniczone zaufanie do naszego rynku.

- Skąd wiadomo, że Nowosielski czy Fangor, ze swoimi przenikającymi się kolorowymi okręgami, mają kosztować po kilka milionów?

- Jesteśmy bardzo zapałtzeni w to, co dzieje się na Zachodzie. Wojciech Fangor wyrósł na rynku amerykańskim, gdzie kwota 10 tysięcy dolarów to bardzo niska cena. Te ceny wywindowały osoby świadome, że warto w niego zainwestować i dlatego na rynku amerykańskim płać po 70, 80 tysięcy dolarów. One zebrały pewną ilość tych obrazów z intencją, by stosownie nimi handlować na rynku krajowym. A czy Fangor zasługuje, by cenowo stać na czele rankingu współczesnych polskich malarzy? Ja myślę, że nie. Kupiłem, by mieć go w kolekcji, bo chciałem posiadać szeroką paletę artystów. Sentymentów też nie mam do bardzo drogiej i rzadko występujących obrazów Romana Opalki. Nie czuję tej wielkości w obrazach zapisywanych tysiącami liczb. Ale wystarczy, by jeden rekord padł na aukcji zagranicznej i już Opalka wszedł na kwoty milionowe. Marszandzi i domy aukcyjne w swoim interesie decydują, co i ile ma kosztować. Zawsze znajdują się ludzie z pieniędzmi, którzy będą chcieli mieć takie znane kolorowe kółko Fangora nad biurkiem. A przeciętnemu zjadaczowi chleba powiem tak: czytajcie, interesujcie się tym, co się wam podoba. Nie patrzcie na obraz z punktu widzenia komercyjnej wartości, tylko emocji, które czujecie. Zrozumienie obrazu polega na edukacji. Nie można np. zrozumieć Malczewskiego bez zrozumienia całej symboliki pojawiającej się na jego obrazach. Wartość prawdziwego dzieła weryfikuje czas, w którym dzieło pociąga nas swoją magią, energią, na nowo odkrywającą tajemnicą. ©

Ula Sobol
urszula.sobol@polskapress.pl



Dramaty

Pracę w hospicjum stacjonarnym dla dzieci rozpoczęła w 2011 roku. Z lekarza pediatry, który przez ponad pół wieku spieszył na pomoc małym pacjentom, stała się dobrym duchem, który nie tylko uśmierza ból, ale i towarzyszy dziecku aż do śmierci. Nie jest to łatwe i ciągle trudno się jej pogodzić z tym, co nieuniknione.

Byla już wtedy w zasadzie na emeryturze w moim podstawowym miejscu pracy, czyli w Klinicznym Szpitalu Wojewódzkim nr 2 im. św. Jadwigi Królowej w Rzeszowie, chociaż jeszcze tam pracowałam. I wtedy skontaktowała się ze mną pani Janina Jaroń, założycielka Fundacji Podkarpackie Hospicjum dla Dzieci w Rzeszowie. Zaczęła organizować hospicjum stacjonarne i bardzo jej zależało, abym wspomogła ich swoją pracą i doświadczeniem - opowiada 77-letnia Barbara Duhl, lekarz pediatra.

Pani doktor nie tak od razu zgodziła się przejść do hospicjum. - Dużo pracowałam. Byłam m.in. zastępcą ordynatora na oddziale dziecięcym. Prowadziłam poradnię chorób nerek u dzieci, a także bardzo dużo dyżurowałam. Zresztą wtedy jeszcze nie widziałam siebie jako lekarza hospicyjnego - wyznaje pani doktor.

To nie była dla niej łatwa decyzja. Ostatecznie jednak zdecydowała, że podejmie się pracy z dziećmi nieuleczalnie chorymi.

Musiałam zmienić swoje myślenie

- Spędziłam w szpitalu całe życie. Mam za sobą 54 lata pracy i każdego dnia walczyłam o zdrowie, o poprawę stanu dziecka, o wyleczenie chorego. Walczyłam o to, aby nie doszło do śmierci. Jednak tutaj, w hospicjum, wszystko wyglądało inaczej. Musiałam zmierzyć się ze śmiercią. Odprowadzić pacjenta do tego, co nieuniknione. Zaakceptować stan chorego taki, jaki jest - wzdycha lekarka.

Jak pogodzić się z faktem, że lekarz nie jest w stanie uchronić dziecka przed śmiercią?

- To bardzo trudne. Oczywiście możemy zmniejszyć, minimalizować ból, ograniczyć cierpienie, zabawić dziecko, ale nie możemy nie dopuścić do jego śmierci. Wręcz musimy towarzyszyć temu dziecku do śmierci - mówi lekarka.



Barbara Duhl, lekarz pediatra, ma 77 lat. W Hospicjum Stacjonarnym dla Dzieci w Rzeszowie pracuje od 9 lat

Uśmierzam ból i jestem, gdy dzieci odchodzą

Idodaje, że z każdym dniem pracy w hospicjum uświadamiała sobie, że jej rolą nie jest wyleczenie pacjentów, ale pomoc doraźna. To oddział opieki paliatywnej, w którym zapewniają pacjentowi całodobową opiekę. Czuła się tam potrzebna, i wiedziała, że pacjenci też jej potrzebują. Każdego dnia pracowała z wielkim zapalem i pasją.

- Na początku było mi bardzo trudno się odnaleźć. Chciałam cały czas coś jeszcze zrobić, aby nie dopuścić do dramatycznego zakończenia - opowiada Barbara Duhl. - Hospicjum dziecięce trochę różni się od hospicjum dla dorosłych. Tutaj mamy pacjentów nie tylko nowotworowych. Tacy są głównie w oddziałach dla dorosłych. U nas są dzieci przewlekłe chore, z nieuleczalnymi, wrodzonymi wadami, które będą żyć tylko jakiś czas. I to towarzyszenie jest bardzo trudne. Mnie nie możemy tak naprawdę nic u tych dzieci zmienić. Chociaż za 10 lat może się okazać, że było coś jeszcze do zrobienia.

Barbara Duhl urodziła się 29 czerwca 1943 roku w Jarosławiu. Jest lekarzem pediatrą, który pracuje w zawodzie od 54 lat

Do Hospicjum Stacjonarnego dla Dzieci w Rzeszowie trafiają dzieci z różnymi ciężkimi chorobami i w różnym wieku.

- Owszem, mamy dzieci nowotworowe, ale takimi dziećmi na ogół rodzice decydują się zajmować w domu. Rodzice chcą dać im siebie, w pełni, dopóki mogą i tak do końca. Natomiast są też dzieci, których rodzice nie dają rady. A dzieje się tak z różnych przyczyn: fizycznych i psychicznych. Te dzieci trafiają wtedy do nas. I my te dzieci otaczamy opieką, troską, dajemy poczucie bezpieczeństwa - wyznaje pani doktor.

I podkreśla, że oprócz pomocy medycznej, mającej zminimalizować ból u chorego, istotne jest wsparcie udzielane nie tylko dziecku, lecz również rodzinie. - Musimy pamiętać o całej rodzinie, o rodzicach i rodzeństwie chorego, które wobec tragedii często jest usuwane na dalszy plan.

Chore dzieci potrzebują dużo ciepła i spokoju

Pojawienie się chorego nieuleczalnie dziecka to olbrzymie przeżycie dla całej rodziny. Wtedy to dopiero rozgrywiają się prawdziwe tragedie rodziców i rodzeństwa.

- Przecież rodzice czekają na dziecko dziewięć miesięcy. Owszem, czasami wiedzą, że coś może być nie w porządku, że

dziecko urodzi się chore. Zdarza się jednak, że nie wiedzą, nie spodziewają się, że może ich coś takiego spotkać - opisuje swoje doświadczenia pani doktor. - I rodzi się dziecko, a rodzice dowiadują się, że nie ma szans na wyleczenie i będzie to dziecko wymagało stałej pomocy lekarskiej. Najgorszym ciosem jest fakt, że będzie ono żyło krócej niż inne dzieci. Dla rodziców to straszny szok.

Od chwili, gdy rodzice dowiadują się, jak brzmi diagnoza postawiona ich dziecku i że choroba zagraża jego życiu, nieuchronnie towarzyszy im strach. Trudno jest im wytłumaczyć, jak mają postępować. Jak można żyć inaczej.

- Należy dać nieuleczalnie choremu dzieciom wszystko, co możemy, czyli dać siebie - mówi pani doktor. - A resztę problemów zostawić. Na początku było mi bardzo ciężko z tym wszystkim się pogodzić. I chociaż minęło już 9 lat, odkąd pracuję w hospicjum, wciąż ciężko mi do końca zaakceptować to, co jest nieuchronne i nieuniknione.

W hospicjum przebywają dzieci w różnym wieku, od kilku dni aż do 18 lat. - Mamy jedną starszą dziewczynkę, która trafiła do nas zaraz na początku istnienia hospicjum. Zachorowała jeszcze w dzieciństwie i zdecydowali się ją przyjąć. Jest ona

do dzisiaj z nami - zaznacza Barbara Duhl.

Ostatnie godziny życia w domu

Samo słowo „hospicjum” często jest kojarzone z miejscem, w którym spędza się ostatnie dni życia i tylko czeka się na śmierć. Czy dzieci mają świadomość, że są w takim miejscu?

- Dzieci, które u nas przebywają, na ogół nie mają kontaktu z otoczeniem - odpowiada nasza rozmówczyni. - Są bardzo ciężko chore. Staramy się, aby te, które mają jakiś kontakt, na te ostatnie dni trafiły do domu. Ale dzieci nowotworowe zdają sobie sprawę, że śmierć się zbliża, zwłaszcza te starsze. Bardzo to przeżywam. Rozmowy z dziećmi i ich rodzinami prowadzi pani psycholog, która ma swoje sposoby i możliwości, aby były one stosowne odpowiednio do okoliczności.

- Zdarza się, że dzieci nie rozmawiają wprost o śmierci, ale chcą jechać do domu. Bardzo pragną być w domu - urywa głos pani doktor. - Pamiętam dramaty dzieci, gdy ich rodzice nie mogli poradzić sobie z sytuacją i nie byli w stanie wziąć ich do siebie. Większość jednak umiera w swoim domu, w swoich łóżkach. Wcześniej, oczywiście, rozmawiamy z rodzicami. Przygotowujemy ich. I mimo

że dzieci są u nas dłuższy czas, rodzice zabierają je na sam koniec do domu. To nie jest tak, że my chcemy się ich pozbyć, my po prostu czujemy i wiemy, że tak jest lepiej.

W hospicjum trzeba być z wyboru

Pani doktor podkreśla, że każdy lekarz, który podejmuje się pracy w hospicjum, musi do tego dojrzeć.

- Ważne jest chyba też to, co mamy za sobą, co już przeżyliśmy. Tutaj niczego nikt nie przyspieszy. Każdy musi sobie odpowiedzieć, czy jest na to gotowy. Ja zdecydowałam się dość późno, dopiero 9 lat temu. Jednak wtedy nie uważałam, że to był jakiś mój obowiązek. W pewnym momencie poczułam, że jest to droga dla mnie - wyznaje doktor Duhl. - W szpitalu też towarzyszyłam odejściom dzieci. Człowiek zdaje sobie tam sprawę, że muszą być miejsca, gdzie dziecko powinno być zadbane, spokojne, czyste i mieć to wszystko, czego potrzebuje u kresu. Dzieci z hospicjum domowego mogą też korzystać z naszej pomocy, np. gdy rodzice chcą wyjechać na wakacje z innymi swymi dziećmi, zdrowym rodzeństwem.

Opieka nad dzieckiem niepełnosprawnym to praca 24 godziny na dobę. A przecież są też inne dzieci, które są nieco odsunięte na bok. Czasami też matka musi iść np. do szpitala na jakiś zabieg. Wtedy na 2, 3 tygodnie przyjmujemy takie dzieci. W leczeniu paliatywnym musimy pamiętać o całej rodzinie.

Pani doktor pamięta o swoich pacjentach

Barbara Duhl pochodzi z rodziny lekarskiej. Matka była pediatrą, a ojciec chirurgiem. - Właściwie całe życie spotykałam się z tym, że szpital to rzecz priorytetowa - podkreśla Barbara Duhl. - Odkąd pamiętam, najważniejszy był szpital i to, że zawsze należy przede wszystkim służyć innym, a nie myśleć o sobie.

Doktor Duhl z domu wniosła również, że najważniejsza jest odpowiedzialność. - Jeżeli człowiek się do czegoś zobowiązuje, deklaruje, że coś zrobi, to tę odpowiedzialność powinien w sobie mieć - zaznacza. - Rodzice pokazali mi również, jak ważna jest miłość, obdarzanie kogoś uczuciem i okazywanie tego. Tak naprawdę ważna jest otwartość i szacunek do drugiego człowieka.

Doktor Duhl od wielu lat sama zmaga się z chorobą nowotworową. - Ale o tym nie będziemy mówić, nie jestem najważniejsza. Praca w hospicjum jest dopełnieniem tego, co przez całe życie robiłam - uśmiewa się na zakończenie. ©©

Ewelina Fuminkowska
ewelina.fuminkowska
@polskapress.pl



Samo życie

W małym mieście Aśka zwraca na siebie uwagę. Szczupła, ładna buzia, piękny biust, oryginalne stroje. Jest coś jeszcze. Tatuaze.

Nie ukrywa, że lubi zwracać na siebie uwagę. Ciało ma pokryte niezliczoną liczbą tatuży. Każdy do czegoś nawiązuje i jest małym symbolem wewnętrznej przemiany.

Joanna Maziarz mieszka w małej wsi Sierzchowo niedaleko Ciechocinka. W uzdrowisku skończyła liceum, później w Bydgoszczy studiowała ochronę środowiska. W okolicy nie ma osoby, która by jej nie знаła, bo Aśka włącza się w wiele akcji społecznych. Dzięki temu ma spore grono znajomych, co jest bardzo potrzebne w trudnych chwilach. A tych, niestety, w jej życiu nie zabrakło.

Obraz pierwszy. Biała karta

- Po raz pierwszy brałam udział w konkursie Tattoo Miss, który organizuje pismo „CKM”. Nie będę kłamać, zrobiłam to tylko dlatego, że nagrodą był darmowy tatuaż - opowiada Joanna Maziarz, oglądając się właśnie za pięknym... psem. Zresztą, co chwilę ogląda się za zwierzętami. A ja mam wrażenie, że koty czując jej aurę, pędzą do niej jak szalone.

- O konkursie dowiedziałam się przypadkiem. Jestem w tym środowisku i na jakieś stronie mignęła mi informacja. Ostatniego dnia wysłałam zgłoszenie - tłumaczy dalej.

Warunek był jeden: tatuaze, piękna figura i odwaga. W pierwszym etapie to internauci głosowali na najciekawsze zdjęcia. Tu przydała się duża liczba znajomych, którzy oddawali głosy. - Informacje rozesłała moja siostra i znajomi swoim znajomym. Przez cały czas mocno rywalizowała ze mną jedna z dziewczyn, Klaudia. Raz ona była na pierwszym miejscu, raz ja.

Udało się. Z 1699 punktami pierwszą lokatę wywalczyła Aśka. Do Warszawy na galę i wręczenie nagród jechała z wypiekami na twarzy. Na scenie z 28 dziewcząt pojawiło się tylko czternaście.

- Organizacja imprezy nie była najlepsza, ale to robili mężczyźni, więc nie wymagajmy od nich supereventu. Miałymy mieć białiznę, w której wystąpimy, ale w końcu jej nie było. Koleżanka pożyczyla mi strój kąpielowy z reklamą napoju. Dobrze, bo musiałabym wyjść bez i tu śmiech, choć zastanawiam, czy na pewno. - W porównaniu do innych dziewcząt wyglądałam bardzo skromnie. Bardzo



Ciała dziewczyn zdobią tatuaze. Licząc w złotówkach, pochłonęły pokąźną sumę, może nawet fortunę. Joanna (z lewej) robi kolejny, za darmo, bo wygrała konkurs Miss Tattoo - jednak szarfę zwyciężczyni oddała Klaudii (z prawej)

Ciało jak pamiętnik. Historia hejtu i miłości do tatuazy

Obraz drugi. Miss

Wszyscy czekali z niecierpliwością na ogłoszenie werdyktu. Znajomi, którzy jej towarzyszyli, czekali, aż na jej piersiach pojawi się szarfa. - Miałam inny plan. Chciałam tylko darmowego tatuazu, nie tytułu, więc oddałam go Klaudii. To skromna dziewczyna z pięknymi, kolorowymi tatużami. Niestety, większość kobiet ma kompleksy, a taka chwila to okazja do wyzwolenia się z wsze-

lkich niedoskonałości. Chciałam, żeby Klaudia poczuła się wyjątkowo.

Joanna szarfę oddała, powiedziała parę słów o sobie i zebrała owacje na stojąco.

Nic dziwnego, że ładna dziewczyna wystartowała w konkursie piękności. Dziwne było jednak zachowanie ludzi po gali. W internecie pojawiło się kilka artykułów i wywiadów z dziewczynami, które zdra-

dziły, że czuły się... molestowane. Podobno jury miało krzyknąć: „pokaż sutka!” i wiele innych uwag na niskim poziomie. - Nie słyszałam, bo szybko bym zareagowała. Za to wyśmiałam komentarze ludzi pod tymi artykułami. Internauci, nie ukrywając swojego imienia i nazwiska, na portalu społecznościowym wypisywali o dziewczynach, że to brudaski, brudnopisy, pomazane suki...

Aśka dwa razy w życiu spotkała się z komentarzem na temat swojego wyglądu. - Raz, gdy pracowałam w gabinecie weterynaryjnym. Pani zapytała, jak mogłam się tak oszpecić, a drugi raz, gdy byłam kurierem. Nie żałuję jednak żadnego mojego tatuazu. Nie ukrywam przy tym, że czasem mi przeszkadzają, mam np. problem być ze znalezieniem pracy. Miałam być nianią, bo mam doświadczenie i uwielbiam dzieci, ale po tym, gdy napisałam, że mam tatuaz - rozmowa się skończyła. Pracy szukałam dwa miesiące. Udało się i jestem pracownikiem administracyjno-biurowym, gdzie nikt nie mówi, jak mam wyglądać - opowiada, pokazując swoje tatuaze.

Pierwszy zrobiła, gdy miała 19 lat. To był smok, bo od dziecka się nimi interesowała. Dziś uważa, że jest bardzo kiepsko wykonany. Ostatni powstał może miesiąc temu. To Simba i Nala z bajki Disneya.

- Pamiętasz, gdy jako dzieciaki zbieraliśmy karteczki do wymiany? To ja kupowałam wszystkie z Królem Lwem. To moja ulubiona bajka. Miałam wszystko, co było z nią zwią-

zane. Musiałam mieć ten tatuaż.

Obraz trzeci. Hejt

Na ciele wytatowała sobie także świnkę, która symbolizuje facetów (na pamiątkę po nieudanym siedmioletnim związku), siedem grzechów głównych, a także wizerunek ulubionego pisarza Edgara Allana Poe, jak również pamiątki związane z serialem „Miasteczko Twin Peaks”. Pod piersiami znalazło się miejsce na wiedźmę, a pod szyją na księżyc. Na jej ciele pysznia się też: modliszka, kakтус, kruk, postaci z sagi „Gwiezdne Wojny”, sowa, róża i oczywiście kocie łapki oraz pies.

- Kocham zwierzęta, bo gdy ludzie zawadzili, one były zawsze przy mnie - dodaje. Nie chce wspominać tego, co było, ale w końcu decyduje się, bo wie, że pomoże to innym. - Mam dość wszechobecnego hejtu, słyszę już, że nawet dzieciaki tego doświadczają i sobie z tym nie radzą. Mnie też nie było łatwo w szkole. Nie miałam wtedy jeszcze tatuazy, ale za to myśli samobójcze.

W liceum z dobrej uczennicy stała się wagarowiczką. Wolala na dworcu czytać książki, niż doznawać szykan. Nie sposób wymienić obelg, które usłyszała z powodu swojego nosa. Pino-kio czy kulfon to najmiłsze z nich. Nos po latach zoperowała, podobnie jak piersi, bo miała taki kaprys, ale inne rzeczy w pamięci zostały. - Po latach kilka osób mnie przeprosiło, inni hejterzy, jak widzę, zamienili się w pulchnych, łysiących panów. Wiem, że nie powiodło się niektórym w życiu, ale nie mam zamiaru ich za to krytykować, choć płakałam wiele razy przez nich. Dziś, mając 35 lat, inaczej odbieram takie słowa. Po prostu się z nich śmieję - dodaje, ale uśmiech na jej twarzy już zgasł.

Znalazła wsparcie w siostrach i starszym bracie. Tata pierwszy tatuaz kazał jej zlikwidować, mama przy piątym zaczęła płakać, ale babcia wciąż ją szczerze dopinguje i dopytuje, kiedy będzie kolejny.

Obraz czwarty. Bieg po życie

Joanna pod pancerzem z tatuży ukrywa bardzo wrażliwą duszę. Rozczula się nad każdym zwierzęciem i dzieckiem. Bieganie, które uwielbia, miało ratować jej psychikę, ale poprawiło także sylwetkę. Teraz pokonuje maratony i biega z psami. Ma sześć, do tego dwa koty i królika. - Nawet pajaki i robaki były lepsze dla mnie niż ludzie. Postanowiłam iść za pasją i skończyłam technikum weterynarii, teraz robię kurs behawiorysty zwierzęcego.

Między zajęciami biega w zawodach i pokonuje kolejne kilometry. Nie pamięta wtedy o smutnych chwilach, a na myśl o nowym tatużu natychmiast pojawia się szeroki uśmiech. One są tym, co naprawdę kocha. ©©

Bartosz Dybała

bartosz.dybala@polskapress.pl



Śledztwo

Ula Olszowska uwielbiała górskie wędrówki. Ciało fotoreporterki „Gazety Krakowskiej” znaleziono w Tatrach. Zdaniem prokuratury, zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Dziesięć lat od tamtych tragicznych wydarzeń dotarliśmy do osób i informacji, które rzucają nowe światło na sprawę. Wiele wskazuje, że młoda dziewczyna została zamordowana. Jej ewentualny zabójca popełnił kilka błędów.

Koniec grudnia 2011 roku. Prokuratura Okręgowa w Nowym Sączu umarza śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci Uli Olszowskiej. Zdaniem śledczych, najbardziej prawdopodobna jest wersja, że młoda dziewczyna zboczyła ze szlaku i podeszła nad brzeg potoku Rozтока. Tam miała się poślizgnąć lub stracić przytomność i wpaść do wody.

Aparat

Był 28 lipca 2010 r. Ula niespodziewanie przed godz. 9 zaczęła robić makijaż i pośpiesznie się ubierać. Wzięła ze sobą plecak, który nosiła w góry, zostawiła jednak aparat fotograficzny, z którym się zwykle nie rozstała. Wyszła z domu.

Adam Olszowski, zaniepokojony zachowaniem córki, zadzwonił do niej. Dziewczyna nie odebrała, jednak po kilku minutach oddzwoniła. Poinformowała, że idzie na Rynek Główny spotkać się ze znajomym. Dodała, że wróci w godzinach popołudniowych. Ojciec po godz. 13 raz jeszcze próbował porozmawiać z Ulą. Bezskutecznie. Jej telefon był wyłączony.

Tymczasem o godz. 10.40 dziewczyna wsiadła do autobusu linii „Szczawin”. Miała kupiony bilet do Bukowiny Tatrzańskiej. Nigdy jednak tam nie dotarła. Wsiadła ok. godz. 14 w Poroninie. Dlaczego zmieniła decyzję o celu swej podróży? Nie wiadomo.

Ambicja

24-letnia Ula miała pasję. Uwielbiała fotografować otaczającą ją rzeczywistość.

W jej pokoju można było znaleźć kilka aparatów. Pod koniec studiów na Uniwersytecie Pedagogicznym przyszła do redakcji „Gazety Krakowskiej” i została przyjęta na staż jako fotoreporterka. Z opowieści jej bliskich, znajomych i kolegów z pracy wyłania się obraz Uli jako osoby skrytej, tłumiącej swoje emocje, lekko niezdarnej, zamyślanej, upartej, ambitnej, ale jednocześnie nastawionej pozytywnie do ludzi.

Stanisława Łukaszczyk od 44 lat prowadzi Pracownię Strojów



Ula Olszowska uwielbiała górskie wędrówki



FOT. WOJCIECH MATYSIAK, ARCHIWUM RODZINNE

Śmierć Uli w górach. Czy to było zabójstwo?

Ludowych i Haftu w Poroninie. To ostatnia znana nam osoba, która widziała Ulę żywą.

- Stała w progu i zapytała, czy może porozmawiać. Pytała o rzeczy artystyczne, plastyczne, o techniki szycia. Tu, przy stole rozmawialiśmy, ale ona w pewnym momencie przeprosiła i powiedziała, że się śpieszy - opowiada kobieta.

Tuż przed wyjściem z pracowni Ula powiedziała, że jest z kimś umówiona.

Z informacji, które posiadamy, wynika, że odwiedziła pracownię tego samego dnia, w którym opuściła rodzinny dom w Krakowie.

Dziewczyna

Chodźmy od „drzwi do drzwi” i rozmawiamy z mieszkańcami Poronina.

Pokazujemy zdjęcie dziewczyny i pytamy, czy ją kojarzą. Ostatecznie trafiamy pod adres, gdzie według zebranych informacji Ula Olszowska miała wynająć pokój jednoosobowy i nocować z 28 na 29 lipca 2010 roku.

Pokazujemy zdjęcie Uli i pytamy gospodarza, czy ją kojarzy. - Znalaziono ją? - zagaduje. Po czym podpytuje nas o szczegóły sprawy i nie czekając na odpowiedź, sam zaczyna o nich mówić. Zapewnia nas jednak, że nigdy nie było u niego „tej dziewczyny”.

29 lipca 2010 r. - dzień po wyjściu Uli z domu - na policję przyszedł Adam Olszowski. Zgłosił zaginięcie córki. Zawiadomił także fundację Itaka, która zajmuje się poszukiwaniem zaginionych osób.

Góry

Góry były ulubionym miejscem spędzania wolnego czasu przez Ulę. Chodziła na wyprawy zarówno ze znajomymi, jak i z krewnymi. Miała duże doświadczenie w trekkingach. Adam Olszowski, znając zamiłowania córki, zaczął jej szukać w górach. Jeździł w Bieszczady, Beskidy, Tatry. Rozwieszał zdjęcia i wypytawał napotkane osoby.

2 sierpnia 2010 r. ojciec Urzuli zadzwonił do dyżurnego ratownika TOPR. Poinformował o prowadzonych przez siebie i policję poszukiwaniach. Ten poradził ojcu, aby próbował kontaktować się z poszczególnymi schroniskami.

Kilka dni po tej rozmowie - 7 sierpnia - szlakiem od Koziej Przełęczy w kierunku Doliny Pięciu Stawów wędrowała grupa znajomych.

Dwóch z nich postanowiło zboczyć ze szlaku i podejść w rejon Siklawy, aby zobaczyć wodospad.

Nad brzegiem znaleźli plecak. W środku odkryli m.in. wyłączony telefon komórkowy, kartę bankomatową, legitymację studencką, krakowską kartę miejską. Wszystkie dokumenty wystawione na Urszulę Olszowską.

Turyści zanieśli plecak do schroniska. Jego pracownicy poinformowali dyżurnego ratownika TOPR o znalezisku. Nie był to jednak ten sam ratownik, który kilka dni wcześniej rozmawiał z Adamem Olszowskim.

Do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów dotarł tata Uli. Był 13 września 2010 roku. Zostawił w nim fotografię swojej córki.

Jedna z pracownic rozpoznała postać i skojarzyła ją z plecakiem, przyniesionym przez turystów początkiem sierpnia. O tym fakcie powiadomione zostały TOPR i policja. Ratownicy ruszyli w góry. Niedaleko wodospadu Siklawy, w potoku Rozтока, dostrzegli ciało. Z wody wystawał fragment głowy i pleców. Był 15 września 2010 roku. Zwłoki zostały przetransportowane do Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie. Lekarze po przeprowadzeniu badań potwierdzili, że jest to Urszula.

Prokuratura Rejonowa w Zakopanem wszczęła śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci. Po kilku tygodniach prowadzenie przejęła Prokuratura Okręgowa w Nowym Sączu. Śledczy sprawdzili jednocześnie, czy śmierć Uli mogła być efektem samobójstwa lub nieszczęśliwego wypadku.

Adam Olszowski na początku października udał się w miejsce, gdzie znaleziono ciało jego córki. Mężczyzna na drugim brzegu potoku dostrzegł pelerynę, która należała do jego dziecka. Sfotografował znalezisko i poinformował o tym prokuraturę.

Śledczy jednak przez dwa miesiące od odkrycia ciała Uli Olszowskiej nie przeszukali okolic potoku. W 2010 roku żaden policjant nie posiadał przeszkolenia wysokogórskiego, a zdaniem prokuratury bez niego żaden z funkcjonariuszy nie mógł iść w góry. Dopiero w połowie listopada zakopiańska policja zwróciła się z prośbą do naczelnika TOPR, aby ratownicy udali się w góry i przeczesał teren.

Przyjacieli

W rozmowach z przyjaciółmi i znajomymi Ula jest przedstawiana jako dziewczyna nieśmiała w kontaktach damsko-męskich. Przed zaginięciem utrzymuje bliższe relacje z Grzegorzem J. Nic nie wskazuje jednak na to, że „są parą”.

Zdaniem mężczyzny, „ich znajomość rozwijała się w sposób harmonijny, przez cały czas pozostawali w przyjacielskich stosunkach, nie było pomiędzy nimi żadnych kłótni lub innego rodzaju nieporozumień”. Dodał, że z żadnej ze stron „nie padły deklaracje uczuciowe, w tym idące w kierunku nadania tym kontaktom bardziej wiążącego i sformalizowanego charakteru”. Grzegorz J. ostatni raz spotkał się z Ulą 24 czerwca 2010 roku. Zebranych informacji wynika, że mężczyzna ze sprawą zaginięcia i śmierci dziewczyny nie miał nic wspólnego.

Chcemy porozmawiać z prokuratorem z Zakopanego, który prowadził śledztwo. Ten jednak informuje, że sprawa została przekazana do Nowego Sącza i nie jest w stanie pomóc. Wysyłamy więc pytania do Prokuratury Okręgowej w Nowym Sączu. Do czasu publikacji tego tekstu wciąż nie dostaliśmy odpowiedzi.

Ula Olszowska zginęła prawdopodobnie 29 lipca 2010 r. Od tego dnia przestała m.in. korzystać ze swojego konta bankowego. Wskazywać też mogą na to wyniki sekcji zwłok. Plecak Uli znaleziono przy wodospadzie Siklawy. Jej ciało znajdowało się 150 metrów poniżej, w potoku

Rozтока. Dziewczyna miała rozpięte spodnie, spuszczone poniżej kolan. Peleryna z wywinętymi rękawami została znaleziona 100 metrów od wodospadu. Oglądamy zdjęcia, które zrobił ojciec Uli. Peleryna jest potargana. Wygląda, jakby została z niej zerwana. Kurtkę i porzucane rzeczy Uli znaleziono kilkanaście metrów poniżej miejsca, gdzie znajdowało się ciało dziewczyny. Wraz z nimi znaleziono kilka innych przedmiotów, m.in. niebieską czapkę i górski kij. Nie należały do Uli.

Zęby

Sekcja zwłok wykluczyła, że Ula mogła zginąć w wyniku upadku z wysokości. Jedyne urazy, jakie potwierdziły badania, to złamanie żuchwy i wybite górne zęby. Powstały one już po śmierci dziewczyny. Obrażenia są nietypowe. Zdaniem lekarzy, którzy proszą o anonimowość, takie urazy mogą powstać w wyniku ciągnięcia zwłok.

Specjaliści z Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie nie wykluczyli, że przyczyną zgonu mogło być utopienie. Z pisma prokuratora o umorzeniu śledztwa: „w konkluzji sekcji zwłok podano, że badania pośmiertne nie pozwalają na określenie przyczyny zgonu pokrzywdzonej”.

Świadek

Kiedy informacja o znalezieniu ciała Uli trafiła do mediów, policja odebrała telefon od mężczyzny. Odmówił on podania jakichkolwiek danych, umożliwiających ustalenie jego tożsamości.

Chciał podzielić się informacją, że pod koniec lipca 2010 roku przebywał w Tatrach w okolicy Siklawy i słyszał „podniesione głosy, w tym głos kobiety”. Dodatkowo miał widzieć w tamtym rejonie na szlaku samotną młodą kobietę, a także idącego za nią mężczyznę w towarzystwie małej dziewczynki. Dorosły miał mieć zabandażowaną rękę i zachowywać się dziwnie. Wedle relacji dzwoniącego, tajemniczy mężczyzna miał polecić dziecku samodzielne udanie się do schroniska, a sam poszedł w kierunku kobiety. Tajemniczy świadek łącznie zadzwonił do prowadzących śledztwo policjantów trzykrotnie. Wersji, którą przedstawił, nigdy nie potwierdzono. Jednak przypadkiem zdradził on szczegóły, które mogła znać tylko osoba wiedząca, co stało się z Ulą w ostatnich chwilach jej życia.

Śledczy ustalili, że mężczyzna dzwonił z numeru na kartę. Nie zgłosił on operatorowi swoich danych personalnych. Prokuratura uznała, że nie jest w stanie go przesłuchać. Z naszych ustaleń wynika, że dzwoniący mężczyzna nie pochodził z Podhala.

Zgodnie z przepisami z końcem 2020 r. sprawa przedawni się. Jeśli śledczy zajmą się nią ponownie i zdecydują się na zmianę klasyfikacji na zabójstwo, wtedy przedawni się dopiero w 2040 r. ©©

Marek Ponikowski
marek.ponikowski0@gmail.com

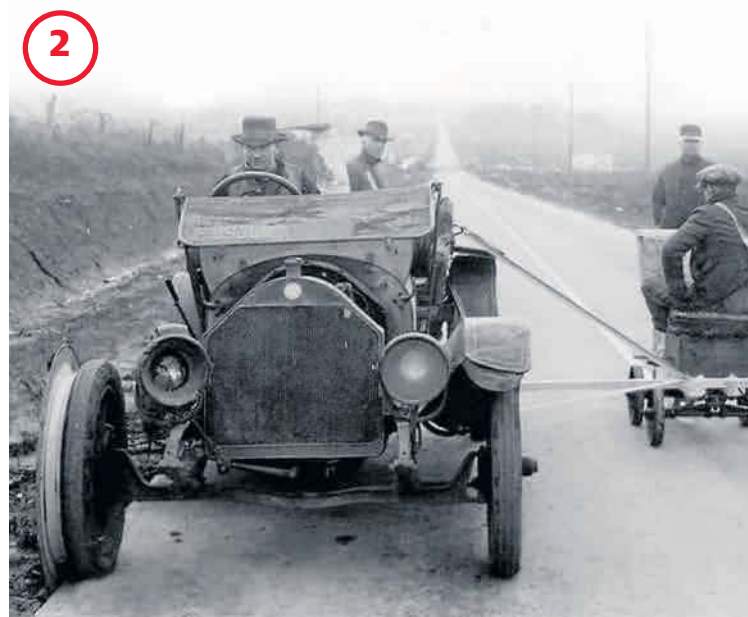
Autosalon

Ktoś kiedyś powiedział, że jedno zdjęcie przemawia silniej niż tysiąc słów. Spróbowaliśmy sprawdzić, o czym mówią do nas cztery archiwalne fotografie ze Stanów Zjednoczonych.

W roku 1893 roku w mieście Springfield w Massachusetts bracia Charles i Frank Duryea, mechanicy zajmujący się na co dzień bicyklami, konstruują pierwszy amerykański pojazd z silnikiem spalinowym zasilanym benzyną. Nie są pierwsi. Osiem lat wcześniej podobny wehikuł skonstruował w Niemczech - i opatentował - Carl Benz. Ale w żadnym innym miejscu na Ziemi samochód nie zrobił tak zawrotnej kariery, jak w USA, nie wpisał się tak mocno w rozwój gospodarki, cywilizację, kulturę, życie codzienne. Nigdzie nie ma tak wielu muzeów mu poświęconych i nigdzie historyk czy po prostu hobbysta zajmujący się motoryzacją nie znajdzie tylu interesujących tematów związanych z samochodem. Skromnym tego świadectwem są zdjęcia znalezione na fejsbukowej stronie poświęconej starej motoryzacji.

Zdjęcie nr 1

Dziś takie pojazdy na całym świecie nazywa się „food-truckami”. Ciekawe, czy taka terminologia obowiązywała już wówczas, gdy na ulicy w stołecznym Waszyngtonie wykonano to zdjęcie? Na drewnianej ladzie umocowanej do burty nadwozia Forda T widać starannie opakowane sandwiche, jakieś owoce, potężny dzbanek z kawą... Dlaczego ten widok zainteresował fotografa, zapewne reportera miejscowej gazety? Może zwrócił uwagę na młode kobiety sto-



jące obok samochodu? Dwie, ubrane w szykowne płaszcze, przyszły chyba, aby kupić coś do jedzenia podczas przerwy śniadaniowej. Ale widać, że ta w głębi podtrzymuje chwiejącą się na nogach dziewczynę, zapewne sprzedawczynię!

Zdjęcie wykonano w roku 1918, pamiętnym nie tylko z powodu zakończenia I wojny światowej, ale i ze strasliwej epidemii grypy zwanej hiszpanką, która zabiła więcej ludzi niż działania wojenne. Pojawiła się nagle wiosną w wojskowej bazie w Kansas i wskutek przerzutów oddziałów wojskowych w USA i do Europy rozprzestrzeniła się po obu kontynentach. Druga fala w sierpniu była o wiele groźniejsza. Miała światowy zasięg i wielką siłę rażenia. Zabijała głównie młodych. Trzecia, niemal równie silna przeszła przez świat na przełomie lat 1918-19. Ze względu na wojnę w wielu krajach obowiązywały surowe prze-

pisy zakazujące prasie ujawniania faktów, które mogły obniżyć morale społeczeństwa. Nie informowano więc o sposobach ochrony przed zarażeniem, ukrywano liczbę zgonów. Czyżby - to oczywiście niesprawdzalna spekulacja! - nieznanego fotoreportera uchwycił moment zaślubienia ofiary epidemii?

Zdjęcie nr 2

Latem 1919 roku młody kapitan Armii Stanów Zjednoczonych Dwight Eisenhower wyruszył na czele długiej kolumny wojskowych ciężarówek wiozących dwustu dziewięćdziesięciu czterech jego podwładnych z Waszyngtonu w kierunku San Francisco. Doświadczenia dopiero co zakończonej wielkiej wojny w Europie skłoniły ekspertów Departamentu Obrony do zorganizowania próby przetrzutu wojsk taborem kołowym. Wynik był zatrważający.

Przyszły prezydent USA dotarł wraz ze swoim oddziałem na Union Square w kalifornijskiej metropolii dopiero po sześćdziesięciu dwóch dniach! Kolumna poruszała się z prędkością ledwie ośmiu kilometrów na godzinę, bo w państwie, w którym jeździło wówczas 6,7 mln samochodów osobowych i 900 tys. ciężarówek, nie istniała prawdziwa sieć drogowa! A samochodów szybko przybywało. Nowi właściciele Fordów T z terenów wiejskich nie chcieli jeździć po bezdrożach. Na wiecach wyborczych skandowano: „Wyciągnijcie farmerów z błota!”. Federal Highway Act z roku 1921 stał się początkiem tworzenia systemu międzystanowych arterii, a ich budowę przyspieszył w latach Wielkiego Kryzysu rządowy program robót publicznych. Wiele prawdopodobne, że właśnie z kryzysowych lat pochodzi to zdjęcie. Prosta jak strzeła wstęga asfaltu stanowi, sądząc po szerokości wykopu, tylko połowę przyszłej dwujezdniowej arterii. Fascynująca jest prostota urządzenia do malowania pasów na jezdni. Zdezelowany grat sprzed I wojny światowej ma po prawej stronie specjalne nakładki prowadzące koła dokładnie wzdłuż krawędzi asfaltu. Pracownik siedzący tyłem na prymitywnym wózku ciągniętym na sztywnym wysięgniku dba o równomierny spływ farby na asfalt. Ot, i wszystko.

Zdjęcie nr 3

„Oregon albo śmierć” - głosi w dowolnym tłumaczeniu napis na nadwoziu starego Forda T. Samochód ma rejestrację z Południowej Dakoty, a lakoniczny opis wyjaśnia, że zdjęcie wykonano w roku 1936, zaś oparty o auto młody człowiek to Vernon



Evans, farmer z tego właśnie stanu. Nie wiemy, czy wyruszył do odległego o ponad 2 tysiące kilometrów stanu nad Pacyfikiem sam, czy z rodziną, ale te kilka informacji wystarczy, by zorientować się, że mamy do czynienia ze świadectwem katastrofy ekologicznej, która dotknęła na początku lat 30. Wielkie Równiny, czyli centralną część terytorium USA. Susza, niespotykane wcześniej upały i gigantyczne burze piaskowe zamieniły kilkanaście stanów w pustynię, bo wcześniej wyjałowiono tamtejsze gleby intensywną uprawą zbóż i wypasem bydła. Pozbawieni środków do życia farmerzy porzucali domy, by szukać szczęścia m.in. w Kalifornii i Oregonie. Czy Vernon Evans dotarł do celu?

Zdjęcie nr 4

W latach 50. minionego wieku słowa „postęp” używali chętnie nie tylko propagandyści w państwach rządzonych przez partie komunistyczne. Brzmiało dobrze także w Ameryce, która przeżywała właśnie okres pro-

sperity. Gospodarka była rozpełzająca, siła nabywcza społeczeństwa rosła, inflacja spadła niemal do zera. Od Atlantyku po Pacyfik panował optymizm. Na amerykańskie szosy ponownie, jak w latach 1940-41, wyjechała więc sponsorowana przez General Motors kolumna dwunastu Futurlinerów, zaprojektowanych zgodnie z estetyką Art Déco przez słynnego stylistę Harleya Earla. Każdy z aerodynamicznych pojazdów (długość ponad 10 m, wysokość 3,7 m) był wyposażony w rozkładany, brezentowy dach i teleskopowy maszt oświetleniowy. Na tematycznych wystawach w ich wnętrzach prezentowano np. przekrój silnika odrzutowego, nowoczesny sprzęt gospodarstwa domowego czy stereofoniczną emisję dźwięku. Szczególnie efektownie prezentowała się wielka diorama obrazująca przemianę rolniczej osady w mieszkalne suburbia. „Parade of Progress” odwiedziła w latach 1953-56 ponad 150 miejscowości w USA i Kanadzie.

© P



Gwałciciel psychopata. Porażka polskiej resocjalizacji

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan
@polskapress.pl



Prawo i życie

Jednej nocy zgwałcił brutalnie w Toruniu dwie studentki, a trzecią usiłował. Po 5 latach „odsiadki” wyszedł i po kilku miesiącach zgotował piekło narzeczonej oraz jej rodzinie. Właśnie skazany został na 25 lat więzienia. Ale kiedyś wyjdzie...

Przypadek Rafała K. z Torunia to porażka polskiego systemu resocjalizacji - podsumowuje prokurator Bartosz Wieczorek. Zna niemal każdą minutę horroru, który mężczyzna zgotował swojej narzeczonej Klaudii i jej rodzinie.

Za to piekło - usiłowanie zabójstwa kobiety oraz uwięzienie ze szczególnym udręceniem jej dziadka i brata - Rafał K. 4 marca skazany został na 25 lat więzienia. Gdy wyjdzie, będzie po sześćdziesiątce. Nadal może być groźny.

„Posiada psychopatyczne cechy osobowości niepoddające się terapii” - stwierdzili biegli.

Nim doszło do wspomnianego horroru, w lutym 2018 roku w Toruniu, mężczyzna zdążył się zapisać w kryminalnej historii miasta. Można wręcz powiedzieć, że na najmroczniejszych jej kartach.

Zgwałcił i kazał sobie zapłacić

Listopad 2011 roku. W miasteczku akademickim Uniwersytetu Mikołaja Kopernika zaczyna pojawiać się strach. Studentki już wiedzą i przekazują sobie z ust do ust: dwie z nich brutalnie zgwałcono jednej nocy.

Szukające informacji docierają do redakcji „Nowości”. Początkowo służby prasowe miejscowej komendy policji ich nie potwierdzają. Potem muszą już się do nich odnieść, bo zaczyna narastać panika. Co się stało?

Dziś przebieg nocy z 10 na 11 listopada 2011 roku odtworzyć można już w miarę wiernie, bo wypadki zostały drobniutko zrekonstruowane przez prokuraturę i sąd. Wielu szczegółów i okoliczności nadal przekazać jednak nie można. Z uwagi na interes zgwałconych kobiet proces toczył się z wyłączeniem jawności.

Wiadomo, że pierwszego gwałtu 32-letni wówczas Rafał K. dopuścił się po godzinie 1.00



Rafał K. za horror, który zgotował swojej narzeczonej i jej rodzinie, skazany został 4 marca br. na ćwierć wieku za kratami. Ten atak psychopatycznego recydywisty miał miejsce zaledwie kilka miesięcy po jego wyjściu z za krat; skazany był za dwa gwałty i próbę trzeciego

w nocy, w okolicy ul. Sienkiewicza, niedaleko miasteczka akademickiego. Z nożem zaatakował 19-letnią studentkę.

Ostrze przyłożył jej do brzucha i zaciągnął w pobliżu boiska V Liceum Ogólnokształcącego, miejsce mroczne i zadrzewione. Tu zgwałcił ją kilkukrotnie. Brutalnie. Ze szczególnym upokorzeniem.

Potem ledwo żywą ze strachu i bólu zmusił do wspólnej wycieczki do... bankomatu. Tutaj przerażona studentka

wypłaciła z konta tyle, ile mogła: 50 złotych. Wtedy Rafał K. zniknął.

Trzy ofiary jednej nocy

Kolejna odsłona dramatu miała miejsce zaledwie godzinę później, nieco dalej - przy ul. Gagarina. Tutaj gwałciciel zapolował na kolejną bardzo młodą kobietę. Złapał ją za włosy i leżącą na ziemi ofiarę ciągnął w ustronne miejsce. Krzyczącej dziewczynie udało się wyrwać i uciec.



W opinii prokuratora Bartosza Wieczorka przypadek Rafała K. to porażka polskiego systemu resocjalizacji

Trzecia ofiara została zaciągnięta w okolice bunkra w pobliżu ulicy Okrężnej i tam zgwałcona. Znów: po przystawieniu noża, brutalnie, według najgorszych do wyobrażenia scenariuszy. To był już poranek.

Nie trzeba tłumaczyć paniki, która po tym wszystkim zaczęła narastać w miasteczku akademickim. Policja i toruńska Straż Miejska zwiększyły liczbę patroli, także nocnych.

Skazany na 5 lat więzienia

Gwałciciel został ujęty i aresztowany po 18 dniach. Za kraty trafił 28 listopada 2011 roku.

Sprawcą był Rafał K., 32-letni mieszkaniec Torunia, z zawodu malarz. Najwyraźniej zafiksowany na pracy w ochronie, bo już wtedy podawał się za ochroniarza. Kawaler, ale już ojciec 12-letniego syna.

Przed Sądem Okręgowym w Toruniu mężczyzna sądzony był za dwa gwałty i jedno usiłowanie oraz rozbój z użyciem noża. Jedną z jego ofiar zdecydowała się na status oskarżycielki posiłkowej w procesie. Zasiadła na ławie sądowej obok prokuratora. „Oko w oko z gwałcicielem” - odnotowały media. Potem, jak wspomnieliśmy, jawność procesu wyłączono i to, co wydarzyło się na sądowej sali, pozostaje jej tajemnicą.

Za dwa gwałty, usiłowanie trzeciego oraz rozbój z nożem w ręku Rafał K. skazany został na 5 lat i 6 miesięcy więzienia. Zza krat torunianin wyszedł 25 maja 2017 roku.

„Mówił, że umrę w bólu”

Horror w mieszkaniu przy ul. Gagarina w Toruniu wydarzył się 1 lutego 2018 roku o poranku. By zrozumieć, jak do niego doszło, trzeba jednak cofnąć się do okolic Bożego Narodzenia 2017 roku. Wtedy to Klaudia B., trzydziestoletnia barmanka pracująca w jednym z toruńskich klubów, poznała Rafała K. Mężczyzna nie pochwalił się jej wyrokiem.

Poznali się w klubie, gdzie pracowała. - Zaprosił mnie do stolika. Piliśmy piwo, dobrze nam się rozmawiało. Był miłym, spokojnym, grzecznym człowiekiem. Po 2-3 godzinach pojechaliśmy do jego domu. Spędziliśmy razem noc i od tego czasu zaczęliśmy się spotykać - wspominała w sądzie Klaudia B., atrakcyjna blondynka. - Po trzech tygodniach mi się oświadczył.

Na początku miłość kwitła. Po jakimś czasie jednak z Rafała K. zaczęła wychodzić jego prawdziwa natura. Był chorobliwie zazdrosny, zaczął jej ubliżać i awanturować się. Do klubu, gdzie pracowała,

przychodził w mundurze ochroniarza „Delt” i z bronią, udając jej pracownika.

Zmęczona i przestraszona całą relacją barmanka zerwała z Rafałem K., co wprawiło go w szal. Znów przyszedł do miejsca jej pracy. „Do końca życia będę cię prześladował!” - usłyszała wtedy. Krytycznego 1 lutego 2018 roku wróciła do mieszkania przy ul. Gagarina o poranku. Dziadkowi i bratu powiedziała wprost, że były narzeczony jest niebezpieczny i nie mają go wpuszczać do mieszkania. Nie posłuchali. Wpuścili...

Napastnik najpierw unieruchomił mężczyzn. Dziadka skulił kajdankami i związał w jego pokoju. Potem jeszcze drzwi zablokował fotelem. Brata, który wrócił ze sklepu, związał i rzucił na łóżko w dużym pokoju. Za dręczenie Klaudii zabrał się w jej pokoju.

- Związał mnie całą, rozebrał do naga. Pociął mnie wysuwającym nożykiem po piersi, brzuchu, pośladku, udzie. Potem nożem obciął mi włosy. Kazał mi wybierać, kogo ma zabić pierwszego: dziadka, brata czy mnie. Mówił, że będę umierać w bólu - zeznała kobieta. - Groził, że odetnie mi sutki i oszpeci.

Potem Rafał K. poił kobietę szatańskim koktajlem z leków psychotropowych wymieszanych z piwem.

W tym czasie dziadkowi udało się oswobodzić ręce. Napisał kartkę z wołaniem o pomoc i wyrzucił ją przez okno. Mężczyzna, który ją znalazł, zadzwonił na policję. Brat natomiast uwolnił się całkowicie i wyskoczył na ulicę z balkonu. Oczywiście też szukał pomocy.

Gdy Rafał K. to odkrył, spanikował. „Nie mam czasu. Muszę to dokończyć” - powiedział i zaczął dusić Klaudię sznurkiem. Straciła przytomność. Myśląc, że ofiara nie żyje, Rafał K. uciekł. Barmanka przeżyła cudem.

Cechy psychopaty

4 marca br. Rafał K. skazany został przez Sąd Okręgowy w Toruniu na 25 lat więzienia z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie po 20 latach.

Biegli psychiatrzy stwierdzili, że psychopatyczne cechy jego osobowości nie poddają się terapii.

W areszcie Rafał K. usiłował się otruć. Miesiąc był w szpitalu farmakologicznym. Ale żyje, ma się dobrze. Wyjdzie na wolność najprędzej za 20 lat. ©©

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 tworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

gram: Z każdego miejsca jednak do nieba.

9) cukrowy, ćwikłowy lub pastewny,
15) stoją na parkingu.

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

3 pok. nowe, 319 tys. 603306010.

Mieszkanie, 77 mkw., piwnica, garaż. Blisko przedszkole, szkoła, kościół, plac zabaw, Stelmet. 7 km od Zielonej Góry, 66-007 Kamionka. Tel. 503705111. 120 000 zł.

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ każde mieszkanie, dom, z dowolnym problemem prawnym, też udziały, zadłużone. 513474366.

SKUPUJEMY udziały w spadku lub nieruchomościach. 500-114-019.

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

Sprzedam gospodarstwo rolne 480 ha w Radęcinie gm. Dobiegniew. Grunty rolne oraz budynki. Cena 16,9 mln zł Kontakt: tel. 664 727 500.

GARAŻE

WYNAJMĘ lub kupię garaż w Zielonej Górze przy ul. Powstańców Warszawy, tel. 609-497-895.

Handlowe

MATERIAŁY OPAŁOWE

DOBRY polski węgiel, polbruk, płotki ogrodowe. Czerwieńsk, 512468184, www.e-skladopalu.pl

DREWNO kominkowe, opałowe, Zielona Góra i okolice 535-743-756.

ZIEMIA siana z obor. tel. 693-294-041

INNE

ANTYK krajalnice kupię 530-633-528.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

0 - 10.000 auta każde kupię 665807009

ABSOLUTNIE nie złomuj autka. Skup aut. Transport. 793177253.

SKUP aut na złom, całe, uszkodzone, najlepsze ceny, dojazd 787989435

SKUP AUT za gotówkę, tel. 577740888

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

OPONY, felgi tanio. 501653516.

USŁUGI

AUTO złomowanie wydajemy zaświadczenia Kargowa 501624667

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYTY, pożyczki, chwilówki. Niskie raty. Centrum Kredytowe, Zielona Góra, ul. Jedności 23. Tel. 68 3280800

INNE

ODDLUZAMYNIERUCHOMOSCI.PL, 513474366 stopeksmisjom.com

MOTOFINANSE

KREDYT 50 000 zł, rata 572, 730 809 809

Praca

ZATRUDNIĘ

ELEKTRYK - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774010561. Cert. 9875

MALOWANIE, tapetowanie, docieplenia - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774010561. Cert. 9875

OPIEKUNKO wyjedź z nami na święta i otrzymaj BONUS do 200 euro od zajączka! Sentium gwarantuje wynagrodzenie do 1600 euro, terminowe wypłaty i sprawdzone miejsca pracy. Zadzwoń i zarabiaj więcej. 505 440 380

POSZUKUJEMY do pracy kierowców samochodów ciężarowych z kategorią prawa jazdy C+E. Umowa o pracę ze spółką niemiecką (okolice Dortmundu). Atrakcyjne warunki finansowe. Szczegóły w języku polskim pod nr tel.: +48 507 083 537

PRACA w tartaku (Gorzów) zarobki do 5000 zł kontakt tel 607632279.

PRACA za granicą w sektorze produkcyjnym i budowlanym. 2000 EURO miesięcznie na rękę. Firma zapewnia zakwaterowanie, dojazd i opiekę rezydenta. Nie wymagamy znajomości języka obcego. Tel. 696-725-275 w godz. 8.00-17.00.

STOLARZ - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774010561 Cert. 9875

ŚLUSARZ/ spawacz - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774010561 Cert. 9875

SZUKAM PRACY

KIEROWCA C+E szuka pracy na miejscu (Gorzów) - codziennie w domu. Tel. 600606101.

PODEJMĘ się pracy biurowej na 1/2 etatu. Jestem emerytowaną urzędniczką. Tel. 667-144-679.

Zdrowie

CHIRURGIA

LASERAMI: żylaki, brodawki, blizny, znamiona, tatuaże, odciski, włosy, 606-855-813, www.lasermedic.pl

INNE SPECJALIZACJE

OPTYK okulista Puślecki 683256652

Bioderka niemowląt + USG. Schorzenia urazy ortopedyczne dorosłych 68-3255962

DOMOWE WIZYTY VITA 68-3255962

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

DACHY, papa, solidnie, 668491174

MALOWANIE, remonty 503893268

MALOWANIE, remonty. 727 236 543.

OGRODZENIA, balustrady, płoty z montażem. Gorzów, 796247763.

OKNA - drewniane i PCV. DRUTEX Promocja - INTER OKNO. Tel. 68-3206065, www.interokno.pl

OKNA - rolety. Montaż - regulacja - naprawa. Ptasia 32/7B, 535530555

PANELE, podłogi, malowanie ścian. Gorzów, 796247763.

REMONTY, szpachlowanie, regipsy, malowanie. 730-292-888.

WKŁADY kominowe tel. 603 981 056

KOMPUTEROWE

660508303 Pogotowie komputerowe

OGRODNICZE

PRACE ogrodowe od A-Z. 512594490.

PORZĄDKOWE

POSPRZĄTAM mieszkanie, 576184497

PRANIE dywanów, tapicerki. 607667229

PRZEPROWADZKI

PRZEPROWADZKI 600 150 293

INNE

ELEKTRYK. Tel. 511274597

NAPRAWY bieżące pojazdów. Gorzów, Poznańska 92, tel. 503671739.

SPRZĄTANIE garaży, działek, opróżnianie mieszkań, 535-743-756.

WULKANIZACJA. Gorzów, Poznańska 92, tel. 573077292.

Turystyka

KRAJ - MORZE

HIT Sezonu Apartamenty nad morzem Kołobrzeg i Alanya. Tel. 94/355-62-01, www.sobieski-booking.pl

REWAL-MORZE-50 m.Wczasy 502-550-864,91/386-26-11. www.tedi.pl

Różne

POTENCJA 500654603, 600855593

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

534 063 428, 695 220 726 Kurki młode 15 - 19 tygodni i z dowozem.

Towarzyskie

500 476 471. Profesjonalistka.

Wspomnienia.
Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę. Sprawdź na nekrologi.net i gazetalubuska.pl/nekrologi

REKLAMA

009389067

INFORMATOR POGRZEBOWY

REQUIES Brzezińscy, Zielona Góra, ul. Krawiecka 2, tel. 68-325 52 19, organizacja pogrzebów, całą dobę zabieranie z domu, www.requies.pl

AD PATRES (J. Mądry) przewóz zmarłych całą dobę, bezgotówkowa organizacja pogrzebów, Zielona Góra, ul. Wrocławska 68, tel. 68-3208517, 601760685

A.D Rzepeccy, tel. 605 386 111, Zielona Góra, ul. Chrobrego 59/4, Świdnica, Długa 25, Czerwieńsk, Chrobrego 1a. Kompleksowa obsługa pogrzebów całą dobę. Zabieranie z domu.

KAMIŃSCY, Zielona Góra, ul. Kościelna 4, przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja pogrzebów, tel. 68-323 05 09, 693 424 440.

LUBUSKI DOM POGRZEBOWY, Zielona Góra, ul. Wrocławska 1. Całodobowy transport Zmarłych. Tel. 531 208 990. Usługi świadczone w ramach zasiłku pogrzebowego z ZUS.

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY Zielona Góra, ul. Masarska 13, tel. 68-320 22 35, kompleksowa obsługa pogrzebów, przewóz zmarłych. 601 798 365 całą dobę.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. 95-781 00 83 Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24h

WRZOS Gorzów Wlkp., ul. Borowskiego 35/1, tel. 95-720 03 33, 722 30 33 33 ORGANIZACJA POGRZEBÓW I POGOTOWIE POGRZEBOWE (24h).

MEMENTO Radziszewscy, Gorzów Wlkp., ul. Mieszka I 18, tel. 95-7350-146, 95-7231-041 (24 h). Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe

OMNIS Gorzów Wlkp., ul. Żwirowa 76, tel. 95-722 42 08 www.omnis.net.pl Organizacja pogrzebów i Pogotowie pogrzebowe (24 h)

→

CZYTAJ

SPORTOWY24.PL

Sport to Wy

24 godziny na dobę, z Twojego miasta, regionu i świata

sportowy24.pl

eprasa.pl 21cde997f1

Wygaszanie sportu trwa. Zgrupowanie i mecze kadry odwołane, Liga Mistrzów nie gra

Hubert Zdankiewicz
redakcja@polskapress.pl



Sport

Zagrozenie koronawirusem z każdym dniem coraz mocniej paraliżuje sport na całym świecie. Nie odbędą się mecze reprezentacji Polski, zawieszono rozgrywki ligowe, Ligę Mistrzów i Europy. W innych dyscyplinach nie jest lepiej.

W chwili powstawania tego tekstu oficjalnego potwierdzenie ze strony PZPN jeszcze nie było, ale wszyscy byli zdania, że to tylko formalność. Reprezentacja Polski miała zagrać 27 marca z Finlandią (we Wrocławiu) i 31 marca z Ukrainą (w Chorzowie). Kilka dni temu Polski Związek Piłki Nożnej podjął decyzję, że w związku z zagrożeniem koronawirusem oba mecze odbędą się bez udziału publiczności. Teraz okazuje się, że w ogóle się nie odbędą. Odwołano również zgrupowanie kadry, które miało rozpocząć się 23 marca.

Decyzja w pełni uzasadniona, biorąc pod uwagę to, co dzieje się z niektórymi piłkarzami. Kwarantannę przechodzą aktualnie dwaj podstawowi piłkarze reprezentacji Jerzego Brzęczka: Wojciech Szczęsny (Juventus) i Bartosz Bereszyński (Sampdoria), a także pozosta-



Callum Hudson-Odoi (z lewej, obok Jan Bednarek) jest zakażony koronawirusem

jacy w kręgu zainteresowań selekcjonera Karol Linetty (Sampdoria). W obu klubach, w których występują Polacy, wykryto już koronawirusa u piłkarzy: w Juve u Daniele Ruganiego i Paulo Dybali, w Sampdorii u Manolo Gabbiadiniego.

Nie dojdą do skutku również marcowe mecze kadr U-17, U-18 oraz towarzyskie spotkania drużyn U-21. Kadra Brzęczka ma jeszcze zaplanowane, tuż przed Euro 2020, mecze z Rosją (2 czerwca w Warszawie) i Islandią (9 czerwca w Poznaniu). Nie

wiadomo jednak, czy i one zostaną rozegrane, bo rozszerzająca się epidemia sprawia, że coraz bardziej realnym scenariuszem zaczyna być przełożenie turnieju na 2021 rok.

Wszystko dlatego, że trzeba będzie dokończyć rozgrywki li-

gowe, a te w niemal wszystkich krajach zostały zawieszone (czytaj poniżej, w Polsce co najmniej do końca marca nie zagra ekstraklasa, odwołano też 23. kolejną pierwszą i drugą ligę). W innym terminie odbędą się również zaplanowane na przyszły tydzień mecze Ligi Mistrzów Realu Madryt z Manchesterem City, Bayernu Monachium z Chelsea, Juventusu z Lyonem i Barcelony z Napolim.

„W świetle rozwoju choroby COVID-19 i przy wszelkich decyzjach podejmowanych przez światowe rządy, wszelkie mecze organizowane przez UEFA w przyszłym tygodniu zostały zawieszone. Wliczając się w to pozostałe mecze 1/8 finału UEFA Ligi Mistrzów zaplanowane na 17 i 18 marca 2020, mecze Ligi Europy zaplanowane na 19 marca 2020, a także mecze Młodzieżowej Ligi Mistrzów zaplanowane na 17 i 18 marca 2020” - czytamy w uzasadnieniu.

Zanim UEFA podjęła tę decyzję, doszło do absurdu sytuacji. Wylotu na czwartkowy mecz Ligi Europy do Mediolanu odmówiły władze hiszpańskiego Getafe, a działacze Romy usłyszeli, że samolot z ich piłkarzami nie zostanie wpuszczony na teren Hiszpanii i w związku z tym nie odbędzie się ich mecz LE z Sevillą. Inter i Roma zostały poproszone o... wycofanie się z rozgrywek. Odmówiły.

Nie lepiej jest w innych dyscyplinach, bo koronawirus sparaliżował również początek se-

zonu Formuły 1. Niedzielny wyścig o Grand Prix Australii został odwołany. Decyzja ta zapadła tuż przed rozpoczęciem pierwszej piątkowej sesji treningowej. Nie jest zaskoczeniem, bo kilka dni temu okazało się, że dwie osoby z zespołu Haasa i jedna z Team McLaren mają objawy koronawirusa i muszą poddać się kwarantannie.

McLaren wycofał się z Grand Prix Australii już w czwartek, a komentarze kilku kierowców, m.in. sześciokrotnego mistrza świata Brytyjczyka Lewisa Hamiltona (Mercedes) i Fina Kimiego Raikkonena (Alfa Romeo), jednoznacznie sugerowały, że wyścig na torze Albert Park może się nie odbyć.

Odwoływane są również kolejne turnieje tenisowe. Zaczęło się od BNP Paribas Open w Indian Wells (miał zacząć się w ostatnią środę). Teraz władze Stowarzyszenia Tenisistów Profesjonalnych podjęły decyzję o przerwaniu na sześć tygodni rywalizacji na światowych kortach. Nie odbędą się w związku z tym turnieje w Miami i Monte Carlo, gdzie tenisiści mieli inaugurować część sezonu na kortach ziemnych, a także turnieje w Barcelonie, Houston, Marrakeszu i Budapeszcie. Nie wiadomo, co z zaplanowanym na koniec maja wielkoszlemowym Roland Garros. Odwołane zostały również wszystkie zawody rangi ATP Challenger Tour zaplanowane na najbliższe sześć tygodni. ©@

W SKRÓCIE

Piłka nożna Wszystkie ligi zawieszone

Rozgrywki PKO Ekstraklasy ze względu na zagrożenie wywołane rozprzestrzenianiem się koronawirusa zostały zawieszone - poinformowała Ekstraklasa S.A. Mecze w najwyższej klasie rozgrywek nie zostaną wznowione co najmniej do końca marca. Ustalenie daty wznowienia rywalizacji nastąpi w przyszłym tygodniu po zapoznaniu się z decyzjami UEFA. Dotyczyć będą ewentualnej zmiany terminów poszczególnych rozgrywek międzynarodowych w sezonach

2019/2020 i 2020/2021. Zawieszone zostały też rozgrywki w niższych ligach.

- Przeprowadziliśmy szereg konsultacji z Polskim Związkiem Piłki Nożnej oraz z innymi ligami, które również podjęły decyzję o przełożeniu meczów. Zasięgnęliśmy także opinii organów administracji państwowej oraz władz sanitarnych - powiedział Marcin Animucki, Prezes Ekstraklasy S.A. - Prawdopodobną datę wznowienia rozgrywek ustalimy w zależności od aktualnej sytuacji związanej z rozprzestrzenianiem się koronawirusem [COVID-19] lub decyzji UEFA, dotyczących zmiany terminów poszczególnych rozgrywek międzyro-

dowych. W najbliższy wtorek odbędą się konsultacje UEFA z federacjami oraz ECA i European Leagues, które mogą mieć wpływ na tegoroczny kalendarz lub plany rozgrywek UEFA na kolejny sezon. W zależności od ustaleń będziemy działać na bieżąco w ścisłej współpracy z Polskim Związkiem Piłki Nożnej i klubami. (AIP)

Piłka nożna/koszykówka Kwarantanna w Realu Madryt

Według informacji hiszpańskich mediów, jeden z zawodników koszykarskiej drużyny Realu Madryt został zarażony koronawirusem.

Niewykluczone, że zarażać się mogli również piłkarze Królewskich, którzy korzystają z tego samego ośrodka treningowego w Valdebebas. W klubie zarządzono dwutygodniową kwarantannę.

„Real Madryt informuje, że zawodnik z koszykarskiej drużyny uzyskał wynik pozytywny po testach na obecność koronawirusa COVID-19. Dlatego będzie obowiązywała kwarantanna zarówno zespołu koszykarskiego, jak i piłkarskiego, bo obie drużyny często korzystają z tych samych obiektów. Nasz ośrodek zostanie zamknięty, a cały personel Real musi zostać poddany kwarantannie” - czytamy w komunikacie Realu Madryt.

Piłkarze i koszykarze Realu mają przejść dwutygodniową kwarantannę, a cały ośrodek treningowy został zamknięty. Oznacza to, że zawodnicy Zinedine Zidane'a nie polecą na rewanżowy mecz w 1/8 finału Ligi Mistrzów z Manchesterem City. Spotkanie miało się odbyć 17 marca. Z kolei rozgrywki ligowe w Hiszpanii zostały zawieszone przynajmniej na dwa tygodnie. (AIP)

Koszykówka Liga NBA też zawiesiła rozgrywki

Koszykarska liga NBA podjęła decyzję o zawieszeniu sezonu. Władze ligi długo się nad tym za-

stanawiały, ale szale przechylił gwałtowny Jazzy Rudy Gobert, który został zdiagnozowany z koronawirusem. Jazzy przyjechał do hali w Oklahomie City na mecz z miejscowymi Thunder, gdy Chesapeake Energy Arena niespodziewanie zamieniła się w miejsce kwarantanny. - Wyniki testu pojawiły się na chwilę przed startem meczu Oklahoma City Thunder z Utah Jazz. Spotkanie zostało odwołane, a zarażony zawodnik nie był obecny w hali Chesapeake Energy Arena - możemy przeczytać w komunikacie wydanym przez ligę. (AIP)

GAZETA LUBUSKA

REDAKCJA
al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra,
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 802, 68 32 48 86 00,
fax 68 32 48 872,
redakcja@gazetalubuska.pl
Redaktor naczelny: Szymon Kozica,
skozica@gazetalubuska.pl,
tel. 68 32 48 863

Wydawcy
Zbigniew Borek, zborek@gazetalubuska.pl,
tel. 95 72 25 772,
Zdzisław Haczek, zhaczek@gazetalubuska.pl,
tel. 68 32 48 805
DZIAŁY
Informacyjny
miasto@gazetalubuska.pl,
tel. 68 32 48 844
Magazyn GL
dchajewski@gazetalubuska.pl,
tel. 68 32 48 879
Online: glonline@gazetalubuska.pl
mweidner@gazetalubuska.pl
tel. 68 32 48 870
Sportowy
ckonarski@gazetalubuska.pl, tel. 68 32 48 869

ODDZIAŁY:
GORZÓW WLKP.,
ul. Sikorskiego 111, (Park 111 II p.), 66-400 Gorzów Wlkp.,
tel. 95 72 25 772
MIĘDZYRZECZ
Tomasz Russek, tel. kom. 510 026 983
NOWA SÓL
Eliza Gniewek-Juszczak, tel. kom. 697 770 041
ŚLUBICE
Renata Hryniewicz, tel. kom. 510 871 274
ŚWIEBODZIN
Marcin Ruszkiewicz, tel. kom. 510 026 985
ŻARY/ZAGAN,
Lucyna Makowska, tel. kom. 697 770 399
Oddział w Zielonej Górze
al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
tel. 68 32 48 802, fax 68 32 48 872

Prezes oddziału Grzegorz Widenka
tel. 68 32 48 600,
gwidenka@gazetalubuska.pl
Marketing
tel. 68 32 48 861
BIURA OGŁOSZEŃ
Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 111 (Park 111 II p.),
66-400 Gorzów Wlkp., tel. 95 72 25 360,
bogi@gazetalubuska.pl
Międzyrzecz, tel. 95 72 25 360
bom@gazetalubuska.pl
Świebódzin, tel. kom. 519 503 761
Zielona Góra, al. Niepodległości 25,
65-042 Zielona Góra, tel. 68 32 48 811
bo@gazetalubuska.pl
Żary, tel. kom. 510 026 989
Zary, tel. kom. 512 212 994
Serwis prenumeratorka 68 381 70 52

Druk Polska Press Oddział Poligrafia
60-175 Poznań/Skórzewo, ul. Malwowa 158,

© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artyku-
le, w szczególności przy Aktualnym Artyku-
le, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko
i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem
zamieszczonym na stronie www.gazetalubuska.pl/tresci
i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Polskie Badania Cytelnictwa
PBC
Polskie Badania Cytelnictwa

Nakład Kontrolowany ZKDP
BIALA KARTY
BIALA KARTY
BIALA KARTY

POLSKA PRESS GRUPA

WYDAWCA
Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes zarządu Dorota Stanek
Wiceprezes zarządu Dariusz Świąder
Członek zarządu Paweł Fajfara
Członek zarządu Magdalena Chudzikiewicz

Dyrektor artystyczny
Tomasz Bochenński
Dyrektor marketingu
Sławomir Nowak, slawomir.nowak@polskapress.pl
Dyrektor zarządzający biura reklamy
Maciej Kossowski
maciej.kossowski@polskapress.pl
Dyrektor kolportażu
Karol Wlazło karol.wlazlo@polskapress.pl
Agencja AIP
kontakt@aip24.pl
Rzecznik prasowy
Joanna Pazio tel. 22 201 44 38,
joanna.pazio@polskapress.pl

Była „patykiem”. Dziś Ewelina Malinowska emanuje seksapilem oraz kobiecością

Alan Rogalski
arogalski@gazetalubuska.pl



Sporty sylwetkowe

- Byłam takim „patykiem”. A teraz nie mam tkanki tłuszczowej, a mięśniową. Ciało jest jędrne i nie ma cellulitu - mówi „GL” Ewelina Malinowska, która właśnie zadebiutowała w zawodach. I od razu zajęła w nich drugie miejsce!

Malinowska pochodzi z zachodniopomorskich Gryfic, ale jej przygoda ze sportem sylwetkowym zaczęła się po przeprowadzce do Gorzowa. - Już we Wrocławiu, gdzie studiowałam, myślałam o treningu siłowym, bo chciałam, żeby moje sylwetka trochę inaczej wyglądała. Ale tam wszyscy mnie kojarzyli, więc bałam się iść na strefę wolnych ciężarów, na której byli przypakowani mężczyźni i kobiety. Bałam się, że nie będę umiała czegoś poprawnie wykonać, wszyscy będą się ze mnie śmiali i zostanę takim śmieszkiem. A w Gorzowie nikogo nie znałam, więc pierwszego dnia poszłam na taką strefę i zaczęłam ćwiczyć z obciążeniem układy. Takie, jakie były pokazywane na YouTube. Wkręciłam się w to. I miałam gdzieś to, czy ktoś się ze mnie śmiał, czy też nie. Ba, ludzie zaczęli



E. Malinowska zajęła drugie miejsce w zawodach w Kielcach

do mnie podchodzić i sami się mnie pytać, czy przygotowuję się do jakichś zawodów. W zasadzie więc to oni spowodowali, że pojawił się taki pomysł. Powiedziałam sobie: kurczę, już kolejna osoba mnie o to pyta, może więc coś w tym jest - wspomina zawodniczka, która studiowała i dietetykę, i farmację.

To było mniej więcej półtora roku temu. - W tamtym czasie nie wiedziałam, że to będą zawody w Kielcach, ale myślałam

o bikini fitness. Wpisałam w wyszukiwarkę hasło: „bikini fitness Gorzów”, by sprawdzić, czy jest w tym mieście jakaś zawodniczka. Wyświetliła mi się Anna Kisielewicz. Zadzwońłam więc do niej i spotkaliśmy się na kawie - mówiła „GL” Malinowska o początkach treningów siłowych.

Z Kisielewicz ćwiczyła z pół roku, po czym ta poleciła jej szkoleniowca w Krakowie. I to do niego Malinowska jeździła raz w miesiącu, a przed zawo-



Gorzowianka planuje kolejne starty w następnych imprezach

dami znacznie częściej. Po to by wystartować w Kielcach zawodach „Debiuty w Kulturyście i Fitness”. To drugie miejsce, które zdobyła, to we wspomnianej konkurencji bikini fitness 169 cm. - Każda kategoria ma określone kanony sylwetki, w które musimy wpasować się. Moja kategoria charakteryzuje się budową iksa: lekko zarysowane barki, bardzo szczupła talia i ładne, okrągłe pośladki, zbudowane z mięśni. Same mięśnie muszą być deli-

katnie zarysowane. Głównie liczy się to, by zaprezentować swoją kobiecość i seksapil. Nasza sylwetka jest oceniana w pozycjach, które musimy zaprezentować. Ale oprócz tego oceniana jest też nasza prezencja, makijaż, włosy, strój, skóra czy paznokcie - uśmiecha się Malinowska, która na swoim profilu na Instagramie codziennie zdaje relacje z przygotowań do zawodów.

Gorzowianka przekonuje, że trening siłowy i kobiecość mogą

1,5

- roku - mniej więcej tyle czasu Ewelina Malinowska poświęciła na przygotowanie do zawodów i w debiucie była druga

iść ze sobą w parze. - Często słyszę: jak będziesz trenowała siłowo, to będziesz przypominała faceta. Ale nie ukrywamy, kobiety mają taki układ hormonalny, że nie przypakujemy tak na siłowni, by zaburzyć swoje proporcje. Jak oglądam swoje zdjęcia z czasów, gdy moim celem była głównie redukcja, to przypominam sobie, że chciałam być szczupła. Bo myślałam, że będę wyglądać lepiej. Ale ciało było chude, po prostu wyglądało źle. Nie miałam mięśni, więc to ciało było szczupłe, ale i wiotkie. A gdy zaczęłam trening siłowy, to zauważyłam, że można zbudować fajne pośladki i nabrać naprawdę kobiece kształty. Tych mi wcześniej brakowało - przyznaje „Malina”, bo tak na nią wołają.

Dziś, przynajmniej i my, niczego jej nie brakuje. Wystarczy spojrzeć na jej zdjęcia.

Co ciekawe, w tych samych zawodach i konkurencji startowała też zielonogórzanka. Monika Rosicka także była druga, ale w bikini fitness +172. W Kielcach prezentowali się też inni Lubuszanie. ©©

Marcin Wrzosek: „Tylko jeden” spodoba się nie tylko zapalonym fanom MMA

Mieszane sztuki walki

Tomasz Dębek
Twitter: @themback

- Nie kopiujemy „TUF-a”, mamy swoje pomysły - podkreśla Marcin Wrzosek, zawodnik KSW i jeden z trenerów w sportowym reality show Polsatu „Tylko jeden”.

Jako jeden z niewielu polskich uczestników programu „The Ultimate Fighter” [wystąpił w 22. sezonie, doszedł do półfinału, a jego trenerem był słynny Conor McGregor - red.], wchodząc do domu fighterów w „Tylko jeden”, poczuł pan déjà vu?

W pewnym sensie tak. Idea programu jest bardzo podobna. Będzie jednak sporo różnic. Ale tego dowiedzieć się, oglądając kolejne odcinki.

W „TUF-ie” był pan jednym z uczestników programu, teraz został trenerem.

[Drugim jest szkoleniowiec Wrzosa z Shark Top Team Łódź Łukasz Zaborowski - red.] To duża różnica?

Pewnie. Teraz mogę sobie stąd wyjść, kiedy tylko chcę. Mogę mieć swój telefon, muzykę, kontakt ze światem zewnętrznym. Oni nie. Rola trenera jest o wiele łatwiejsza. Przyjeżdżam tu tylko na nagrania i treningi. A zawodnicy są cały czas zamknięci w domu fighterów.

Większość sezonów „TUF-a” kończyła się również walkami trenerów. Na pojedynek Wrzosek - Zaborowski jednak się nie zapowiada. Czyba że to będzie jakaś niespodzianka? (śmiech) Nie, formuła naszego programu pod wieloma względami będzie odbiegać od tej znanej z amerykańskiego show. Nie kopiujemy, mamy swoje pomysły, które znajdują się w programie.



32-letni Marcin Wrzosek to były mistrz federacji KSW w kategorii piórkowej

Z pomocą przyszedł pana kolega z drużyny z „Ultimate Fightera” i sparingpartner Conora McGregora Artem Lobov. Zaproponował, że chętnie zmierzy się z panem na koniec programu.

Rozmawiałem z nim o tym. Odpowiedziałem, że jeśli chce walczyć, to porozmawiam o tym z właścicielem KSW. Myślę, że byłoby zainteresowani takim pojedyńkiem. Jeśli Artem chce mnie znaleźć, to wie, gdzie szukać.

Po programie jesteście w stałym kontakcie?

Kontaktujemy się od czasu do czasu. Wiadomo, każdy ma swoje życie i zajęcia. Nie ma czasu rozmawiać codziennie. Zresztą, ja z nikim nie rozmawiam tak często. Nawet z moją dziewczyną.

„Tylko jeden” pojawił się w dobrym momencie? Kilka lat temu na taki program mogło być zbyt wcześnie?

Moim zdaniem to idealny czas na ten program. Potencjał KSW rośnie, organizacja krok po kroku wprowadza nowe rzeczy. „Tylko jeden” jest jedną z nich. Szersza publiczność

wie już, że MMA to prawdziwy, emocjonujący sport. Program powinien spodobać się nie tylko zapalonym fanom.

Ma pan faworyta do końcowego triumfu i podpisania kontraktu z KSW?

Nie. Każdy z tych chłopaków jest w stanie wygrać program. Wiadomo, niektórzy już odpadli i stracili szansę. Oczywiście nie zdradzę żadnych nazwisk. (śmiech) Mogę za to powiedzieć, że poziom jest wyrównany i bardzo wysoki.

Jakie są pana plany zawodnicze po programie?

Już wkrótce będzie bardzo duży news odnośnie mojej kolejnej walki.

Ale nie chodzi o KSW 53? [Gala miała odbyć się 21 marca w Łodzi, ale prawdopodobnie zostanie odwołana z powodu epidemii koronawirusa - red.]

Nie, realizacja programu zbiegłaby się z przygotowaniem do walki. Zawalczę na kolejnej gali. Prawdopodobnie.

Niedawno dostał pan podobno propozycję walki w boksie na gołe pięści. Zobaczymy pana kiedyś w tej dyscyplinie?

To bardzo ciekawa formuła. Chciałbym kiedyś spróbować w niej swoich umiejętności. Faktycznie, dostałem niedawno ofertę, i to bardzo intratną, ale musiałem ją odrzucić. Będę miał o wiele większą walkę w KSW. Na tym się skupiam.

Kontrakt z KSW blokuje panu możliwość występów w innych sztukach walki, czy tylko dla innych organizacji?

Musiałbym to sprawdzić. Nawet nie spojrzałem na to, co podpisuję. (śmiech). ©© PROGRAM „TYLKO JEDEN” OBEJRZYSZ W POLSACIE W PIĄTKO O GODZ. 22.05.

Czasem jestem kolegą, innym razem muszę być bardzo stanowczy

Pilka nożna

Paweł Horożaniecki z Żar jest najlepszym lubuskim sędzią piłkarskim. Drugi sezon prowadzi mecze na szczeblu centralnym, gdzie niestety nie możemy oglądać żadnej lubuskiej drużyny. Pytamy arbitra m.in. o to, jak sędziowie przygotowują się do sezonu. Czy muszą trenować tak, jak piłkarze i czy drugoligowe spotkania są łatwiejsze „w obsłudze” niż te w klasie B.

Piłkarze jeszcze szykują formę, ty prowadziłeś już mecze w drugiej lidze. Jak wygląda przygotowania do rozgrywek sędziów z najwyższego szczebla?

Miałem tę przyjemność, że zostałem powołany na obóz do Turcji, jako jeden z nielicznych sędziów drugiej ligi. Mogłem tam przebywać z najlepszymi polskimi arbitrami, podglądać ich pracę i razem z nimi przygotowywać się.

Ile czasu tam spędziłeś, jakie mecze sędziowałeś?

Mieliśmy bardzo dużo pracy. Spędziłem tam półtora tygodnia. Dzień był dosyć mocno zaplanowany. Rano mieliśmy rozruch, później wykłady, warsztaty, następnie mecze, treningi, później znów wykłady. Nie nudziliśmy się. Sędziowałem dwa mecze. W pierwszym Dynamo Kijów U-21 grało z młodzieżowym zespołem Antalyasporu. W drugim miałem zespół z pierwszej ligi rosyjskiej, który mierzył się z chińską ekstraklasą.

Indywidualnie dużo trenowałeś? Na szczeblu centralnym sędzia chyba nie może mieć za dużo tkanki tłuszczowej?

Musimy trenować praktycznie tak samo jak piłkarze. Mam swojego trenera od przygotowania fizycznego, który raz w tygodniu przysyła nam plany treningowe. Cały czas jesteśmy monitorowani przez system, który jest w PZPN. Nie da się przejść obok tego. Jeżeli chcemy sędziować na najwyższym poziomie, to musimy się zdrowo prowadzić i być w formie. Pewnych rzeczy się nie oszuka.

Poziom centralny to już to miejsce, gdzie można skupić się tylko na sędziowaniu?

Absolutnie nie. Jestem sędzią, jak sama nazwa mówi Top Amator. Sędziuje około ośmiu meczów drugiej ligi w rundzie. Łączę to z pracą. Tylko nieliczne grono arbitrow, najlepsi w Polsce, może sobie pozwolić na utrzymanie z samego sędziowania. Reszta musi sobie jakoś radzić i łączyć pracę z treningami. Ja tak robię i do tej pory się udaje. Jest to do pogodzenia. Potrzebne są tylko chęci.

Jaki styl preferujesz? Wolisz rozmawiać z zawodnikami czy na pewnym poziomie trzeba już być bardziej stanowczym?

Wszystko zależy od meczu. Czasem trzeba być kolegą zawodnika, a czasem trzeba go ustawić do pionu. Ciężko opisać to w kilku słowach. Staram się być niewidoczny na boisku, ale różnie z tym bywa.

Łatwo jest po drugoligowym spotkaniu pojechać na mecz klasy B? Udaje ci się utrzymać tę samą koncentrację?

Na pewno meczu profesjonalnych piłkarzy nie można sędziować tak samo, jak zawodni-



Paweł Horożaniecki z synem Piotrem, zawodnikiem Akademii Piłkarskiej Macieja Murawskiego

kom z klasy B i na odwrót. Czym wyższa liga, tym piłkarze oczekują innego sędziowania. Chcą więcej grać, chcą byśmy im pozwalali na więcej i nie gwizdali drobniaczko. Z kolei w spotkaniach niższych lig poprzeczka przewinień musi być ustawiona niżej. Jeśli pozwolimy na zbyt dużo, to może skończyć się bójką. To dwa różne światy i trzeba się do nich umiejętnie dostosować.

Gdzie sędziuje się trudniej?

Im wyżej, tym łatwiej. Za chęć sędziów do rozwijania się, bo czym wyższa klasa rozgrywkowa, tym lepiej i łatwiej się sędziuje.

Wiele razy byłeś już sędzią technicznym na meczach ekstraklasy. Czy tak daleko sięgały twoje marzenia wtedy, gdy zaczynałeś sędziować?

Nawet o tym nie myślałem. Pierwsze powołanie na mecz ekstraklasy trochę mnie zaskoczyło. Sędziowałem z najlep-

szymi w kraju, podglądałem ich z bliska i pomagałem im, bo sędzia techniczny nie tylko stoi z tablicą, ale też ocenia boiskowe zdarzenia i podpowiada sędziemu głównemu. To był dla mnie zaszczyt. Mam nadzieję, że jeszcze tam posędziuję. Bagaż doświadczeń, który tam zebrałem zostanie na całe życie.

Jakim masz cel na rundę wiosenną?

Jak najlepiej sędziować, a co będzie, czas pokaże. Mam

za sobą pierwszy mecz w Katowicach, gdzie GKS grał z Błękitnymi Stargard. Wyszedł bardzo dobrze. Liczę, że w kolejnych utrzymam formę.

Masz szansę na awans do pierwszej ligi?

Nie chcę o tym myśleć. Chcę dostawać kolejne spotkania w drugiej lidze. Moim celem jest utrzymanie na szczeblu centralnym. Czy będzie coś więcej? To nie zależy ode mnie.

Jest stadion, na którym chciałbyś posędziować, bądź klub, któremu chciałbyś poprowadzić mecz?

Chciałbym sędziować w wyższej klasie, ale to nie ode mnie zależy. Mogę się skupić na samorozwoju. W drugiej lidze fajnie byłoby posędziować na stadionie Widzewa Łódź. To najbardziej atrakcyjny obiekt i jedna z najlepszych drużyn. GKS Katowice też prezentuje się wyśmienicie. Ma zawodników wysokiej klasy i też jest to jeden z głównych faworytów do awansu.

Na koniec pytanie o Promień Żary. Czy uda się im w końcu awansować do czwartej ligi?

Jestem kibicem Promienia, dlatego z całego serca życzę im awansu. Nie tylko do czwartej ligi. W klubie dzieje się dobrze, nowy zarząd prężnie działa. Widziałem grę zespołu w okresie przygotowawczym. Wyglądała bardzo dobrze. Myślę, że ten sezon zakończy się awansem. Martwi mnie tylko kontuzja bramkarza Tomka Kowalczyka. Promień ma problem, ale działacze zapewne go rozwiążą. Nie przeszkodzi im to w walce o awans. ©©

ROZMAWIAŁ JAKUB KŁYSZEJKO

Gdyby nie martwy ciąg, byłoby złoto. Ale i tak jest dużo lepiej niż rok temu

Sporty siłowe

Łukasz Kolesnik
sport@gazetalubuska.pl

Mateusz Kieliszkowski, siłacz pochodzący z małego Chlebowy (gmina Maszewo), ponownie świetnie zaprezentował się na arenie międzynarodowej. Znowu znalazł się w czołwach strongmanów, w rozgrywanych w Stanach Zjednoczonych, prestiżowych zawodach Arnold Classic 2020.

Mateusz Kieliszkowski wygrał aż cztery z sześciu konkurencji. To tym bardziej im-

ponujące, gdyż ponownie przed startem zmagął się z kontuzją mięśniową i nie mógł odpowiednio przygotować się do wszystkich konkurencji. Nie przeszkodziło mu to jednak w ustanowieniu kolejnych rekordów. W konkurencji, podczas której zawodnicy musieli pod górę przenieść ważącą 400 kilogramów ramę, Mateusz pobił kolejny rekord świata. Odległość pięciu metrów z potężnym ciężarem pokonał w siedem sekund. Zwycięzca zawodów nawet nie ukończył tej konkurencji. Dla porządku, za-



Mateusz Kieliszkowski był bardzo blisko złotego medalu

wody znowu wygrał Islandczyk Hafthor Bjornsson, czyli popularny „Thor”, znany również z roli Góry w słynnym serialu „Gra o Tron”.

Mateusz Kieliszkowski ustanowił też drugi rekord w konkurencji, która jest jego specjalnością - dźwiganie hantli nad głowę. Polak wybrał 150-kilogramowy ciężar i wycisnął go nad głowę, ustanawiając kolejny rekord świata. Zdominował resztę stawki.

Dlaczego więc strongman z lubuskiego nie sięgnął po złoty medal? Mateusz po-

nownie stracił przewagę w konkurencji, która jest jego piętą Achillesową. To tzw. martwy ciąg. Ciężko pracuję nad tym, by się w tym elemencie poprawić - przyznaje Mateusz Kieliszkowski. - Już widać efekty, przełamuję swoje granice, przekroczyłem próg 400 kilogramów. Myślę, że będzie coraz lepiej.

Mateusz Kieliszkowski w tej konkurencji zajął dopiero ósme miejsce i w ogólnej klasyfikacji zebrał dwa punkty mniej od Hafthora Bjornssona. ©©